



EVELYN A. CROWE

***POWIEDZ, ŻE TO
NIEPRAWDA***

Prolog

Noc była bezksiężycowa, bezgwiezdna i tak cicha, że niemal dało się słyszeć szmer padającego śniegu. Światła na patio i przy basenie rozświetlały tańczące gwiazdeczki, zmieniając je w złocistą mgiełkę. Powietrze znacznie się ochłodziło i cienka warstwa puchu nie roztopiała się już natychmiast w zetknięciu z ziemią.

Dina westchnęła głęboko i usadowiła się wygodniej w wykuszu okna. Potarła zziębnięte ręce o rękawy ciemnej, aksamitnej sukni i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wirujące, białe płatki.

Boże Narodzenie w Houston. Kto by się spodziewał, że pogoda spleta im takiego figla? Dina przywykła do spędzania ferii zimowych w szortach, przy temperaturze dwudziestu paru stopni i z włączoną na pełny regulator klimatyzacją. Naturalnie, w ciągu swoich czterdziestu dwóch lat życia pamiętała kilka zdecydowanie chłodnych zim, ale żeby w Wigilię padał śnieg... Niesłychane.

Media radośnie głosiły białą gwiazdkę w Houston, ale mieszkańcy miasta nie byli na to przygotowani. Wiadukty były zamknięte, a wypadki tak liczne, że policja i służby drogowe miały pełne ręce roboty. Sprawozdawcy telewizyjni ostrzegali przed wychodzeniem z domu i pochopnym wyjeżdżaniem na ulice.

Dina puszczała mimo uszu ich podniecone głosy. Wiedziała, że ojciec, doglądając ze swojego fotela na kółkach ubierania choinki, słucha jednocześnie z uwagą najnowszych doniesień. Sama nie mogła przestać myśleć o córkach, które powinny lada chwila wracać do

domu. Szesnaście lat to nie jest odpowiedni wiek, by prowadzić samochód w tak zradliwych warunkach.

Znów westchnęła, tym razem głośniejsz, oderwała oczy od padającego śniegu i przeniosła wzrok na swój wizerunek w szybie. Jej mąż wciąż powtarzał, że wygląda najwyżej na dwadzieścia pięć lat. Parsknęła z rozbawieniem, patrząc teraz na jego odbicie w oknie. Stał wysoko na drabinie, trzymając w wyciągniętej ręce błyszczący łańcuch, który wraz z innymi ozdobami wieszal na najwyższych gałęziach wysokiej pod sufit choinki.

Westchnęła po raz trzeci, jeszcze bardziej przejmująco. Dlaczego ma się zamartwiać sama? W końcu jej mąż mógłby podzielić z nią ten niepokój. Uśmiechnęła się z ukrytą satysfakcją, kiedy dobiegły ją męskie szepty i kątem oka dostrzegła, że jej wysoki, przystojny syn, tak podobny do ojca, wskazuje głową w kierunku wykuszu, wyjmując ojcu z ręki łańcuch.

Zamknęła oczy i czekała, już po chwili czując, jak silne ramię męża obejmuje ją w pasie.

- Przestań się martwić - szepnął czule, gładząc dłonią lekką wypukłość jej brzucha. - Dobrze się czujesz?

- Jak na ciężarną kobietę w średnim wieku?

- Nie, skarbie...

Nie dała mu dokończyć:

- Dziewczęta nie przyjęły tej wiadomości zbyt dobrze, prawda?

- Prawda - przytaknął z uśmiechem - ale będą musiały się z tym pogodzić. Nie mają wyjścia.

- Może powinniśmy byli poczekać z tą nowiną do rana.
Samantha powiedziała, że naumyślnie zepsuliśmy jej dzisiejszy wieczór.

Przytulił ją mocniej, a Dina z ulgą wtuliła się głębiej w bezpieczny azyl jego ramion. Jakże kochała tego mężczyznę, kochała miłością z biegiem lat coraz dojrzałszą i silniejszą.

- Samantha jest rozpuszczona i porywcza - mruknął, nadal czując niezadowolenie z zachowania córki.

- Ma to po tobie - zażartowała Dina.

- Ale to jej nie daje prawa do mówienia ci takich rzeczy. Victoria też się nie popisała. - Westchnął, muskając oddechem jej ucho. - Patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi, pełnymi wyrzutu oczami, jakbym był przestępcą. - Poglądził żonę czule. - Domyślasz się o co im chodzi? Dlaczego są takie zszokowane i niezadowolone?

- Ponieważ mają szesnaście lat i będą musiały znosić docinki przyjaciół, kiedy będą chodzić z wielkim brzuchem.

- Nie, ponieważ zostały postawione oko w oko z faktem, że ich rodzice nie stronią od seksu. Że robią wszystkie te rzeczy, o których one się uczą.

Dina roześmiała się. Jej ciepły oddech odbił się zamglonym kółeczkiem na zmarzniętej szybie, przypominając jej o zmartwieniu.

- Powinny już być w domu. Może lepiej idź po nie; - Podatna na zmienne nastroje, gotowa była wybuchnąć płaczem. - Nie powinniśmy dawać im samochodu, i to na ich pierwsze oficjalne przyjęcie. Do tego w Wigilię i na tę pogodę. Co będzie, jeżeli...

- Przestań, kochanie. Przyjęcie jest tylko trzy ulice stąd.

- Trzy bardzo długie, kręte, śliskie ulice. A jeśli Bob i Mary tu nie dojadą? Byłyby to pierwsze święta bez nich od czasu naszego ślubu i... - Zacisnęła mocno usta i łza spłynęła jej po policzku.

- Doskonale wiesz, że Mary zmusiłaby Boba do jazdy na drugi koniec świata, żeby być z nami. A jeśli chodzi o dziewczęta, to dla twojego spokoju chętnie po nie pójde.

Dina odwróciła się do niego z uśmiechem i pocałowała go w policzek.

- Dobrze. Zrobię wszystkim gorącą czekoladę.

Pochwyciła spojrzenie syna i przesłała mu porozumiewawcze mrugnięcie. W tym momencie dało się słyszeć głośnie trzaśnięcie drzwi. Ozdoby na choince zadrżały, kryształowy żyrandol rozdzwonił się tysiącem dzwoneczków.

- Wygląda na to, że nasze aniołki właśnie wróciły cało i zdrowo.

Dina skrzywiła się na dźwięk podniesionych głosów córek - kłóciły się, jak zwykle, ale przynajmniej dojechały bezpiecznie do domu. Kamień spadł jej z serca. Cała rodzina była już w komplecie i wreszcie mogła spokojnie odetchnąć.

Do pokoju wpadły dwie młode piękności o długich, jasnych włosach, delikatnych rysach i zaczerwienionych z zimna policzkach. Zrzuciwszy po drodze płaszcze, zatrzymały się jednocześnie przed matką i wbiły w nią ostre, badawcze spojrzenia. W końcu głos Samantha przeciął jak biczem powietrze:

- Matka Jane Harmon powiedziała jej, a Jane nam powtórzyła, że kiedy byłaś w naszym wieku, siedziałaś w domu wariatów. To chyba nie może być prawda?

W pokoju zapadła taka cisza, jakby wszystkim nagle zabrakło oddechu. Dina mogłaby przysiąc, że słyszc głośne bicie jej serca. Zaczepnęła gęboko powietrza i usiadła ciężko na kanapie.

- Mamo, powiedz coś. Dlaczego ona tak mówiła? Przecież nie mogłaś być w niczym takim, prawda?

Dina zamknęła na moment oczy i w tym ułamku sekundy z obezwładniającą siłą spadł na nią cały ból, strach i poczucie krzywdy, jakich doświadczyła. Obawa przed tą chwilą od dawna stanowiła jej zmore, tkwiła w niej niczym zadra, którą kiedyś trzeba będzie wydobyć. Przez całe lata tysiąc razy planowała, co powie, kiedy ta chwila nastąpi. Ale teraz, patrząc na córki, widząc w ich oczach nadzieję, że przyjaciółka skłamała, nie potrafiła wykrztusić słowa. Boże, jakże się bała tej rozmowy! Wskazała miejsce obok siebie na kanapie, zachęcając córki, żeby usiadły.

Bliźniaczki spojrzały na siebie. Victoria usiadła z gracją baletnicy i wzięła w dłonie lodowatą rękę matki. Samantha postąpiła krok ku siostrze, ale stanęła jak wrośnięta w ziemię, chwyciwszy się pod boki.

- Mamo, odpowiedz. Czy Jane mówiła prawdę? Rzeczywiście byłaś w domu wariatów?

- Nie, Samantho.

Dina urwała, obejmując wzrokiem najpierw Victorię: słodką, łagodną Vicky, starającą się, by nikogo nie urazić, a potem Sam, tak podobną do ojca, gotową walić na oślep, kiedy ją ktoś zrani. Ujrzała ulgę w ich oczach i zrozumiała, że jeśli nie rozegra tego w sposób właściwy, ich młodzińczy, niewinny świat może lec w gruzach.

- Nie byłam w „domu wariatów”, jak to nazywasz, Sammy. Byłam w prywatnym sanatorium. - Spojrzała na męża i uśmiechnęła się. - Chyba już czas, prawda?

- Sądzę, że tak, kochanie - powiedział i usiadł na oparciu kanapy, obejmując ją opiekuńczo ramieniem. - Czy chcesz, żebym...

-Nie, to należy do mnie.

Dina powiodła wzrokiem po obecnych, zastanawiając się, czy i jak się zmienią, kiedy opowie im swoją historię. Jej syn miał już dziewiętnaście lat i był dorodnym, przystojnym młodzińcem- czy będzie patrzył na nią innymi oczami? Zatrzymała spojrzenie na ojcu - człowieku, od którego się to wszystko zaczęło. Siedział zgarbiony w fotelu na kółkach, z kocem na kolanach, okrywającym bezwładne nogi. Odwzajemnił jej spojrzenie i zobaczyła w jego oczach łzy. Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia z powodu gniewu, który ją ogarnął.

- Dlaczego, mamó? - Samantha, która stała dotąd nad siostrą, opadła nagle na podłogę obok kanapy, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. - Dlaczego tam byłaś?

Tu nie ma łatwego wyjścia, pomyślała Dina, trzeba powiedzieć im całą, brutalną prawdę.

- Powiem wam, dlaczego spędziłam dziesięć lat w sanatorium. - Puściła mimo uszu zduszony okrzyk córki. - To długa historia, z której wiele wątków poznałam później; wiele fragmentów poznawałam wyrywkowo, zanim złożyły się w całość. Ale opowiem wam wszystko po kolei, żebyście mogli lepiej zrozumieć.

Dina wiedziała, że trudno jej będzie opisać dzieciom siłę swojej miłości do ich ojca i intymną naturę ich związku. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Nawet po dwudziestu latach nie byłaby w stanie ubrać swoich uczuć w słowa przeznaczone dla innych, ale mogła przeżyć je na nowo sama, przypominając sobie każdy cudowny szczegół. Dojrzała figlarną iskierkę w oczach męża i wiedziała, że on też z przyjemnością wróci do wspomnień.

- Mamo, proszę cię - ponagliła ją niecierpliwie Samantha, - Dlaczego byłaś w takim okropnym miejscu? Co zrobiłaś?

Dina wyciągnęła rękę i pogłaskała córkę po głowie. - Oskarżono mnie o to, że zamordowałam swoją babkę.

Patrząc na oniemiałe ze zgrozy twarze dzieci, gorączkowo zastanawiała się, jak rozpocząć swoją opowieść, od czego zacząć. Zerknęła na męża, posyłając mu dzielny, choć stropiony uśmiech. Szukając w myślach pierwszych słów, wciągnęła głęboko powietrze w płuca, a wraz z nim ostry, sosnowy zapach choinki.

Wiedziała już, jak zacząć.

Lato 1976

Sosnowy zapach wypełnił jej nozdrza, lecz nie był to słodki, wonny zapach leśnych igieł, tylko ostra, przejmująca woń detergentów. Dina Deveraux wzdrygnęła się, wdychając mieszaninę odoru mokrych szmat i środków czyszczących. Chciała jak najszybciej wydostać się z ciasnego schowka, uwolnić od tego smrodu, ale nie mogła się ruszyć. Czuła się, jakby ktoś stał nad nią, waląc ją w głowę młotkiem. Przy każdym uderzeniu serca młotek spadał z obezwładniającą siłą, ona zaś kuliła się i zaciskała powieki.

Przed chwilą bowiem wróciła jej pamięć.

Po dziesięciu latach, podczas których nie wiedziała, kim jest ani jak i dlaczego się tu znalazła - nagle uświadomiła sobie wszystko z przerażającą jasnością.

Mieszanina wspomnień zalała ją falą bólu, udręki i cierpienia, nasuwając jej przed oczy serię obrazków z przeszłości, które obezwładniły ją i pozbawiły tchu,

Trzęsącą się ręką odgarnęła włosy ze zlanej potem twarzy, patrząc na trzonek szczotki do zamiatania, którą wetknęła między drzwi a futrynę. Wraz ze smugą światła, wpadającą przez szparę, wciskał się tu też miękki, monotony głos—głos widmo.

J'ai lu un bouquin sensa. - Czytałem doskonałą książkę. Proszę powtórzyć: *J'ai lu un bouquin sensa.*

To język francuski okazał się czynnikiem, który przywrócił jej pamięć, otworzył zapadkę w mózgu. Jeszcze przed paroma minutami rozsadzało ją uczucie szczęścia i nie mogła się powstrzymać, żeby nie podzielić się z kimś swoją radością. Wybiegła z domku i popędziła do głównego budynku, przekradając się na drugie piętro, gdzie pełniła nocny dyżur Patrycja Nelson, szefowa pielęgniarek i jej przyjaciółka. Musiała z nią porozmawiać i dowiedzieć się, czy Pat już wie, że nareszcie, po dziesięciu latach, mają ją wypuścić na wolność. Ale kiedy zbliżała się do dyżurki, coś powstrzymało ją w pół kroku, jakby wpadła na szklaną ścianę.

Wszyscy mówili o tym, że Patrycja wybiera się na wakacje do Francji, ale Dina nie wiedziała, że uczy się z tej okazji francuskiego. To właśnie ów miękki, bezimienny głos lektora wprowadził ją w stan szoku, przywołując wspomnienia z przeszłości. Ogarnięta paniką, odwróciła się i uciekła, szukając schronienia w ciemnym schowku na szczotki, gdzie skulona w kłębek próbowała się uspokoić.

Potrząsnęła teraz gwałtownie głową, starając się uporządkować wspomnienia. Przez dziesięć lat była niczym niezapisana karta papieru. Naturalnie, powiedzieli jej, kim jest, co zrobiła i dlaczego została wysłana do sanatorium. Doktor Ernest Gresham powtarzał jej to wielokrotnie. Wypełniał wszystkie luki w jej mózgu.

Choć trudno w to uwierzyć, przyjmowała jego słowa bez sprzeciwu. Tak było łatwiej - dla niej, dla niego i dla personelu. Nauczyła się tu jednej rzeczy, pomyślała, patrząc na smugę światła w

drzwiach i mimowolnie słuchając lekcji francuskiego - nauczyła się kłamać.

Zamknęła oczy tak mocno, że łzy pociekły jej po policzkach. Nie chciała tych strasznych wspomnień, ale nagle, bez ostrzeżenia, znów była dzieckiem- chorym, półprzytomnym, zagubionym, pragnącym jedynie, aby ktoś je objął i przytulił.

- Proszę cię, Boże - jęknęła - ja nie chcę tego pamiętać.

Ale wraz z monotonnym głosem lektora wciskającym się w ciasny schowek, napłynął inny głos - nie słyszała go od dziesięciu lat, lecz natychmiast poznała: był to głos jej babki, naznaczony mocnym, francuskim akcentem. Babka była zła, kłóciła się z jakimś mężczyzną. Krzyczeli na siebie, ale Dina nie mogła zrozumieć, o co im chodzi. Była znów małą dziewczynką i bolała ją głowa. Zrobiło jej się niedobrze i musiała usiąść na podeście schodów: Nagle usłyszała coś w głosie babki czego nigdy dotąd u niej nie słyszała: był to strach.

Wtuliła się teraz w ścianę schowka, zatykając uszy, ale głosy z przeszłości nie dawały się odpędzić, podobnie jak obrazki z szaleńczą prędkością przewijające się jej przed oczami.

Babka była na nią bardzo zła tego dnia. Dina oczami wyobraźni widziała opuszczone, samotne dziecko, jakim wówczas była, trzymające się za piekący policzek i ze łzami w oczach patrzące na wyniosłą, zimną kobietę, która mówiła podniesionym tonem: „Merde! Idź do swojego pokoju, ty mała idiotko, i nie wychodź, dopóki cię nie zawołam”. To były ostatnie słowa, jakie usłyszała od babki; to był ostatni raz, kiedy widziała ją żywą.

W jakiś czas później przybyła policja, lecz ona wtedy już nic nie pamiętała. Wymazała z pamięci całą przeszłość, wszystko. Potem dowiedziała się, że kiedy ją znaleziono, siedziała kołysząc w ramionach ciało babki i kurczowo ściskając w ręce długi, zakrwawiony nóż kuchenny.

Znów potrząsnęła głową, próbując odpędzić zmyły przeszłości. Dziesięć lat temu, myślała, byłam jeszcze dzieckiem, trzynastoletnim dzieckiem, i skazano nonie na pobyt w zakładzie zamkniętym za zbrodnię, której nie popełniłam. Rozbudzony nagle instynkt samozachowawczy ostrzegł ją jednak, żeby na razie nic nikomu nie mówić ani nie przyznawać się do powrotu pamięci. To by wszystko skomplikowało. Odetchnęła parę razy głęboko, próbując odzyskać równowagę.

Później wyciągnęła trzonek szczotki ze szpary w drzwiach i ostrożnie je zamknęła. Musi wziąć się w garść. Gdyby ktoś ją tu znalazł, uznaliby ją za pomyloną. Zakrztusiła się śmiechem. Niemniej fakt pozostaje faktem że gdyby ją tu odkryto, pytaniom nie byłoby końca. Może nawet odroczone by jej zwolnienie. Nie mogła do tego dopuścić, a już na pewno nie teraz. Wstając, omal nie krzyknęła z bólu, tak była zdrtwiała po długotrwałym siedzeniu w kucki. Drżącymi rękami otrzepała się z kurzu i wygładziła ubranie. Musi przemyśleć milion rzeczy, ale na to przyjdzie czas później. Teraz chciała tylko szybko i niepostrzeżenie dostać się do swojego domku.

Wysunęła się ze schowka, zamknęła cicho drzwi i ruszyła ku schodom, kiedy zatrzymał ją głos Pat. Odwróciła się ze sztucznym uśmiechem.

- Cześć! Nie chciałam ci przeszkadzać w nauce. Pat przyglądała jej się uważnie.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz jakoś dziwnie.

- Też byś dziwnie wyglądała, gdybyś miała lada chwila się stąd wydostać.

Dina wolno zaczęła się zbliżać do dyżurki, zastanawiając się, czy Pat dostrzeże jej niepewny krok i zauważy, że cała się trzęsie. Im bliżej była kontuaru, tym bardziej drżała.

- Nic jeszcze nie wiesz?

- O czym ty mówisz?

- Naprawdę nic nie słyszałaś?

- Daj spokój, Dina, za późna pora na bawienie się w zagadki.

Patrycja Nelson szybko wyszła z za kontuaru. Była to wysoka, szczupła kobieta około czterdziestki, o krótkich, ciemnych włosach i opalonej twarzy, którą zawdzięczała czterodniowemu weekendowi.

- Prawda, nie było cię kilka dni... Jutro wychodzę, Pat. Sędzia Jones zabił się w zeszłym tygodniu i prowadzone przez niego sprawy przejął inny sędzia. To właśnie on zadzwonił do mojego adwokata, mówiąc, że przejrzał moje akta i uznał, że nastąpiła pomyłka sądowa. Podpisał już nakaz mojego zwolnienia i w poniedziałek rano skontaktował się z doktorem Greshamem. To było wczoraj, tak? Boże,

wszystko toczy się tak szybko. W każdym razie ten sędzia osobiście doręczył doktorowi Greshamowi moje zwolnienie.

- Czekaj, czekaj... - Głos Pat był ochrypły i zaniepokojony. Jej opalona twarz zbladła. - Powiedziałaś, że sędzia Jones popełnił samobójstwo. Dlaczego? Co się stało?

Śmiech Diny zabrzmiał ostro i nienaturalnie nawet w jej własnych uszach. Jeśli zaraz się stąd nie wydostanie, gotowa oszaleć.

- Czy możesz sobie wyobrazić, że został oskarżony o branie łapówek?

Starła się ignorować szmer głosu lektora, dochodzący z magnetofonu. Wiedziała, że mówi za szybko, niemal łyka słowa, ale choć chciała zostać i wszystko Pat opowiedzieć, musiała uciec od tego głosu, schronić się w zaciszu swojego domku i uporządkować wspomnienia rozsadzające jej głowę.

- Posłuchaj, Pat... - Zaczęła się cofać, lecz pielęgniarka szła za nią krok w krok. - Muszę skończyć pakowanie - próbowała się wytłumaczyć. - Mary przyjeżdża po mnie z samego rana. - Zdołała dotrzeć do schodów ewakuacyjnych. Głowa pękała jej z bólu, a Pat nie spuszczała z niej oczu. Dina zmusiła się do uśmiechu, a potem nawet roześmiała wesoło. - Przyjdę do ciebie jutro - obiecała.

Chwyciła zimny, stalowy uchwyt na drzwiach i z ulgą je otworzyła.

- Poczekaj - błagała Pat niemal z rozpaczą w głosie.

Dina zastygła, patrząc na nią szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

- Gdzie teraz będziesz mieszkać, Dino? Doktor Gresham z pewnością nie pozwoli ci zostać całkiem samej?

Cofając się o krok, Dina szerzej otworzyła drzwi.

- Na razie zatrzymam się u Mary, dopóki nie zdecyduję, co robić dalej. - Nie dbała już o to, co sobie Pat pomyśli. Nie mogła zostać tu ani chwili dłużej. - Muszę iść. - Wysunęła się za próg, okęciła na pięcie i szybko zbiegła po schodach.

Patrycja Nelson długo patrzyła na drzwi, które się za nią zamknęły, a potem odwróciła się z rezygnacją. Ciężkim krokiem wróciła do dyżurki, rozejrzała się po obu stronach długiego korytarza, sprawdzając, czy ktoś jej nie usłyszy. Trzęsącą się ręką podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer. Kiedy słuchała głuchego dźwięku dzwonka po drugiej stronie, ciarki przeszły jej po plecach.

Wilgotne powietrze nocy uderzyło ją w twarz niczym mokry ręcznik. Wzdrygnęła się, ale nie zwolniła kroku, uciekając w popłochu przed ścigającymi ją upiorami. Chciała czym prędzej schronić się w swoim małym domku, w spokojnej przystani, którą sobie stworzyła. Myślała tylko o tym, żeby się tam dostać, żeby zostać sama i uporządkować wszystko, co się zdarzyło.

Przez dziesięć lat niczego tak nie pragnęła, jak odzyskać pamięć - teraz zaś chciała, żeby te wspomnienia zniknęły. Nigdy nie sądziła, że przyniosą jej tyle bólu. Równocześnie jednak nie mogła się oprzeć radości, że potwierdziły też jej niewinność.

Nie zwracając uwagi na duszne powietrze i pot zalewający jej oczy, biegła co sił przez trawnik. W końcu, ciężko dysząc, wpadła do

domku, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie resztką sił. Serce tak jej waliło, jakby miało wyrwać się z piersi.

Boże, pamięta wszystko.

Powiodła wzrokiem po pokoju, rozpaczliwie szukając czegoś bliskiego, czegoś znajomego, czegoś, na czym mogłaby się skoncentrować i uspokoić gonitwę myśli. Wszędzie piętrzyły się pudła i leżały porozrzucane ubrania. Jej sztalugi stały złożone pod ścianą, a obrazy, farby i pędzle były już spakowane.

W końcu jej oczy spoczęły na jedynej rzeczy, która stanowiła stały punkt w jej życiu, jedynej, która trzymała ją uwiązaną do ziemi. Wpatrywała się intensywnie w swoją maszynę do szycia, ale tak upragnione ukojenie nie nadchodziło.

Obrazy z przeszłości znów osaczyły ją z taką siłą, że osunęła się na kolana. Słyszała głos babki tak wyraźnie, jakby ta stała nad nią, instruując, jak się robi poszczególne ściegi, jak układa się materiał na piersiach, a jak wokół bioder. Agatha Fleur Deveraux była wymagającą nauczycielką i w wieku dwunastu lat

Dina umiała już tak podszywać suknie, że tylko bardzo wprawne oko mogło dostrzec ślad obróbki.

Wspierając się o drzwi, Dina podniosła się na nogi, wyprostowała i zamknęła oczy. Fleur. Potrząsnęła głową. To słowo nie dawało jej spokoju. I w tym momencie sobie przypomniała. „Fleur” to była nazwa butiku jej babki, w którym jako dziewczynka pracowała codziennie po szkole i podczas weekendów.

„Fleur”. Suknie z jedwabiu lekkiego jak piórko, z błyszczącego atlasu i wełny tak cienkiej i delikatnej, że przelewała się przez palce, a także z gęstego brokatu o wypukłym wzorze, który wciąż czuła pod opuszkami palców. Suknie we wszystkich kolorach tęczy, prawdziwa uczta dla oczu.

Dina ciężko westchnęła. Rzeczywistość umykała jej, ustępując miejsca przeszłości. Była teraz dorosłą kobietą, siedziała u siebie w domu, lecz zamiast wnętrza pokoju widziała oblicze babki - i to tak wyraźnie, jakby ta stała tuż przed nią. Widziała każdą zmarszczkę na jej surowej twarzy, twarzy, która potrafiła rozbłysnąć nadspodziewanie pięknym uśmiechem. I choć Dina odziedziczyła po niej ten uśmiech, sama była nim przez babkę rzadko obdarzana.

Nagle pociemniało jej w oczach, poczuła silny zawrót głowy i zabrakło jej tchu. Z mroku pamięci, bez ostrzeżenia, dobiegł ją ostry, chrapliwy, męski głos - podniesiony głos, pełen nienawiści. Po chwili rozpląnął się, ustępując miejsca głosowi babki, w którym dźwięczał strach.

Wspomnienia napływały natrętną falą urywanych obrazków.

Znów miała trzynaście lat i siedziała zgięta wpół na schodach, walcząc z mdłościami i przerażeniem, mocno zaciskając powieki. Babka krzyknęła, wydając wysoki, ostry dźwięk, który szybko zamarł. Dina zastygła bez ruchu, wstrzymując oddech. Odniosła wrażenie, że minął wiek, gdy usłyszała odgłos zatrzaskiwanych drzwi, ale jeszcze dużo czasu minęło, zanim odważyła się wstać i, trzymając się poręczy, zeszła chwiejnym krokiem po schodach.

Była tak ogłuszona i zamroczone, że dopiero po chwili spostrzegła babkę leżącą na podłodze, na środku perskiego dywanu. Szepnęła teraz mimo woli imię -Nana - którym ją nazywała, podobnie jak wtedy, dziesięć lat temu, gdy na niepewnych nogach, zataczając się jak pijana, podeszła do nieruchomej postaci. Chwiejąc się, stała i próbowała zrozumieć, dlaczego babka leży na podłodze. I nagle sama osunęła się na kolana, porażona straszliwym widokiem, jaki ujrzała. Klęcząc nad starą kobietą, nie mogła oderwać wzroku od ogromnej, czerwonej plamy rozlanej na białej, jedwabnej bluzce.

Jak we śnie wyciągnęła rękę, dotykając piersi babki, i cofnęła ją szybko, czując ciepłą lepkość. Podniosła mokre palce do oczu. Babka była jedyną bliską istotą na świecie, jaką posiadała. Patrząc teraz na swoje zakrwawione palce, uświadomiła sobie w jednej chwili, że została sama. Ogarnęła ją taka żalność i rozpacz, że niewiele myśląc, chwyciła bezwładne ciało w ramiona i przytuliła do siebie, kołysząc się miarowo w tył i w przód. Potem wyrwała z rany zakrwawiony nóż, zacisnęła go mocno w dłoni i nie przestając się kołysać, zaczęła głośno krzyżeć. W tej pozycji znaleźli ją sąsiedzi, kiedy zwabieni krzykiem, weszli niepewnie do domu.

Dina zakryła teraz uszy rękami, starając się odsunąć osaczające ją dźwięki i obrazy - gwar, krzyki, ludzi wrywających babkę z jej objęć, kogoś na siłę rozginającego jej palce, żeby wyjąć nóż. A potem zapadła ciemność, głęboka i nieprzenikniona, a wraz z nią błogosławiona cisza. I dopiero wtedy poczuła się bezpiecznie.

Kiedy następnym razem otworzyła oczy, stał nad nią jakiś mężczyzna, uśmiechając się uprzejmie. Przedstawił się jako doktor Gresham i powiedział, że przez pół roku pozostawała w stanie katatonii. Potem zaś, w ciągu następnych dni, miesięcy i lat, dowiedziała się, kim jest i co zrobiła.

A teraz sama sobie wszystko przypomniała.

Natarczywe pukanie do drzwi przeniosło ją z powrotem do rzeczywistości. Powstrzymując łzy, otarła oczy wierzchem dłoni. Nikt nie powinien jej widzieć tak wzburzonej. Nikt nie powinien niczego się domyślać.

Wyprostowała się i przykleiła do twarzy sztuczny uśmiech, otwierając drzwi.

- Mary, co tu robisz?

Mary Piper była jej najlepszą przyjaciółką, asystentką doktora Greshama, a zarazem jego sekretarką i prawą ręką. To właśnie ona zaproponowała Dinie, aby zatrzymała się u niej tak długo, jak tylko zechce. Jednym spojrzeniem oka ogarnęła sytuację i spytała:

- Płakałaś?

- Ogarnęła mnie panika - przyznała się Dina. -Czuję się roztrzęsiona.

Mary rozejrzała się po pokoju i pokiwała głową.

- Rozumiem. Gdybym ja miała spakować to wszystko, też bym płakała. Ale mam dobrą nowinę. Wyjeżdżasz stąd ze mną natychmiast, więc bierz walizki.

To wszystko dzieje się zbyt szybko. Dina patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

- Ale doktor Gresham mówił, że jutro. Co będzie ze wszystkimi moimi rzeczami i...

- Załatwione. Raul zabierze je z samego rana i przywiezie do mnie. A jeśli chodzi o doktora Greshama, to niemal upierał się, żebyś wyjechała jeszcze dzisiaj.

Mary chodziła za Diną po pokoju, pomagając jej się pakować i ciągnąc ciężkie walizki do drzwi.

- To mi nie wygląda na doktora Greshama. Co mu się stało, Mary?

Mary pochyliła głowę, żeby Dina nie dostrzegła na jej twarzy gniewu i poczucia winy. Uznała, że lepiej nie mówić jej o swoim odkryciu. Lepiej, żeby nikt się o tym nie dowiedział, ale przysięgła sobie, że jeśli ktoś kiedyś Dinie zagrozi, nie będzie milczeć.

Wyniosły z domku trzy pożyczone walizy i do-taskały je jakoś, popychając i ciągnąc, do parkingu. Mary, ledwo dysząc, rzuciła parę sarkastycznych uwag na temat umiejętności pakowania zaprezentowanych przez Dinę, a ta, czując nagły przyływ dobrego humoru, odgryzła się zjadliwie i nagle obie wybuchnęły niepohamowanym śmiechem. W końcu, dusząc się i krztusząc, załadowały walizki do bagażnika i wsiadły do samochodu. Kiedy skręcały za główny budynek, Dina poprosiła:

- Mary, stań na chwilę, dobrze?

- Proszę.

Dina odwróciła się i, wspierając podbródek na oparciu siedzenia, spojrzała za siebie na rząd dziesięciu białych domków, z których jeden przez ostatnie cztery lata był jej domem. Później przeniosła wzrok na główny budynek, gdzie mieszkała w jednym ze sterylnych pokoi na drugim piętrze przez poprzednie sześć lat.

- Dobra, możemy jechać - powiedziała po chwili, sadowiąc się z powrotem wygodnie w fotelu.

Wysoka, żelazna brama otworzyła się przed nimi, Dina pomachała Raulowi i uśmiechnęła się szeroko, kiedy pozdrowił ją przyjacielskim gestem, pokazując uniesiony do góry kciuk.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła.

- Jesteś wolna-zapewniła ją Mary.

- Na pewno nie każą mi tu wrócić?

Ta myśl prześladowała ją, odkąd dowiedziała się o nakazie zwolnienia. Drżała ze strachu, że to wszystko okaże się okrutnym żartem, że ledwo przekroczy bramę, rozlegnie się alarm i jak kukielka na sznurku zostanie wciągnięta z powrotem.

- Przysięgam, że jesteś wolna - powtórzyła Mary i nagle potężnie kichnęła.

- Na zdrowie... Ale czy sędzia jutro nie zmieni zdania?

Znów poczuła wzbierający w niej strach, który starała się zdusić. Została zwolniona i odzyskała pamięć, co dawało jej jeszcze większą wolność. Dużo czasu upłynie, zanim zdąży do tego przywyknąć. Zdała sobie sprawę, że Mary coś do niej mówi.

- Słucham?

- Oddałaś się marzeniom, Dino?
- Coś w tym rodzaju. Go mówiłaś?
- Jak rozumiem, twoje spotkanie z sędzią Harrisonem jest czystą formalnością.

- To dlaczego muszę się najpierw zgłosić u mojego adwokata?
- Nie wiem dokładnie, ale zdaje się, że pan Lambert o to prosił.
Mary znów kichnęła, a potem zaczęła kaszleć -długim i uporczywym kaszlem z głębi trzewi.

- Mary, chyba mi się nie rozchorujesz? Musisz jutro iść tam ze mną. - Strach znów chwycił ją za gardło i Dina kurczowo zacisnęła złożone na kolanach dłonie.

- Nic mi nie będzie. I za żadne pieniądze nie chciałabym stracić jutrzejszego dnia.

- Doktor Gresham też przyjedzie?

- Tak. - Mary poklepała ją po ręce. - Choćbyś nie wiem jak starała się to ukryć przed całym światem, ja i tak wiem, że się boisz. Nie przejmuj się, to normalne.

- Wielkie dzięki - powiedziała Dina z sarkazmem.

- Wybacz, ale to prawda - roześmiała się Mary. - Ja sama się boję, choć to mnie bezpośrednio nie dotyczy. Ale pamiętaj, że w sądzie będą sami życzliwi ci ludzie. Po pierwsze sędzia, który już cię zwolnił po drugie mecenas Lambert, który bronił cię przez dziesięć lat i od początku w ciebie wierzył. No i ja, a wiesz, że ja zawsze będę po twojej stronie. Zawsze.

Mary traktowała ją jak swoją córkę, choć była od niej starsza tylko o siedemnaście lat. Dina wyplakała przed nią niejedną łzę i nieraz zaznała od niej pociechy. Teraz też, na myśl o jej przyjaźni i wsparciu, poczuła się raźniej.

- Jak to się stało, Mary, że od pierwszej chwili, kiedy przybyłam do sanatorium, zostałam moją przyjaciółką?

- Mam powiedzieć prawdę czy coś, co chcesz usłyszeć?

Dina uśmiechnęła się w ciemności. Była to ich odwieczna gra, podczas której Dina z upływem lat coraz częściej wybierała to pierwsze. Podobnie jak teraz.

- Prawdę.

Mary przez chwilę w milczeniu patrzyła na drogę.

- No cóż... - Urwała, przypomniawszy sobie, że Dina nie jest już pacjentką sanatorium i nie musi uważać teraz na każde słowo, które przy niej mówi. - Nigdy nie wierzyłam, że zabiłaś babkę. Nie wiem dlaczego, ale nie wierzyłam. I dalej w to nie wierzę. Próbowałam nawet rozmawiać o tym z doktorem Greshamem. - Potrząsnęła głową i zerknęła na Dinę. - Rozgniewał się na mnie, chyba po raz pierwszy w życiu, więc nie poruszałam więcej tego tematu.

Dina nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, ale Mary po chwili podjęła poważniejszym tonem:

- Ale sama rozumiesz, że jeśli mam rację i ty tego nie zrobiłaś, to zrobił to ktoś inny. Ktoś, kto pewno wciąż jest na wolności.

Rzeczywiście, nie pomyślała o tym dotąd, wstrząśnięta nawałem wspomnień, jaki na nią spadł. Ktoś inny jest odpowiedzialny za

śmierć jej babki, ktoś, kto siedział cicho i pozwolił, aby zamknięto ją w odosobnieniu na dziesięć długich lat. Omal nie uległa pokusie, żeby powiedzieć to wszystko Mary, ale w ostatniej chwili zagryzła mocno wargi. Chociaż jej ufała, nie miała jeszcze dość wiary w siebie i sama nie bardzo wiedziała, jakie podjąć decyzje. Najlepiej więc na razie trzymać język za zębami.

Patrzyła przez okno na tabliczki drogowe witające ją w Houston, a z dala widziała światła miasta. Im bliżej była realnego świata, tym większe czuła zdenerwowanie. Wprawdzie podczas pobytu w sanatorium pozwolono jej chodzić do lokalnej szkoły - kiedy już stwierdzono, że jest niegroźna dla otoczenia - a później Raul woził ją do college'u, ale nigdy jeszcze nie była tak zostawiona sama sobie. Świadomość, że w razie potrzeby jest teraz zdana na własne siły, napawała ją zarazem strachem, jak i podnieceniem.

Z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło. Całymi latami modliła się o odzyskanie pamięci, a teraz, kiedy poznała okropną prawdę, nie mogła otrząsnąć się z tych wspomnień. Mary jest inteligentną kobietą i na pewno wkrótce zacznie się czegoś domyślać. Lepiej tymczasem odwrócić jej uwagę, zadając parę pytań.

- Ile zajmuje ci dojazd do pracy, Mary? I czy myślisz, że powinnam zmienić nazwisko?

- Około godziny w każdą stronę. I... nie. - Mary uśmiechnęła się do niej szeroko.

Nagle Dina poczuła się jak pusta kartka papieru, która czeka, aby ją wypełniono. Tyle rzeczy chciała wiedzieć. Jak zdoła sobie

poradzić na wolności? Jaką pracę mogłaby podjąć? I czy w ogóle znajdzie gdzieś pracę ze swoją przeszłością? Tłoczyły jej się w głowie tysiące pytań nieważnych dotąd w zamkniętym świecie, który właśnie opuściła.

Scandalous

Clayton Lambert odchylił się do tyłu w głębokim, skórzanym fotelu, oparł nogi na brzegu stołu i obdarzył jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów uroczą damę, która przysiadła na rogu biurka. Lynnett Overton Hamilton mogła się poszczycić zarówno dobrym urodzeniem, jak i klasą. Ta spadkobierczyni starej bankierskiej rodziny, która zrobiła fortunę w zamierzchłej przeszłości, miała idealną, klasyczną urodę: jasną cerę, wyraziste, piwne oczy i długie, ciemne włosy, zgarnięte do tyłu i upięte w modną fryzurę. Wysoka i szczupła, lecz zaokrąglona we właściwych miejscach, Lynn przypominała mu pełną gracji, leniwą kotkę. Na samą myśl o tym, co potrafiła robić z ustami, poczuł podniecenie.

Spotykali się od siedmiu miesięcy, a spali z sobą od sześciu. I to było mniej więcej wszystko, co ich łączyło. Wiedział, że Lynn należy do niego i chce go poślubić, ale czy on też tego chce? W wieku trzydziestu lat, często czując się, jakby miał czterdziestkę, sam przyznawał, że czas już się ustakować. Ale czy był gotów na to akurat z Lynn?

Znów ogarnęły go wątpliwości. W ciągu ostatnich paru tygodni za każdym razem, kiedy myślał o niej i o małżeństwie, czuł się nieswojo i niepewnie. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że czegoś w ich związku brakuje. Czy naprawdę chciałby budzić się z nią co rano i kłaść do łóżka co wieczór?

Chyba nie.

Ta, nagle uświadomiona sobie, brutalna prawda tak nim wstrząsnęła, że zerwał się na równe nogi, omal nie strącając Lynn z biurka. Ona również wstała, przysunęła się i zaczęła bawić guzikami jego koszuli.

- No więc, Clay?

Skrepowany jej bliskością i duszącym zapachem perfum, rozdrażniony nagłą zmianą własnego nastroju, Clay odwrócił się i podszedł do okna.

- Co: no więc?

- Chodzi o ten lunch. Gregg i Barbara chcą się z nami spotkać w klubie.

- Mówiłem ci już, że mam posiedzenie w sądzie i nie wiem, kiedy się skończy.

Patrzył przez okno na ulicę i zatrzymującą się przy chodniku taksówkę. Wsiadła z niej pasażerka z burzą jasnych, długich do ramion włosów. Uśmiechnął się nagle, ni stąd, ni zowąd, widząc, jak wiatr rozwiewa jej bujne loki, a słońce rozświetla je złocistą aureolą. Spójrz do góry, poprosił ją w myślach. Podnieś głowę, żebym mógł zobaczyć twoją twarz. Westchnął z żalem, że nie posłuchała, zmierzając prosto do budynku.

- Zapomniałam. To sprawa tej Deveraux, tak? -Lynn wstrząsnęła się lekko i podeszła do niego, obejmując go w pasie; - Mówiłeś wczoraj, że to posiedzenie to tylko formalność i nie potrwa długo. Poza tym, czy nie czujesz się nieswojo, musząc bronić takiego klienta?

- Przede wszystkim nie bronię jej, tylko reprezentuję firmę i dziadka. - Jej wędrujące ręce na chwilę wstrzymały mu dech w piersiach. Chwycił dłonie Lynn i przytrzymał. - A ponadto, czemu ten przypadek miałby się różnić od innych? Nie zapominaj, że jestem adwokatem od spraw kryminalnych. Bronilem zapewne gorszych przestępców, nawet o tym nie wiedząc.

- Clay! Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie pomyślałeś o ryzyku, na jakie się narażasz, spotykając się w tym biurze sam na sam z wyrachowaną, pozbawioną skrupułów morderczynią?

Roześmiał się.

- Nie będziemy sam na sam. Ma z nią przyjechać ktoś z sanatorium.

Uwolnił się z objęć Lynn i wrócił na fotel, patrząc z niejakim rozbawieniem, jak dziewczyna znów siada na brzegu biurka, tym razem bliżej niego.

- Chcę iść na ten lunch-powiedziała, wydymając wargi.

Czyżby dotąd nie zauważył tej kapryśnej nuty w jej głosie, kiedy się czegoś domagała? A może uważał to za czarujące, a nawet podniecające? Potrząsając głową, powiedział:

- Nie na to nie poradzę, Lynn.

- Jak ona wygląda?

- Kto?

Wiedział doskonale, o kim Lynn mówi, ale zawsze musiała przeskakiwać z tematu na temat. Pewno uważała, że trzyma w ten

sposób mężczyzn w stanie pogotowia. To go też kiedyś bawiło, ale teraz jedynie irytowało.

- No, ta Deveraux. Widziałeś ją kiedyś?

- Nie. Była klientką dziadka. Nigdy ze mną o niej nie rozmawiał.

- Niemożliwe. Na pewno w ciągu tych wszystkich lat coś o niej wspominał. - Przysunęła się jeszcze bliżej, pochylając ku niemu tak, że niemal dotykała wargami jego ust.

Przykro mi, ale nie. - Odchylił głowę do tyłu, patrząc na nią uważnie. - Skąd to nagle zainteresowanie przypadkiem Deveraux, Lynn? - Kiedy odwróciła wzrok, ujął w dwa palce jej podbródek, zmuszając do spojrzenia sobie w oczy. - Lynn?

- Niech to diabli. Mówiłam Barbarze, że nie potrafię cię oszukiwać.

- A cóż nasza królowa mody ma wspólnego ze sprawą Deveraux? - Puścił ją i wstał, przybierając swój najbardziej zimny, sądowy ton, którym wyciskał prawdę z najtwardszych kryminalistów.

- I dlaczego nie przyszedłeś do mnie po prostu i nie spytałeś o to, co chcesz wiedzieć? Po co te sztuczki?

- To był pomysł Barbary, Clay. Naprawdę. A powód jest właśnie taki, jak powiedziałaś: moda. Barbara jest szwagierką Lamar Maxell i próbuje jej pomóc chronić rodzinne interesy.

Clay potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiem. Wytłumacz mi, o co chodzi.

- Naprawdę nic nie wiesz? Lamar Maxell była asystentką Fleur Deveraux.

- Nadal niewiele mi to mówi - skomentował sarkastycznie.

- Fleur Deveraux to kobieta, którą zabiła twoja klientka, jej babka.

- No więc?

- Clay! Lamar przejęła sklep po jej śmierci. Prowadzi teraz jeden z najmodniejszych butików w Teksasie.

Clay zaczął przeczuwać, że będą kłopoty.

- Mówisz, że Lamar prowadzi ten sklep? To znaczy, że nie jest jego właścicielką?

Policzki Lynn oblały się purpurą.

- Nie, i właśnie w związku z tym miałam się od ciebie czegoś dowiedzieć. Kiedy Fleur Deveraux zginęła, twój dziadek pozwolił Lamar kupić czterdzieści pięć procent udziałów w sklepie, żeby mogła tam zostać i go prowadzić. Jakies pięć lat temu Lamar zebrała stosowny kapitał, żeby wykupić całość i zwróciła się z tym do twojego dziadka, ale on kategorycznie się sprzeciwił. Chciał zatrzymać zyski z interesu dla swojej klientki.

Clay uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały nadal zimne.

- Rozumiem. Lamar i Barbara namówiły cię, żebyś wyciągnęła ode mnie, czy dziewczyna będzie zwolniona i czy zamierza przejąć sklep?

- Tak.

Głos Claya stał się lodowaty.

- Nigdy więcej nie próbuj mnie w ten sposób wykorzystywać, Lynn.

Miała jednak na tyle rozsądku, że przybrała skruszoną minę.

- Wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie.

- Nic mnie nie obchodzi, czy uważałaś, że coś z tego wyjdzie, czy też nie. Po prostu nie próbuj Więcej takich sztuczek. A w ogóle dlaczego ta Lamar, Barbara i ty myślicie, że skoro dziadek umarł, to sytuacja się zmieniła?

- Nie wiem, Clay. One tylko chciały wiedzieć, jaka ta dziewczyna jest. Czy zechce zatrzymać ten sklep i czy potrafi dodać dwa do dwóch, nie mówiąc już o prowadzeniu interesu.

- Wiesz co? Może poradziłybyś swoim przyjaciółkom, żeby same ją o to zapytały?

Jego gniew zdziwił go samego i pomyślał, że musi się opanować. Co się z nim, do diabła, dzieje?

- Daj spokój, Clay. Chyba nie sądzisz, że po dziesięciu latach w szpitalu dla umysłowo chorych jest osobą zdolną do samodzielnej działalności?

- Pewno właśnie dlatego dziadek i nasza kancelaria zostali wyznaczeni do pilnowania jej interesów. - Jego głos zabrzmiał ostrzej, niżby chciał, dodał więc łagodniejszym tonem: - Posłuchaj, Lynn, dostałem dopiero tę sprawę i ledwo przeczytałem wezwanie sędziego Harrisona do stawienia się w sądzie. A co do możliwości i umiejętności mojej klientki? - Wzruszył ramionami. - Zapewne przyjdzie mi się z tobą zgodzić. Panna Deveraux... - Nie znał nawet jej imienia i musiał zajrzeć do akt leżących na biurku. - Dina Deveraux miała trzynaście lat, kiedy została skazana na pobyt w zakładzie

zamkniętym. Spędziła tam dziesięć lat. Nie sędzę, żeby przypominała teraz normalną dziewczynę w waszym wieku. Równie dobrze może być debilką.

Za każdym razem, kiedy taksówka stawała w nie kończącej się kolumnie samochodów, Dina czuła przemożny, irracjonalny, pierwotny strach. Strach jagnięcia wiedzionego na rzeź. Ty idiotko, wymyślała sobie, odrywając palce od pasa bezpieczeństwa i układając ręce spokojnie na kolanach. Uspokój się. Jeździłaś już przecież samochodem, a nawet kiedyś siedziałaś za kierownicą. Ale nigdy w takim piekle.

Sanatorium mieściło się w tak zwanym „mieście satelickim”, małym miasteczku położonym poza granicami Houston. Życie toczyło się tam wolno i leniwie. Teraz, wyglądając przez okno taksówki, zrozumiała, dlaczego doktor Gresham, Mary i inni woleli mieszkać na dalekim przedmieściu, a nie w sercu miasta. Sama myśl o codziennych dojazdach do pracy tymi wielo-pasmowymi, cuchnącymi spalinami, pełnymi żelastwa autostradami mogła przyprawić o ból głowy.

- Pani nie jest z Houston?

Taksówkarz od początku jazdy próbował Wciągnąć ją w rozmowę, ale Dina jedynie kiwała lub potrząsała głową. Nie była przesadnie nieśmiała, lecz teraz po raz pierwszy od dziesięciu lat znalazła się sama i ledwo żyła ze strachu:

Biedna Mary. Rano czuła się tak źle, że cała jej determinacja, aby towarzyszyć Dinie, na nic się zdała. Po kilku nieudanych próbach

ubrania się zwieńczonych gwałtownymi atakami kaszlu, zrozumiała, że nie będzie w stanie jechać do miasta. Usiłowała jeszcze namówić Dinę, żeby pojechała z doktorem Greshamem lub Raulem, ale ona za nic nie chciała tracić swojej świeżo zdobytej niezależności i znów zdawać się na czyjąś pomoc. W końcu przekonała Mary, że doskonale da sobie radę sama. Przecież jej adwokat i opiekun, stary pan Lambert będzie na miejscu a także i doktor Gresham, chociaż jego obecność mniej ją cieszyła. Mary była zbyt osłabiona, żeby się dłużej kłócić z Lynn, więc w końcu ustąpiła, ale dała jej na drogę tysiące cennych rad.

Taksówka stanęła i Dina, wyrwana nagle ze swych myśli, rozejrzała się dokoła, Stali przed niepozornym, pięciopiętrowym budynkiem z cegły, w którym mieściła się kancelaria adwokacka "Lambert, Bernard i Lambert". Wokół pięły się w górę stalowoszkłane drapacze. Przez dziesięć lat zaszły tu wielkie zmiany. Budynki były wyższe i gęsto ustawione obok siebie, wszędzie było więcej aut i ludzi. Przyjeżdżała tu kiedyś, dawno temu, z matką. Ubrane w najlepsze, niedzielne stroje, czasem jednakowe, w błyszczące lakierki i białe rękawiczki chodziły po sklepach, choć nigdy nic nie kupowały. Z tych zatartych, dalekich obrazów pozostało wspomnienie zabawy i śmiechu - i ból w sercu na myśl o utraconej matce.

Po jej śmierci przyjechała tu tylko raz, z babką, właśnie do tego budynku. Mała, jak na dziecko porządnie i modnie ubrana, szła dwa kroki za starą

dama, z oczami wbitymi w jej wyprostowane sztywno plecy. Zapamiętała też coś jeszcze - sposób, w jaki babka wpływała, niczym królowa, do tych bogato umeblowanych biur, zostawiając ją w poczekalni, cicho i nieruchomo przycupniętą w skórzanym fotelu.

Teraz, w holu, kiedy zdała sobie sprawę, gdzie jest, zatrzymała się w pół kroku, omal nie tracąc równowagi. Nie mogła sobie przypomnieć, czy zapłaciła taksówkarzowi ani w jaki sposób się tu dostała przez dwuskrzydłowe, szklane drzwi. Rozejrzała się szybko na boki, czy ktoś jej nie obserwuje.

Hol recepcyjny był pusty. Królował w nim zimny, biały marmur, błyszczący mosiądz i wysokie, zielone palmy, nieco zbyt artystycznie ustawione. Ostatnie dziesięć lat nie wyszły temu miejscu na korzyść. Jakiś pozbawiony gustu dekorator pozbył się ciepłego, drewnianego wykończenia i grubego dywanu i teraz to pomieszczenie przypomniało jej drugie piętro sanatorium. Samo to skojarzenie kazało jej szybko przypomnieć sobie rady Mary: „Nie denerwuj się. Odetchnij głęboko i zrób wszystko, żeby zachować spokój”. Nie mogła dopuścić do tego, aby ktokolwiek spostrzegł, jaka jest przerażona i niepewna, bo jeszcze gotowi wysłać ją z powrotem do sanatorium. Podeszła do windy. „Lambert, Bernard i Lambert”, piąte piętro - głośiła tabliczka.

To będzie wspaniała przygoda, powtarzała sobie Dina, naciskając guzik i czekając na windę. Poza tym pan Lambert jest uroczym, starszym panem i jej przyjacielem. Odetchnęła głęboko,

zebrała się na odwagę i weszła do windy, szybko naciskając przycisk piątego piętra, żeby się nie rozmyślić.

Zastanawiała się, czy ktoś kiedyś naprawdę umarł ze strachu, czy ona będzie pierwsza. Kiedy drzwi windy bezszelestnie się rozsunęły, wyszła czym prędzej, zaciskając aż do bólu ręce na torebce. Nie zwracając uwagi na eleganckie, wnętrze, ozdobione obrazami impresjonistów, wbiła wzrok w dwie młode kobiety, żywo rozprawiające za kontuarem recepcji.

Czy mówią o niej ? Czy kiedy usłyszą jej nazwisko, spojrzą na nią z tą charakterystyczną mieszaniną strachu, fascynacji i odrazy, którą tak dobrze poznała przez ostatnie dziesięć lat? Podchodząc bliżej, z nie-wysłowioną ulgą spostrzegła, że kobiety zajęte są własnymi sprawami, i to na tyle pilnymi, że nawet na nią nie spojrzwały, kiedy stanęła obok.

W końcu, nie mogąc się doczekać na ich reakcję, cicho odchrząknęła, a gdy i to nic nie dało, zebrała się na odwagę i powiedziała:

- Przepraszam, ale mam umówione spotkanie z panem Lambertem.

Jedna z kobiet rzuciła na nią wzrokiem i zajrzała do terminarza.

- Pani nazwisko?

- Deveraux. Dina Deveraux.

- Ach, tak. Biuro pana Lamberta jest tam. - Wskazała na korytarz. - Ostatnie drzwi na prawo. Zaprowadziłabym panią, ale mamy tu właśnie mały problem.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła ją Dina. - Trafie. No, cóż, pomyślała, świat, jak widać, nie czeka na pojawienie się Diny Deveraux, żeby się na nią gapić i robić przykre uwagi. Życie toczy się swoim trybem i przeszłość szybko odchodzi w dal. Kiedyś byłam na pierwszych stronach gazet, dziś nie wzbudzam nawet przelotnego zainteresowania.

Idąc korytarzem, nuciła w myślach jakąś nieokreśloną melodię, myśląc: Drzwi na prawo, drzwi na lewo... Gdzieś to już słyszała, ale nie pamiętała, gdzie. I czy ma to coś wspólnego z jakąś bronią? Stała przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie.

Zbierając siły, przypomniała sobie całą krzywdę, jaką ją spotkała, i poczuła narastający gniew. Musiała odczekać chwilę, żeby się uspokoić. Pan Lambert jest miłym staruszkiem i ufa mu, ale dlaczego nie przyjechał do niej, żeby zawiadomić ją o zwolnieniu? Zostawił to doktorowi Greshamowi, choć wiedział, że go znieubiła. Może jednak nie powinna ufać nikomu.

Mimo zamętu, jaki czuła, mimo wątpliwości i strachu, jedno wiedziała na pewno. Nie może sobie pozwolić na żadne ryzyko, zwłaszcza teraz, kiedy czuła, że wszystko zależy od tego, co zajdzie w tym biurze. Bądź chłodna i opanowana, powtarzała w duchu. Wyobraź sobie, że jesteś w gabinecie doktora Greshama. Zachowaj obojętną twarz. Nie okazuj żadnych emocji. Patrz wszystkim prosto w oczy. Nie daj im poznać, co naprawdę czujesz.

Podniosła rękę, żeby zapukać i zawahała się. Kiedy już tam wejdzie, zostanie oceniona, oszacowana, a może nawet ośmieszona.

Ale może również zostać wolna. Chwyciła za klamkę, nacisnęła ją mocno i wtargnęła do środka.

O Boże, ale z niej kretynka! Weszła do niewłaściwego gabinetu. I sądząc po bliskości jasnowłosego mężczyzny i urodziwej brunetki oraz po ich przestraszonym wyrazie twarzy, przerwała coś więcej niż rozmowę między adwokatem a klientką. Dina pierwsza odzyskała głos.

- Przepraszam - wymamrotała, próbując się czym prędzej wycofać. - Szukałam biura pana Lamberta.

- To właśnie tutaj. To ja.

Dina zatrzymała się w pół kroku. Prawdopodobnie nie ciągnęłaby tej rozmowy, gdyby nie jego protekcjonalny ton.

- Bardzo mi miło - odparła - ale pan nie jest tym panem Lambertem, którego szukam.

Tylko tego jej brakowało. Ostatnia rzecz, o jakiej marzyła, to arogancki, przemądrzały bubek, choćby nie wiem jak przystojny. A sądząc po wyniosłej minie kobiety i wyraźnym zniecierpliwieniu, jakie okazywała, z pewnością trafiła pod niewłaściwy adres. Jej kochany, słodki pan Lambert nie może mieć nic wspólnego z tą dwójką. W tym momencie w progu stanęła krępa, siwawa kobieta.

- Przepraszam pana, ale ta głupia dziewczyna z recepcji pokłóciła się z panem Bernardem i właśnie rzuciła pracę. Wysłała tu pannę Deveraux, nawet pana nie uprzedzając.

- Pannę Deveraux? - Clay zaniemówił, a Lynn wlepiła w nią niedowierzający i zafascynowany wzrok.

Dina zignorowała ich zaszokowane miny. Ten wyraz twarzy widziała już wielokrotnie, kiedy ludzie dowiadawali się, kim jest, choć tym razem mniej ją to obeszło. Spróbowała wymknąć się obok kobiety przez drzwi.

- To nie jest ten pan Lambert. Mam spotkanie z panem Taylorem Justinem Lambertem.

Clay usiłował odzyskać spokój i dobre maniery, ale był całkowicie wytrącony z równowagi. Ta delikatna, młoda kobieta z długimi, kręconymi włosami, w których igrał wiatr, jest Dina Deveraux? To ją właśnie widział, kiedy wysiadała z taksówki. To jej włosy słońce rozświetliło złocistą aureolą.

Uśmiechnął się leciutko na widok drobnych piegów na jej nosie i policzkach, piegów, których nie starała się zatuszować. A później nieomylnym okiem mężczyzny oszacował jej figurę skrytą pod prostą, brązową sukienką. Nie uszedł jego uwagi ironiczny wyraz jej niebieskich oczu, który świadczył, że dziewczyna dokładnie wie, o czym on myśli. Nieoczekiwanie poczuł się zawstydzony, co go tak zbiło z tropu, że powiedział bardziej szorstko, niż zamierzał:

- Taylor Justin Lambert jest... był moim dziadkiem. Umarł nagle w zeszłym tygodniu. Ja jestem Clayton Lambert.

Dina poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Zachwiała się, jakby miała upaść. Mężczyzna podbiegł do niej, podtrzymał ją ramieniem i delikatnie zaprowadził na fotel. Poprzez szum w uszach słyszała, jak prosi swoją towarzyszkę, żeby podała jej wodę i wyszła.

Wzięła szklanke do ręki, powtarzając sobie: Nie okazuj emocji. Zmusiła się do uśmiechu i pociągnęła łyk wody. Nie daj po sobie poznać jak cię to zabolalo. Mężczyzna odszedł na bok, usłyszała przyciszoną, gniewną konwersację i odetchnęła głęboko. Przede wszystkim opanuj się. Pokój przestał wirować jej przed oczami, szum w uszach ustał. Kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwi i kroki oddalające się po korytarzu, była już spokojna i gotowa do walki.

Ten epizod wstrząsnął Clayem tak bardzo, że nawet się nie starał ukryć irytacji, kiedy Lynn ociągała się z odejściem, najwyraźniej chcąc zostać. Kiedy wreszcie zamknął za nią drzwi, wrócił szybko do Diny.

- Dobrze się pani czuje?

Spojrzała na niego i Clay zamarł. Spodziewał się łez i hysterii, a zderzył się z jej zimnym, beznamietnym wzrokiem. Był przygotowany na to, żeby ją pocieszać i teraz znów poczuł się wytrącony z równowagi.

- Nie chciałem pani zdenerwować.

- Owszem, chciał pan. Inaczej nie powiedziałby mi pan tego w ten sposób.

Clay zamrugał oczami. Oczywiście ma rację, ale nie był przyzwyczajony do tego, żeby ktoś ucierał mu nosa. Wyprostował się i podszedł sztywno do biurka. Kiedy za nim usiadł, znów poczuł się panem sytuacji.

- Jak rozumiem, nikt nie zawiadomił pani o śmierci dziadka? Bardzo mi przykro.

Dina kiwnęła głową i przełknęła ślinę, żeby pozbyć się dławienia w gardle. Kiedy poczuła, że głos jej nie zdradzi, spytała:

- Co się stało?

- Miał atak serca. Zmarł spokojnie podczas snu. Ugryzła się z całej siły w policzek, aż do krwi. Ten facet patrzył na nią, przytrzymując jej wzrok. Biedny pan Lambert. Był dla niej zawsze taki miły i dobry.

Strasznie go jej będzie brakowało, ale nie może o nim teraz myśleć. Zrobi to później, w samotności, kiedy będzie mogła wylać wszystkie łzy, jakie dusi w sobie.

Ale mimo wysiłków jej oczy zwilgotniały - pochyliła więc szybko głowę, szukając w torebce chusteczki. Zaraz jednak odezwał się w niej gniew, przyćmiewając żal i osuszając łzy. Widziała już ten wyraz twarzy, z jakim teraz obserwował ją Clayton Lambert. Tę wystudiowaną, kliniczną ciekawość, z jaką ogląda się niecodzienny okaz, jakby była jakimś dziwnym stworem, który należałoby poddać drobiazgowej sekcji. Tak właśnie patrzył na nią doktor Gresham i nienawidziła tego z całego serca.

Jak zwykle uratowało ją wrodzone poczucie humoru, mówiąc jej, że ten biedak tutaj oczekiwał zapewne obłąkanej psychopatki albo może nawet bełkoczącej imbecylki, którą przywiozła w kaftanie bezpieczeństwa. Spodziewał się najgorszego, a kiedy to się nie sprawdziło, nie wiedział, co robić ani jak się zachować.

Widząc łzy i szybki ruch ręką do torebki, Clay chciał już podać jej chusteczkę, kiedy podniosła głowę i przyłapała go na gapieniu się

w nią. Najbardziej zdumiały go jej oczy; Ciemnoniebieskie, ocienione gęstymi rzęsami; śmiały mu się prosto w nos, jakby z niego pokpiwając. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, zdał sobie sprawę, że ta młoda kobieta nie jest głupia. Za tymi śmiejącymi się oczami krył się bystry umysł i inteligencja, która go zadziwiała i intrygowała. Ta dziewczyna stanowi dziw natury. Pozostawało dla niego zagadką, jak po dziesięciu latach spędzonych w zakładzie dla umysłowo chorych można mieć taki wygląd, maniery i klasę?

- Jeśli skończył pan już rozgryzanie mnie, to czy mogłabym się dowiedzieć, co mnie dzisiaj czeka?

No i proszę, znów wprowadziła go w zakłopotanie, a w dodatku najwyraźniej ją to bawiło. Wobec tego najlepiej zrobi, ograniczając się do spraw ściśle zawodowych. Tyle że i w tej dziedzinie, jak szybko zrozumiał, nie wypadnie zbyt korzystnie, skoro nie miał wcześniej czasu ani ochoty przeczytać dokładnie jej akt. Zaczaj przerzucać nerwowo papiery na biurku, otworzył jedną i drugą teczkę, wreszcie odchrząknął i powiedział:

- Bardzo mi przykro, ale muszę się usprawiedliwić... - Cholera, wcale nie chciał w ten sposób zaczynać, a tu ona jeszcze siedzi bez słowa, mierząc go tym swoim dziwnym wzrokiem. - Mam nadzieję, że zrozumie pani, że po śmierci dziadka zapanował tu pewien bałagan. Akta jego klientów ciągle jeszcze są segregowane... - Do diabła, dlaczego ona nic nie mówi? -Prawdę mówiąc, panno Deveraux, nie miałem jeszcze czasu zapoznać się dokładnie z pani przypadkiem.

Oddech zamarł jej w piersi i serce przestało bić.

- Czy to znaczy, że nie jedziemy dzisiaj do sądu? Że moje zwolnienie zostało odroczone?

Na ułamek sekundy w jej oczach zabłysło przerażenie i było to pierwsze uczucie, jakie pozwoliła sobie okazać, oprócz rozbawienia jego osobą.

- Nie, nie. Jesteśmy umówieni z sędzią Harrisonem za... - spojrzał na zegarek - jakieś pół godziny. Chodzi o to, panno Deveraux, że nie mam zielonego pojęcia, czego on chce, oprócz oficjalnego ogłoszenia, że zwalnia panią z sanatorium. Samobójstwo sędziego, który prowadził pani przypadek przez ostatnie dziesięć lat, oskarżenie o korupcję, inny sędzia wyznaczony na jego miejsce... Cóż, prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co o tym wszystkim sądzić...

- Dziękuję - powiedziała.

- Za co?

- Za szczerść. Ludzie zwykle starają się zbyć mnie byle czym.

Clay zauważył, że trochę się odprężyła, a nawet zdobyła na lekki uśmiech.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że tak bez uprzedzenia powiedziałem pani o śmierci dziadka. Widzę, że go pani szczerze lubiła.

- O, tak. Był bardzo kochany. - Uśmiechnęła się szerzej, widząc jego zdumioną minę. - Wcale nie przesadzam. Beż względu na to, co mówi doktor Gresham i inni, pan Lambert nigdy nie wierzył w moją winę, a jeśli wierzył, to nie dał niczego po sobie poznać. Przysyłał mi

czekoladki i kwiaty na urodziny i przyjeżdżał do mnie w odwiedzinie na Boże Narodzenie.

O innych wizytach nie miała ochoty teraz mówić. Te wspomnienia były dla niej zbyt cenne, żeby dzielić się nimi z kimś obcym.

- Dziadek? - Clay nie mógł w to uwierzyć. Jego dziadek uchodził za osobę oschłą i nieprzystępną, jeśli jednak trzymał się tego przypadku przez Całe dziesięć lat, to coś musiało w tym być. Dina Deveraux coraz bardziej go intrygowała. —Proszę mi coś powiedzieć.

No, tak, pomyślała z zamierającym sercem, nadszedł czas na nieśmiertelne pytanie: Czy naprawdę zabiłaś swoją babcię?

- Nie sądziłem, że takie instytucje jak sanatoria dla nerwowo chorych są objęte powszechnym systemem edukacyjnym, ale widzę, że jest pani dobrze wykształcona.

- Pan Lambert zadbał o to, jak i o wiele innych spraw. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok jego osłupiałej miny. - Uznano mnie za osobę niegroźną dla otoczenia, panie Lambert, i...

- Proszę, mówmy sobie po imieniu, dobrze? Jestem Clay.

- Straciłam pamięć po tym wypadku... Clay, ale już w trakcie pobytu w sanatorium wysłano mnie do miejscowej szkoły podstawowej, a potem do college'u. - Pochyliła się w jego stronę. - Dlaczego ten nowy sędzia zdecydował się tak nagle mnie zwolnić?

- Nie wiem. Lepiej już chodźmy. - Wstał i włożył marynarkę. - Czy osoba, która tu panią przywiozła, czeka w recepcji?

- Przyjechałam sama.

Clay kiwnął głową, chociaż nic nie rozumiał. Wziął ją za ramię i wyprowadził z biura.

- Gmach sądu jest tuż obok, więc możemy pójść pieszo.

Szli w milczeniu. Po kilku próbach nawiązania rozmowy zorientował się, że Dina jest śmiertelnie przerażona. Wiedział, ile to posiedzenie dla niej znaczy, więc zamilkł, zostawiając ją własnym myślom. Przysięgł sobie jednak w duchu, że jeszcze tego samego dnia zapozna się ze wszystkimi materiałami dotyczącymi Diny Deveraux.

Zachowaj spokój... Powtarzała to sobie, ale zaklęcie nie działało. Miała spocone dłonie i czuła taki ucisk w piersiach, że z trudem oddychała. Kiedy wchodzili do sądu, myślała, że zemdleje. Marzyła tylko o tym, żeby się odwrócić na pięcie i uciec. Na chwilę nogi odmówiły jej posłuszeństwa; stanęła w pół kroku i Clay musiał ją delikatnie pociągnąć za ramię, żeby ruszyć ją z miejsca.

- Odpręż się- szepnął, prowadząc Dinę do obszernej sali i sadzając na krześle za długim, dębowym stołem. - To wszystko odbywa się po to, żeby ci pomóc, Pamiętaj o tym.

- Mam nadzieję. - Nie patrząc na niego, spytała: - Ten sędzia nie może już zmienić zdania, prawda?

Bardzo chciał zapewnić ją, że nie, ale w sądzie nigdy nie można mieć gwarancji, zwłaszcza gdy przewodniczył sędzia Harrison. Był twardym i uczciwym człowiekiem, ale skłonny do czynienia z pewnych spraw przypadków pokazowych. Clay ścisnął jej rękę, splecione mocno pod stołem.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Mimo iż wciąż powtarzała sobie: „Nie ufaj nikomu”, te słowa otuchy przyniosły jej ulgę i na tyle podniosły na duchu, że odważyła się rozejrzeć po sali. Były tu tylko trzy osoby, sami mężczyźni. Twarzą dwóch z nich nie mogła dostrzec, bo wyraźnie się od niej odwracali, za to trzeci, młody człowiek mniej więcej w jej wieku, uśmiechnął się do niej szeroko i kiwnął głową. Zastanawiała się, gdzie jest doktor Gresham. Nigdzie go nie widziała.

- Kim jest ten mężczyzna, który się do mnie uśmiecha, jakby mnie znał? - spytała Claya.

- To dziennikarz - szepnął z grymasem niechęci, pochylając się nad nią i mimo woli wciągając głęboko w nozdrza delikatny zapach jej skóry. - Posłuchaj, Dino... - Czemu jej obecność tak bardzo go rozprasza? - Pod żadnym pozorem nie mów nic do sędziego, dopóki sam nie zada ci pytania. Rozumiesz? Nie wrywaj się z żadnymi informacjami.

- Dlaczego?

- Bo jeśli skłamiesz, możesz popełnić krzywoprzysięstwo.

- Dlaczego miałabym kłamać?

- Nie sprzeciwiaj się, tylko rób, co mówię - nakazał. - A jeśli zapyta cię o coś bezpośrednio i będziemy musieli udzielić odpowiedzi, poczekaj, aż wyrażę zgodę. Zrozumiałaś?

Miała prawdziwą awersję do robienia tego, co jej każą. Do tej pory zawsze musiała siedzieć cicho, uśmiechać się i być posłuszna. Ale koniec z tym. Jednak jej potrzeba, by dowieść swej niezależności,

nieco osłabła na widok upartej, gniewnej determinacji w jego ciemnych oczach.

- Tak, ale...

Od tej chwili wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Drzwi za nimi otworzyły się i wpadł przez nie wysoki mężczyzna, który, jak Clay jej szepnął, był prokuratorem i jego obecność tu to czysta formalność, jako że prokuratura nie zgłaszała sprzeciwu wobec decyzji sędziego.

W tej samej niemal chwili otworzyły się drugie drzwi, tyra razem po przeciwnej stronie, i głęboki, męski głos powiedział:

- Proszę wstać.

Clay podniósł ją z krzesła, czego nawet nie poczuła, całą uwagę kierując na niskiego, łysawego mężczyznę w długiej, czarnej todze, sunącego do stołu sędziowskiego. Sędzia usiadł, podparł brodę rękami i zmierzył salę surowym spojrzeniem, podczas gdy protokolant odczytywał numer i sygnaturę sprawy.

Jej odrętwienie powoli mijało. Przynaglona przez Claya usiadła i nawet zdołała przestać się trząść jak galareta, kiedy sędzia skierował na nią wzrok. Zdecydowanie i pewnie spojrzała mu z całą otwartością prosto w oczy. Czyżby jej się zdawało, że mrugnął do niej na znak aprobaty?

Sędzia Harrison z trudem krył dławiącą go złość. Przeczytał akta tej sprawy trzy razy, żeby się upewnić, że podjął właściwą decyzję i żaden ważny szczegół nie umknął jego uwagi. Ktoś będzie musiał odpowiedzieć za tę horrendalną pomyłkę. Sam tego dopilnuje.

Oderwał wzrok od szeroko otwartych, niebieskich oczu Diny i rozejrzał się po sali, po czym zmarszczył gniewnie brwi.

- Proszę osoby postronne o opuszczenie sali. To jest posiedzenie zamknięte.

Mimo niecierpliwości musiała odczekać jeszcze chwilę, aż trzech mężczyźni wyjdą. Poczowała, że Clay bierze ją za rękę i wiedząc, że nie ma co przed nim ukrywać swojego przerażenia, ścisnęła ją z całej siły. Jak przez mgłę dotarły do niej słowa sędziego:

- Po wnikliwym ponownym rozpatrzeniu sprawy

Diny Deveraux sąd uznaje, że oskarżenie o zabójstwo wniesione przez prokuraturę było niedostatecznie umotywowane, a werdykt stanowił jaskrawą pomyłkę sądową. Wobec powyższego decyzją naszą pani Dina Deveraux zostaje zwolniona ze wszystkich zarzutów i niniejszym w pełni odzyskuje wolność.

Stuknięcie laski było jak otwarcie zamkniętej bramy.

Dina była Wolna - ale wolny był też prawdziwy morderca.

Kiedy Dina i Clay opuszczali salę sądową, dwóch mężczyzn obserwowało ich z przeciwległych krańców szerokiej rotundy. Sami nie dostrzeżeni, nie przeoczyli wszak radosnego uśmiechu na twarzy młodej kobiety.

Obaj byli zawodowcami z długoletnim stażem, ale pochłonięci zleconym zadaniem nie zauważyli obecności konkurenta, śledzącego tę samą osobę. Kiedy tylko Dina znikła im z oczu, wysunęli się z cienia, idąc - każdy z osobna - sprawdzić znaną już sobie właściwie informację.

Jeden z mężczyzn - niski, łysy, starszawy, nieco utykający, na pałkowatych nogach - skierował się do drzwi z napisem „Schody”. Po chwili przez te same drzwi wyszedł dawny asesor sędziego Jonesa, pakując pośpiesznie do kieszeni plik banknotów.

Kilka minut później wyszedł na korytarz również krzywonogi i powolnym krokiem powlókł się do budki telefonicznej na drugim końcu holu. Zamykając za sobą drzwi, wrzucił monetę, wykręcił numer, potem wrzucił jeszcze kilka monet i osunął się ostrożnie na twardą, drewnianą ławeczkę. Jestem już za stary na te bzdury, pomyślał. Artretyzm dawał mu się coraz bardziej we znaki, stopy mu puchły i buty cisnęły.

Harry Dobbs westchnął ciężko, odchylił głowę i zamknął oczy, słuchając głuchego dźwięku dzwonka. Kiedy po drugiej stronie

odezwał się przeciągły, męski głos o wyraźnym teksańskim akcencie, krzywonogi odetchnął z ulgą.

- Dobrze, że dzwonicz, Harry. Jak tam w Houston?

- Do kitu. To pieskie miasto, choć leży w Teksasie. Sam wiesz.

Harry mimo woli się uśmiechnął. Wiedział, że jego szef i długoletni przyjaciel umiera z ciekawości, co się wydarzyło, ale dobre manieri i nawyk uprzejmego zagajenia rozmowy zawsze zwyciężały.

Gilbert Foley był najbogatszym człowiekiem w Teksasie, a nawet, gdyby zrobić zestaw wszystkich jego korporacji, mógłby zapewne uchodzić za najbogatszego człowieka w Ameryce. Jego imperium zbudowały ropa, gaz ziemny i niebywały talent do robienia pieniędzy - oraz bezwzględność i siła, z jaką potrafił zniszczyć każdego przeciwnika.

A jak tam w Dallas? - spytał Harry, starając się ukryć nutę tęsknoty w głosie.

- Gorąco jak w piekle i sucho jak na pustyni, ale co dom, to dom.

Jedyną, co było prawdziwe w Gilbercie Foleyu, to jego teksański akcent, miłość do dwóch synów i przywiązanie do kilku starych przyjaciół. Przez ostatnie trzydzieści lat Harry zapracował sobie na to przywiązanie i sam za nie na swój sposób odpłacał. Mimo pogarszającego się zdrowia właśnie dla Gilberta spędził ostatnie dziesięć lat w tym mieście, a teraz miał nadzieję, że jego misja się skończyła i będzie mógł wrócić do domu.

- Tak jak się spodziewaliśmy, Gil, sędzia wypuścił ją na wolność.

Po drugiej stronie zapadła cisza; Harry cierpliwie czekał. Chociaż szef nie zdradził mu dotąd, dlaczego kazał mu śledzić dziewczynę, wiedział, że jest to dla niego ważne, i to mu wystarczyło. Przez te lata zdołał sam rozgryźć historię Diny Deveraux i jej związku z Gilem. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Co miesiąc otrzymywał raporty od tej kobiety z sanatorium, której wysyłał pokaźne czeki. Sędzia Jones był również jednym z ludzi opłacanych przez Foleya. Nie było to dla Harry'ego tajemnicą, skoro sam wręczał mu pieniądze, ale nigdy z nim nie rozmawiał ani o nic nie pytał. Tylko przekazywał sędziemu określone kwoty, których wysokość mogła przyprawić o zawrót głowy.

Jednak po wszystkich tych latach, kiedy był głównym zausznikiem Foleya, po tylu śliskich sytuacjach, z jakich go wyciągał, wspomagał jego przedsiębiorstwo, a także obu synów, jego szef i przyjaciel nadal nie ufał mu na tyle, żeby wyjawić, dlaczego kazał mu trzymać nadzór nad tą dziewczyną. I to bolało.

Ale stary Harry nie był głupi. Zadbał o to, żeby sprawy Foleya stały się jego sprawami. W końcu jak inaczej miałby Chronić szefa, jego interesy i rodzinę, gdyby nie wiedział, co się dzieje? Przez te lata sam wysnuł teorię na temat przypadku Deveraux i był pewien, że wie już, co trzeba.

A więc, pomyślał, jest już po wszystkim. Dziesięć lat chronienia Diny Deveraux dobiegło końca. Była wolna, oczyszczona z zarzutów i samodzielna. Ciekaw był, czy Gil przyjedzie się teraz z nią zobaczyć. W końcu nie musiał się troszczyć o uczucia byłej żony, a synowie byli

już dorośli. Jeśli zaś chodzi o ewentualny skandal, to przecież Gil uwielbiał pojawiać się w czołówkach gazet.

Harry drgnął, uświadamiając sobie nagle, że przez cały czas, kiedy pogrążony był w myślach, Foley także milczał.

- Gil, Gil, jesteś tam?

- Posłuchaj, Harry. Musisz jeszcze zostać w Houston i nie spuszczać jej z oka. Zobacz, jak sobie radzi na wolności. Zrobisz to dla mnie?

Harry bardzo chciał wracać do domu, ale nie mógł nie spełnić prośby szefa.

- W porządku, Gil, ale jak długo jeszcze? I co właściwie mam robić?

- Po prostu obserwuj ją uważnie i dawaj mi znać o wszystkim, co robi, dobrze?

Harry usłyszał trzask odkładanej słuchawki, westchnął i wstał ostrożnie, po czym otworzył drzwi budki i pokuśtykał na zeszywniałych nogach do holu. Niech to wszyscy diabli, o co tu właściwie chodzi? Z jego punktu widzenia sprawa jest zakończona. Ogarnęło go niemiłe przecucie, że pewnie coś nie jest w porządku. Musi się napić parę głębszych i pomyśleć. Dziewczyna może poczekać. Nie ucieknie mu, i tak wiedział, gdzie ją znaleźć.

Dallas, stan Teksas.

Gilbert Foley odłożył słuchawkę, nie czekając na dalsze pytania Harry'ego, i wbił wzrok w blat stołu. Przeszłość zawsze da o sobie znać, pomyślał. Do tej pory wszystko szło nieźle, ale jeśli teraz, po uwolnieniu Diny, coś się zmieni, będzie musiał podjąć odpowiednie kroki.

Przeszedł go lodowaty dreszcz i na pociechę przeniósł wzrok na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie na brzegu biurka. Dwaj wysocy, przystojni chłopcy. Jego synowie. Urodę przejęli na szczęście po jego byłej żonie, a po nim zamiłowanie do interesów i kobiet. Starszy miał dwadzieścia dwa lata, młodszy dwadzieścia jeden. Obaj byli elegancy, światowi, głodni życia.

W wieku osiemnastu i dziewiętnastu lat dostali własne przedsiębiorstwa i doskonale sobie radzili z ich prowadzeniem. Gilbert uśmiechnął się do fotografii i oczy rozbłysły mu dumą. Jego synowie wyrosli na prawdziwych rekinów rynkowych. Pewien problem stanowi tylko to, że ostatnio zwrócili się przeciwko sobie, usiłując za pomocą brudnych sztuczek i nielegalnych transakcji przejąć swoje interesy. Pomyślał, że da im jeszcze trochę czasu, a potem położy kres tym szwindlom, zanim stanie się coś złego. Boże drogi, jest naprawdę dumny ze swych chłopców!

Urodził się w rodzinie biednej jak mysz kościelna, ale z wyjątkiem kilku nieszczęśliwych epizodów, życie okazało się niego łaskawe. Był bystrym dzieckiem, a matka zadbała o to, żeby nauczyć go dobrych manier. Ukradła nawet w miejscowym sklepiku książkę na ten temat i systematycznie go z niej uczyła. Natomiast jego ojciec

spędzał zwykle cały czas za stołem, opychając się jak świnia i bekając piwem. Gilbert podejrzewał, że to po nim odziedziczył porywczy temperament, który sprawiał, że biada temu, kto z nim zadarł.

Bardzo wcześnie poznał tajniki przemysłu naftowego, i to od samych podstaw - pracując w trudzie i znoju na polu naftowym. Szybko zorientował się, że ma talent do wynajdywania nie odkrytych złóż, przeprowadzania korzystnych transakcji i radzenia Sobie w trudnych sytuacjach. Te dary natury dały mu dobry start i daleko go zaprowadziły - zwłaszcza że udało mu się poślubić córkę bankiera.

Wspomnienia z przeszłości przywiodły go nieuchronnie do dnia dzisiejszego i problemu z Diną. Powiódł wzrokiem po swoim luksusowym gabinecie i pomyślał o wszystkim, co ma - pieniądze, prywatne odrzutowce, piękne kobiety na każde skinienie, kochających synów - i co może stracić.

Postanowił wziąć się w garść. Wspomnienia są rzeczą miłą i pożądaną, ale nie dla wszystkich. Na przykład dla Diny Deveraux mogłyby się okazać zgubne.

Drugi z mężczyzn czatujących w sądzie zbliżał się do pięćdziesiątki, był wysoki i szczupły, dobrze ubrany, lekko siwiejący na skroniach. Poruszał się z wojskową sztywnością i pewnością siebie, kierując się teraz do drzwi z tabliczką, której jeszcze nie zdążono zmienić. Kiedy wszedł do kancelarii zmarłego sędziego Jonesa, sekretarka spojrzała na niego i cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Miała z tym mężczyzną do czynienia wielokroć, ale niemal wyłącznie przez telefon. Teraz spojrzała nerwowo na zamknięte drzwi gabinetu nowego sędziego i bez słowa napisała coś szybko na kawałku papieru, który przesunęła na brzeg biurka, nie patrząc mężczyźnie w oczy. Zamarła, widząc podsunięty w jej stronę, złożony w kostkę studolarowy banknot. Chwyciła go szybko,, włożyła za stanik i czekała na dźwięk zamykanych drzwi. Kiedy nastąpił, wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi.

Po wyjściu z sądu Sidney Sawyer skierował się do najbliższej budki telefonicznej. Wrzucił kilka monet, wykręcił numer, poczekał na dźwięk linii specjalnej i wykręcił kolejny numer. Oparł się o drzwi budki, słuchając dzwonka po drugiej stronie i zastanawiając się, czy szef mu wreszcie powie, o co w tym wszystkim, do diabła, chodzi. Przez dziesięć lat pilnował Diny Deveraux, odbierając sprawozdania o jej psychicznym i fizycznym stanie zdrowia, które przekazywał później zabezpieczoną od podsłuchu linią albo bezpośrednio w cztery oczy. Sądził, że wie, dlaczego szef ma taką obsesję na punkcie tej dziewczyny, ale nie śmiał o tym mówić.

Wyprostował się, słysząc w słuchawce:

- Biuro generała Fitzpatricka.
- Tu Sawyer.
- Witam, majorze.

Dźwięk tego cierpkiego, kobiecego głosu na linii specjalnej rozwścieczył go do białości. Nie dość, że ta suka sypia z generałem, to jeszcze próbuje wepchnąć się między nich i przejąć jego obowiązki.

- Chciałbym z nim porozmawiać, Betty. Wiedział, że generał musi być u siebie. Na pewno czeka na ten telefon od wielu godzin.

Nastąpiła długa, irytująca cisza, którą wreszcie przerwał swoim tubalnym głosem generał Franklin Concord Fitzpatrick, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabu, doradca, prawa ręka i osobisty przyjaciel prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Sid, synu. Co się tam dzieje? Czekam na twój telefon i czekam. Ale nie sam, pomyślał Sidney ponuro.

- Wszystko przebiegło tak, jak się spodziewaliśmy, panie generale. Ten nowy sędzia to prawdziwy rygorysta.

- Pal go sześć. Sędziów zawsze można pozyskać, w taki lub inny sposób. Co z dziewczyną?

- Jest wolna i oczyszczona ze wszystkich zarzutów. Gresham nie pokazał się w sądzie i nie złożył żadnego oświadczenia, ale dowiedziałem się, że Dina została zwolniona spod jego kurateli i opuściła już sanatorium.

Sidney uśmiechnął się, słysząc pomruk niezadowolenia po drugiej stronie. Nigdy nie nazywali Diny po imieniu, ponieważ generał zdawał się mieć do tego prawdziwą awersję. Zawsze mówił o niej „ta dziewczyna” albo po prostu „ona”.

- A czy ona złożyła jakieś oświadczenie? Sędzia zadał jej jakieś pytania?

- Nie, panie generale.

Po raz tysięczny zastanawiał się, dlaczego szef interesuje się Diną Deveraux i jej problemami. Był jego osobistym adiutantem i

pracował u jego boku w Pentagonie. Wkrótce zorientował się, że generał szybko pnie się w górę i że jeśli on, Sid, będzie lojalny i stanie się niezastąpiony, znajdzie wysoko razem z nim. Postarał się dowiedzieć jak najwięcej o swoim szefie i poznać każdy istotny szczegół z jego życia.

Zanim generał uczynił go swoim adiutantem, Sidney służył w wywiadzie wojskowym i znał wszystkie tajniki tego fachu. Był pewien, że nie istnieje nic lub prawie nic w życiu generała, co by mu umknęło -oprócz tej sprawy z Diną Deveraux.

Drgnął, słysząc, że szef do niego mówi.

- Słucham, panie generale?

- Sid, wyświadcz mi jeszcze jedną przysługę, dobrze? Zostań jeszcze trochę w Houston. Poobserwuj tę dziewczynę. Sprawdź, gdzie chodzi, co robi, z kim się spotyka.

W tym mocnym i zdecydowanym zwykle głosie zabrzmiała jakaś obca, nie znana mu dotąd nuta, budząc czujność Sawyera, który natychmiast wyczuł słaby punkt.

- Nie bardzo wiem, co miałbym robić, panie generale. Śledzić ją? W jakim celu? Czego mam szukać? Prawdę mówiąc, sądzę, że nie ma tu już nic do roboty.

Rozmyślnie nie przerywał przedłużającej się ciszy. Przez dziesięć lat przekazywał ogromne sumy różnym ludziom, łącznie z tym pompatycznym osłem, Greshamem. Czy była to zapłata za milczenie? Ale czego to milczenie miało dotyczyć? A może szefowi po prostu leżało na sercu zdrowie i dobro Diny Deveraux? I w ogóle

co ta dziwna dziewczyna z jej podejrzaną przeszłością ma wspólnego z generałem? Naturalnie, domyślał się, ale nigdy nie zdołał potwierdzić swej hipotezy nawet po latach poszukiwań.

- Sid, zdaję sobie sprawę, że wiesz wszystko o przeszłości tej dziewczyny, o tym, co zrobiła przed laty i dlaczego została skierowana do zakładu zamkniętego. - Generał odchrząknął i ciągnął:

- Ona może mnie zrujnować, Sidney. Może zrujnować nas obu. Musisz zostać na miejscu, synu, bacznie ją obserwować i dać mi zaraz znać, gdyby zaczęła zadawać za dużo pytań albo grzebać w swojej przeszłości.

Sidney zrozumiał, że przyparł starego do muru na tyle, na ile to było możliwe, choć jeszcze nie wydobył z niego całej prawdy. Przerazające stwierdzenie generała ścięło mu krew w żyłach. Jak dwudziestotrzyletnia dziewczyna może zniszczyć człowieka o takiej potędze i wpływach? Sama myśl o tym, że i jego własna przyszłość mogłaby lec w gruzach, zapiekła go niczym dotyk rozpalonego żelaza. Zrobi wszystko, żeby chronić szefa i jego pozycję.

- Panie generale, jeśli mam pomóc, będzie pan musiał mi powiedzieć, jaki haczyk ma na pana Dina Deveraux.

- Już wkrótce wszystko ci powiem, Sidney, przyrzekam. Ale teraz nie odmówisz mi tej przysługi, prawda? Zostaniesz tam i będziesz jej pilnował?

- Tak, panie generale.

- Dziękuję ci, synu. Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś... Co dla mnie robisz.

Na pewno nie, pomyślał Sidney. Już ja się o to postaram. Odwiesił słuchawkę, uśmiechając się na myśl o błagalnym tonie generała, zwieńczonym nutą ulgi. Przeniknęło go poczucie siły. Tylko czekać, aż stanie u boku swego szefa w Owalnym Gabinetcie Białego Domu.

Waszyngton

Generał Franklin Concord Fitzpatrick delikatnie odłożył słuchawkę i wyłączył zagłuszacz podsłuchu. Usiadł za rzeźbionym antycznym biurkiem, przez chwilę patrzył przed siebie oczami bez wyrazu, potem przeniósł wzrok na ścianę obwieszoną fotografiami.

Stanowiły widomy dowód sukcesów odniesionych przez niego przez ostatnie dziesięć lat. Widniał na nich z dygnitarzami obcych państw, ze znanymi politykami, z najbardziej wpływowymi i potężnymi osobistościami tego świata. Więcej niż dziesięć zdjęć przedstawiało go z przyjacielem i przełożonym, prezydentem Stanów Zjednoczonych. W Waszyngtonie mówiło się głośno -i nie bez podstaw - że po zakończeniu kadencji prezydent ma zamiar poprzeć na to stanowisko kandydaturę swojego bliskiego przyjaciela, generała Fitzpatricka.

Generał poczuł przyjemne mrowienie i dreszcz podniecenia. Prezydent Franklin Concord Fitzpatrick. Sama myśl o tym sprawiała większą rozkosz niż seks - lub porównywalną. Przez chwilę ogarnęły go wyrzuty sumienia, kiedy jego wzrok spoczął na stojącej w rogu biurka fotografii, z której patrzyli na niego żona i syn, równie pozbawieni wyrazu jak w życiu.

Zawarł korzystne małżeństwo. Jego żona pochodziła z Jeffersonów, z nowojorskiej rodziny magnatów przemysłowych. Mieli posiadłości w Wirginii i nad rzeką Hudson. Mogli się poszczycić zarówno wielkim majątkiem, jak i znakomitym rodowodem. Franklin wrócił myślami do swojego pierwszego spotkania z babką przyszłej żony. To wspomnienie wciąż wywoływało na jego ustach pełen satysfakcji uśmiech. Stara patronka rodu chciała onieśmielić go genealogią rodziny Jeffersonów i wskazać mu jego miejsce. Z wyniosłą miną powiedziała mu, że przodkowie jej męża przybyli tu na statku „Mayflower” w tysiąc sześćset dwudziestym roku. Słyszając ją, można było pomyśleć, że Jeffersonowie sami, bez niczyjej pomocy, skolonizowali Amerykę.

Franklin pamiętał, jak z uznaniem pokiwał głową, a potem z uciechą obserwował jej reakcję, gdy oznajmił, że jego rodzina osiadła w Wirginii piętnaście lat wcześniej, dokładnie w tysiąc sześćset piątym roku. Powiedział, że jego matka jest w zarządzie kilku prestiżowych organizacji skupiających ludzi z najlepszego towarzystwa - i tu dopadł starą małpę, albowiem matka dobrze się najpierw wywiedziała, do jakich organizacji Jeffersonowie należeli, a jakie ich odrzuciły.

Z absolutną rozkoszą i z całą powagą, na jaką go było stać, powiadomił ją, że wprawdzie jego matka pochodzi z królewskiej linii Stuartów, ale to poprzez Fitzpatricków zostali członkami trzech najważniejszych i najbardziej szacownych towarzystw, skupiających

amerykańską arystokrację. To zamknęło starej usta i wywołało wyraźny błysk szacunku w jej kaprawych oczach.

Pamiętał, jak słał w myślach ciche podziękowania swojej matce, po raz pierwszy w życiu wdzięczny za jej obsesyjne zainteresowanie genealogią. Był pewien, że właśnie ten czynnik okazał się decydujący, kiedy uzyskał zgodę na poślubienie Alice. Fitzpatrickowie nie byli tak bogaci jak Jeffersonowie - niewielu ludzi w Ameryce mogło im dorównać - ale wszyscy pierworodni synowie w ich rodzinie szli do służby wojskowej i odznaczyli się w służbie dla kraju, choćby w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Franklin powrócił wzrokiem do fotografii żony i syna i gorzki grymas rozczarowania wykrzywił mu usta. Jego dwudziestoletni syn, Henry Jefferson Fitzpatrick, był leniwym bęcwałem, który nie miał innych ambicji niż malowanie, chodzenie do muzeów i trzymanie się maminego fartuszka. Dawno już pogrzebał wszelkie nadzieje związane z Henrym.

Jeśli zaś chodzi o jego żonę, to z największą chęcią rozwiódłby się z tą zimną rybą, ale wiedział, że to niemożliwe. Żaden najmniejszy skandal nie może położyć się cieniem na jego życiu czy opinii. Zbyt ciężko pracował, żeby zatuszować przeszłość i dotrzeć tu, gdzie jest, by miał rezygnować. Teraz, kiedy jego cel jest w zasięgu ręki, nikt - ale to nikt - nie stanie mu na drodze.

Dina i Clay przeszli już spory kawałek drogi, kiedy się zorientowała, że nie tylko nadal kurczowo trzyma go za rękę, ale i nie słyszy słowa z tego, co do niej mówi. Zatrzymała się gwałtownie.

- Przepraszam, ja... To znaczy, jestem tak...

- Szczęśliwa? - odpowiedział.

Szczenie Diny było widać gołym okiem. Oczy jej lśniły, usta śmiały się szeroko, radośnie - i zaraźliwie. Zdawała się niemal tańczyć u jego boku, a wiatr rozwiewał jej włosy na wszystkie strony. Clay zdał sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty na zakończenie tego spotkania. Spojrzał na zegarek.

- Może zjemy wczesny lunch?

W myślach już planował, do jakiej restauracji ją zabrać. Usiądą na uboczu, przy dyskretnie oświetlonym stoliku i lampce wina. W jakimś spokojnym miejscu, gdzie będą mogli porozmawiać.

Dina nagle wpadła w panikę. Restauracja pełna ludzi. Rozejrzała się niespokojnie wokół, ale szybko się opanowała. Jadała już przecież poza sanatorium i jej manierom przy stole też nie można było nic zarzucić. Tylko że zawsze była z nią Mary i zawsze miały o czym mówić. A cóż takiego ma do powiedzenia Claytonowi Lambertowi, co mogłoby go zainteresować? Ale niech tam, pomyślała. W końcu jest prawnikiem jak jego dziadek, a z nim rozmowa nie sprawiała jej kłopotów. Poza tym pewno i tak głównie to on będzie mówił.

Nasunęło jej się odległe wspomnienie z dzieciństwa, kiedy jadała tu czasem coś z matką. Nie Sądziła, aby tani bar w

supermarkecie zadowolili Clay'a, ale matka brała ją w jeszcze jedno miejsce.

- Czy, James Coney Island" nadal istnieje? - spytała i natychmiast tego pożałowała.

Clay zrobił zdumioną i niedowierzającą minę, lecz wkrótce jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, jakby spotkała go niezwykle niespodzianka.

- Jesteś pewna, że chcesz hot doga?

- Tak - roześmiała się. - Z mnóstwem sera, cebuli, przypraw i sosu chili. Nie jadłam dobrego hot doga... od lat. - Chciała powiedzieć: „Odkąd byłam dzieckiem i przychodziłam tu z matką”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Podekscytowana, omal się nie wygadała, że wróciła jej pamięć. Skarciła się w duchu i pomyślała, że musi być na przyszłość ostrożniejsza. Zauważyła, że Clay dziwnie się jej przygląda i dodała: - Nie byłam zamknięta w pokoju bez klamki, gdybyś chciał wiedzieć. Wychodziliśmy czasem z sanatorium.

W tym momencie zapragnął zapaść się pod ziemię.

- Wcale nie o tym myślałem - skłamał.

- Owszem, o tym, ale nie szkodzi.

Jej bezpośredniość zmieszała go i zbiła z tropu. Kiedy zapaliło się zielone światło i zaczęli przechodzić przez ulicę, pomyślał szybko o zmianie tematu.

- Chcesz wrócić do mojego biura i wziąć samochód - spytał - czy wolisz przejść się mimo upału?

- Przejdźmy się.

Chciała czym prędzej jak najwięcej zobaczyć, znać świeżo odzyskanej wolności, ale wiedziała, że musi pohamować swoje zapędy, żeby nie wypaść na zupełną prostaczkę. Korzystając z ciszy, jaka między nimi zapadła, rozglądała się chciwie po ulicy. Starła się dotrzymać Clayowi kroku, ale co rusz jej uwagę przyciągała jakaś wystawa i nowe modele sukien.

Po chwili Clay odchrząknął i zasugerował, żeby może zamiast lunchu pójść lepiej po zakupy. Z rozbawieniem obserwował, jak piegowate policzki Diny pokrywają się purpurą. Nie mógł nie roześmiać się głośno, widząc jej zawstydzenie.

„James Coney Island” był niewielkim lokalem, ogromnie zatłoczonym w czasie lunchu, w którym obowiązywało niepisane, choć nie egzekwowane prawo, żeby zaraz po zjedzeniu zwolnić miejsce i wyjść. Nie było zwyczaju przesiadywania tu przy papierosie czy prowadzenia długich pogawędek. Lokal słynął z najlepszych hot dogów w Teksasie i można się było spotkać przy jednym stole lub długim blacie pod ścianą zarówno z robotnikami budowlanymi, jak i przedstawicielami śmietanki towarzyskiej Houston; z burmistrzem, a nawet z gubernatorem, jeśli akurat był w mieście.

Wewnątrz było dość cicho i spokojnie, jako że każdy zajęty był swoją porcją. Clay przyglądał się Dinie uważnie i im bliżej ją poznawał, tym bardziej chciał wiedzieć o niej coraz więcej. Obiecał sobie, że gdy tylko wróci do biura, odwoła wszystkie popołudniowe spotkania i przeczyta jej akta.

Dina czuła jego spojrzenie i kiedy skończyła jeść, wytarła resztkę musztardy i chili z kącików ust, podniosła głowę i odważnie spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego po prostu nie spytasz mnie o to, nad czym się tak zastanawiasz?

Clay zmiął brudną papierową serwetkę, rzucił ją na stół i wstał. Odsunął Dinie krzesło i wyprowadził ją z restauracji.

- Posłuchaj, Dino. Jest na pewno tysiące pytań, które chciałbym ci zadać, ale dopiero wtedy, gdy przeczytam akta dziadka. Oczywiście jeśli nadal chcesz, żeby moja firma reprezentowała twoje interesy.

- A możesz wziąć moją sprawę? To znaczy, chodzi mi o to, że twój dziadek zawsze mówił, że większość klientów firmy to albo kryminaliści, albo rozwodzące się małżeństwa.

Clay roześmiał się, przypominając sobie narzekania dziadka na stan moralności społeczeństwa i zepsucie młodzieży.

- Dziadek był ze starej szkoły. Uważał, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. Był zdegustowany ruchem pacyfistycznym, swobodą seksualną dzieci kwiatów, całym naszym pokoleniem wyznającym wolną miłość i protestującym przeciwko wojnie. Uważał, że wszyscy pójdziemy do piekła. Pamiętam, jak patrzył na mnie surowo przez okulary i mówił tym swoim głębokim, pełnym potępienia głosem.

- „Co za dużo, to niezdrowo” - dokończyła Dina. -Mnie zawsze powtarzał, że mam szczęście, że jestem tu, gdzie jestem, odgradzona

od tych wszystkich bezceństw. Kiedy mnie odwiedzał, rozmawialiśmy godzinami. Mówił, że świat zwariował-

Clay poczuł się dziwnie, słysząc słowa dziadka z ust obcej osoby, lecz uświadomił sobie, że pewno Dina prowadziła z nim znacznie dłuższe rozmowy niż on. I zawstydził się, że w ciągu ostatnich lat tak pochłonęły go własne sprawy, że zaniedbał jedyne go człowieka, którego naprawdę kochał.

- Musisz wiedzieć, że pan Lambert był bardzo dumny z ciebie.

- Co? - Byli już blisko biura. Clay stanął i wyciągnął Dinę na bok z tłumu przechodniów. - Co mówiłaś?

- Pan Lambert bardzo cię kochał. Cały czas o tobie mówił. O tym, jak spełniłeś swój obowiązek wobec ojczyzny i walczyłeś w Wietnamie, chociaż byłeś przeciwko wojnie. Powiedział mi, że jest z ciebie dumny, ale wolałby chyba, żebyś uciekł do Kanady, bo za dużo przecierpiałeś i wróciłeś bardzo zmieniony.

Clay nie wiedział, co powiedzieć, zresztą nie mógł wykrztusić słowa, nawet gdyby chciał. A więc był jednak ktoś w rodzinie, kto zdawał sobie sprawę z tego, co przeżył. Przez trzy lata budował wokół siebie mur, żeby odgrodzić się od okropności dnia codziennego. Ten mur nigdy do końca nie runął. Myśl, że dziadek rozumiał jego ból, ścisnęła go za gardło. Chwycił Dinę za ramię i pociągnął za sobą, szybkim krokiem ruszając przez ulicę.

- Bardzo mi przykro - wykrztusiła niemal bez tchu, nie mogąc za nim nadążyć.

Stanął gwałtownie przed drzwiami budynku, w którym mieściła się jego kancelaria. Wcale nie chciał, żeby wiedziała, jak poruszyły go jej słowa.

- Dlaczego, do diabła, jest ci przykro? - Spojrzał na nią groźnie, otwierając drzwi.

- Przykro mi, że musiałeś jechać do Wietnamu - powiedziała łagodnie. Musnęła Claya ramieniem, wchodząc do środka, potem zatrzymała się i spojrzała na niego. - Przykro mi za przyjęcie, jakie was spotkało po powrocie do kraju. Przykro mi, że musiałeś tyle wycierpieć.

- Oglądasz za dużo telewizji.

- Szczerze mówiąc, prawie wcale jej nie oglądałam. Doktor Gresham starannie wybierał programy, na jakie możemy patrzeć. Uważał, że wiadomości dotyczące wojny są zbyt drastyczne. Większość informacji czerpałam z gazet i rozmaitych pism, które przemycała mi jego asystentka, Mary. Tak czy inaczej, jakoś udawało mi się zdobywać wieści ze świata.

Clay nagle zdał sobie sprawę, w jak wielkiej izolacji żyła ta dziewczyna, a jednak rozumiała wstyd i gniew, jaki czuł po powrocie z wojny. Ci, którzy wysłali go na nią z głośnymi fanfarami, przywitali go po powrocie do kraju falą gorzkich wymówek lub, jak jego rodzina, milczeniem. Chciał jakoś wyrazić jej swoją wdzięczność, kiedy uśmiechnęła się, pytając:

- Czy mógłbyś wezwać mi taksówkę?

- Jeśli nie przeszkadza ci wiatr we włosach, chętnie sam cię odwiozę - zaofiarował się szybko.

Wkrótce zrozumiała tę dziwną uwagę o włosach. Clay był posiadaczem nowiutkiego, jaskrawoczerwonego kabrioletu marki Chevrolet. Stał przy nim z niepewnym uśmiechem, patrząc na Dinę pytająco, najwyraźniej czekając na jej reakcję. Z nieomylnym kobiecym instynktem, który dopiero teraz w sobie odkryła, zaczęła podziwiać i chwalić samochód, o którym absolutnie nic nie wiedziała. Sądząc po zadowolonym wyrazie twarzy Claya, zrobiła to, co należało. No, no, pomyślała. Zobaczmy, co Mary powie na to, że stałam się światową kobietą.

Zastanawiała się, co by tu jeszcze powiedzieć, ale od zrobienia z siebie kompletnej idiotki uchronił ją odgłos kroków w podziemnym garażu. Przeniknął ją nagły chłód i zadrżała. W swoich koszmarnych wspomnieniach też słyszała kroki. Odwróciła się i z okrzykiem: „William!", podbiegła do czarnoskórego mężczyzny o siwych włosach, który powitał ją szerokim uśmiechem.

- Panienska Dina. - Uściskał ją serdecznie, po czym widząc jej towarzysza, szybko się cofnął. - Podobno panienkę zwolnili.

Dina wyczuła jego zakłopotanie i zwróciła się z wyjaśnieniem do Claya:

- William woził twojego dziadka do sanatorium. Nauczył mnie prowadzić samochód.

Clay roześmiał się i uścisnął szoferowi rękę.

- William i ja się znamy. Nie mów mi tylko, że uczył cię jeździć limuzyną dziadka?

William wyszczerzył zęby.

- Żeby tak prawdę powiedzieć, panie Clay, już się bałem, że odbierze mi pracę, tak dobrze jej szło kierowanie tym czołgiem.

Dina nie chciała dłużej rozmawiać o samochodach, -tylko dowiedzieć się, jak się ma jej stary przyjaciel, jego żona i siedmioro dzieci. Clay usunął się na bok, dając im wolne pole do wspomnień, ale jednocześnie plasując się na tyle blisko, żeby nie być całkiem wykluczonym z rozmowy.

- Co teraz robisz, po śmierci pana Lamberta? Dopiero teraz Dina zauważyła, że William ma na sobie inną liberię niż przedtem.

- Firma zatrzymała mnie jako strażnika. Nie mogę narzekać. Cały dzień siedzę sobie w tym ich eleganckim holu. - Zachichotał. - Tylko nie mów złego słowa. Dekoracja jest pierwsza klasa. Może się kiedyś do niej przyzwyczaję.

- Co ci się nie podoba w naszym nowym holu? - spytał Clay, starając się zachować powagę. Był to ich stały żart.

Dina wzdrygnęła się z odrazą i obaj mężczyźni roześmieli się. Clay ujął ją pod ramię.

- Musimy już iść. Mam sporo roboty po południu. Zanotował sobie w pamięci, żeby spotkać się później z Williamem na dłuższą rozmowę.

Dina posłusznie pożegnała się ze starym przyjacielem, ale dała mu swój numer telefonu u Mary z prośbą, aby koniecznie zadzwonił na pogawędkę.

Scandalous

Dina stała za zasłoną przy oknie i jak klasyczny podglądacz obserwowała Claya, wycofującego auto z podjazdu. Dopiero kiedy zniknął jej z oczu, z głębokim westchnieniem odwróciła się do Mary.

- Widziałas go? Przyjrzałas mu się uważnie?

- Tak.

- Sama powiedz, czyż on nie jest śliczny?

- Mężczyźni są przystojni, nie śliczni-roześmiała się Mary.

- Ale „przystojny” jakoś do niego nie pasuje. Może „piękny”? -

Uśmiechnęła się do przyjaciółki, patrząc na nią rozjarzonymi oczami.

- A widziałas jego kabriolet? - Znów spróbowała przyglądać rozwichrzone włosy. - Chciałabym mieć właśnie taki. Och, Mary, szkoda, że nie widziałas jego uśmiechu!

Mary westchnęła w odpowiedzi i przyjrzała się Dinie uważniej. Parę razy zamrugła zażawionymi oczami, żeby się upewnić, że się nie myli, ale rozanielona mina jej podopiecznej nie pozostawiała żadnych wątpliwości i rozbawienie Mary natychmiast minęło. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak bardzo Dina była dotąd odcięta od świata - oby tylko nie wplątała się teraz w jakieś tarapaty.

- Może powinniśmy przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę o ptaszkach i pszczołkach?

- Co? - To pytanie wytrąciło Dinę z jej błogiego stanu. - Nie bądź śmieszna.

- Mówię poważnie. - Mary odciągnęła Dinę od okna w stronę kanapy. - Wiesz, co mam na myśli...

Czasem różnica wieku między nimi dawała o sobie znać. Dina zrobiła zaszokowaną minę i szepnęła:

- Grzeszny postępek? Te rzeczy? Igraszki na sianie? Chodzi ci o to straszne słowo: seks. Oj, Mary, Mary, mamy lata siedemdziesiąte i mimo że żyłam tak długo w zamknięciu, nawet ja wiem co nieco o tych sprawach. Pigułka dała kobietom wolność i prawo do głośnego wymawiania słowa „seks” bez zasłaniania ust ręką i oglądania się trwożnie za siebie. - Dina roześmiała się, ale widząc zatroskaną minę Mary, spoważniała i usiadła. - Mam już dwadzieścia trzy lata i zdążyłam poznać smak pocałunku.

Mary wręcz zamurowało. Opadła ciężko na krzesło naprzeciwko Diny i dostała ataku kaszlu. Kiedy w końcu odzyskała głos, spytała:

- Czy chcesz mi powiedzieć, że kochałaś się? Jak? Gdzie? Kiedy? I, na miłość boską, z kim?

Dina lubiła się droczyć z przyjaciółką, ale tym razem chyba trochę przeholowała. Mary była jedyną osobą na świecie, która naprawdę się o nią martwiła.

- Nie kochałam się, ale się całowałam. Prawdę mówiąc, zaczynałam być w tym całkiem niezła. - Na twarzy przyjaciółki malowała się konsternacja i groza. - Pamiętasz Neda Durranda, prawda?

Mary zamknęła oczy i wytarła nos.

- Wolałabym go nie pamiętać. Nie mów mi, że pozwoliłaś się dotknąć temu wstrętnemu chłopakowi.

- Pozwoliłam mu się tylko pocałować. Nauczył mnie, jak się to robi.

Mary spojrzała na nią z niekłamany oburzeniem i zgorśzeniem. Przeszła przez erę dzieci kwiatów i rewolucję seksualną lat sześćdziesiątych, pozostając zdumiewająco pruderyjna. Była zdecydowaną przeciwniczką wolnej miłości i zażywania narkotyków, a poza tym nie lubiła Neda. Właściwie nikt go nie lubił, oprócz Diny. Był przystojny, czarujący, bogaty i wychowany przez rodziców w przeświadczeniu, że może mieć wszystko, co tylko zechce. A chciał za dużo - za dużo narkotyków, alkoholu, dziewcząt. W końcu, w momencie załamania, chciał już tylko odebrać sobie życie i został skierowany na pół roku do sanatorium. Po dwóch tygodniach jego pobytu reszta pacjentów uznała, że czeka ich pół roku piekła.

- Jak pamiętasz, Mary, kiedy Ned wytrzeźwiał, doszedł do siebie i zaczął się nudzić, postanowił rozejrzeć się za jakąś rozrywką. Pewno usłyszał o mnie od którejś z pielęgniarek. Podejrzewam, że z początku chciał mi zrobić jakiś głupi kawał, ale kiedy zaczęliśmy rozmawiać, zaprzyjaźniliśmy się. Opowiedział mi o swojej rodzinie. Było mi go żal, naprawdę. Jego rodzice w ogóle się nim nie interesowali. Byli tak zajęci swoimi sprawami, że nie starczało im już uczuć ani czasu dla niego. Powiedziałam mu, że to jego rodzice powinni się leczyć, a nie on. I że jeśli jest taki inteligentny, na jakiego

wygląda, to powinien wreszcie zmądrzeć, przestać zachowywać się jak rozpuszczony dzieciak i zrobić coś sensownego ze swoim życiem.

Mary spojrzała na nią przeciągle.

- A więc takich rad udzieliła mu doktor Deveraux? I cóż on na to?

- Najpierw jak zwykle kpił sobie i drwił, ale później poznaliśmy się bliżej i on naprawdę się zmienił, wierz mi. Właśnie wtedy nauczył mnie całować się i odpowiadał na wszystkie moje pytania. Nie musisz tak na mnie patrzeć. Byliśmy tylko przyjaciółmi. Całowaliśmy się, to prawda, ale jeśli chodzi o seks, to ograniczyliśmy się do rozmów.

Mary ukryła twarz w dłoniach.

- A więc to stąd pochodzi twoja bogata wiedza o seksie, od dziewiętnastoletniego chłopca?

Dopiero po chwili Dina zorientowała się, że Mary próbuje ukryć uśmiech.

- Ale nie zapominaj, że bardzo doświadczonego chłopca. - Dina roześmiała się. - Poza tym co za różnica, dziewiętnaście czy czterdzieści lat? W jakim trzeba być wieku, żeby umieć dobrze całować? To chyba przychodzi samo z siebie, prawda? Oczywiście, nie mam go z kim porównać, ale mogę się założyć, że

Clayton Lambert potrafiłby sprawić, żeby mrówki przeszły mi po ciele. To podobno dobry znak, prawda?

Mary skinęła głową i uznała, że lepiej zmienić temat, zanim Dina rozpocznie jedną ze swoich sesji nie kończących się pytań. Szybko skierowała rozmowę na wydarzenia dnia.

- Mówiłaś, że doktora Greshama nie było w sądzie?

- Nie, choć byłam pewna, że go tam zobaczę. Mary wytarła nos, wyrzuciła chusteczkę do kosza i wypila łyk wody, cały czas myśląc o pewnej rzeczy schowanej w pudełku na górnej półce jej szafy.

Dina zdała sobie sprawę, że ciągle siedzi na prowizorycznym łóżku Mary, wstała więc szybko, ułożyła przyjaciółkę pod kocami na kanapie, nalała jej szklanek świeżej wody i usadowiła się obok na brzegu niskiego stolika; gotowa kontynuować rozmowę.

- Strasznie mi przykro, Dino, z powodu starszego pana Lamberta - odezwała się Mary. - Dobry był z niego człowiek i miał dla ciebie dużo sympatii. Musiałaś ciężko przeżyć tę wiadomość.

- Chyba jeszcze nie w pełni to do mnie dotarło. Nie mogę nawet płakać. Ale wiem, jak mi go będzie brakować. Mówiłam ci, że spotkałam Williama?

Rozmawiały jeszcze chwilę, po czym Dina wzięła do ręki gazetę otwartą na rubryce ogłoszeń, które studiowała, zanim wyjechała do sądu. Z przykrością zdała sobie sprawę, że doktor Gresham miał rację, mówiąc, że jedyne posady oferowane kobietom to praca sekretarki lub księgowej. Nie znalazła ani jednego ogłoszenia poszukującego projektantki odzieży, rysowniczkę lub choćby krawcowej. Sama myśl o tym, że miałyby cały dzień siedzieć za biurkiem, wypełniać polecenia szefa, parzyć kawę i ogólnie rzecz biorąc być na posługi, napawała ją głęboką niechęcią.

- Muszę znaleźć jakąś pracę, Mary - powiedziała z rozpaczą. - Ale nawet gdybym miała odpowiednie kwalifikacje i mogła zostać

sekretarka, lub księgową, to kto mnie zatrudni, jak się dowie, kim jestem i gdzie spędziłam ostatnie dziesięć lat? A co będzie, jeśli nie uda mi się znaleźć żadnego zajęcia? Zdajesz sobie sprawę, że mogę tkwić ci na głowie nie wiadomo jak długo?

Mary wyjęła jej z ręki zmiętą gazetę.

- Przestań się zamartwiać! Dobrze wiesz, że możesz tu zostać, jak długo zechcesz. A co do pracy, to coś ci znajdziemy.

Nie była jednak tego taka pewna. Dina miała rację. Każdy ewentualny pracodawca najpierw sprawdzi jej życiorys - i to definitywnie zakończy sprawę.

- Nie mogę przecież na tobie żerować. Powinnam ci płacić za utrzymanie, dopóki tu jestem. Skąd ja mam teraz wziąć pieniądze?

Mary tak długo milczała, że Dina pomyślała, iż musiała się zdrzemnąć. Wstała cicho i chciała się już wymknąć z pokoju, kiedy przyjaciółka ożyła.

- A skąd się brały pieniądze na sanatorium? - spytała wreszcie!

- Jak to?

- Dina, pobyt w tym miejscu nielecho kosztuje. Wiem, że miesięczne czeki były podpisane przez pana Lamberta, ale skąd te pieniądze pochodziły?

- Nie mam pojęcia. - Dina znów przysiadła na brzegu stolika. - Parę razy pytałam doktora Greshama o moją sytuację finansową, ale zawsze odpowiadał, że mam się troszczyć o swoje zdrowie, a nie o pieniądze. Spytałam nawet pana Lamberta, ale on z kolei powiedział, żebym nie zaprzętała tym sobie ślicznej główki, bo wszystko jest

załatwione. Dlaczego mężczyźni tak postępują, Mary? Dlaczego traktują nas jak bezrozumne istoty?

- Chyba dodaje im to pewności siebie.

- Może. Ale tak czy owak wolalabym wiedzieć coś konkretnego.

- Czekaj no, czekaj. - Mary poderwała się do pozycji siedzącej, co znów wywołało atak kaszlu. Kiedy minął, ciągnęła: - Pamiętam, że doktor Gresham mówił coś o tym, że posiadasz część udziałów w sklepie babki.

- „Fleur”.

- Tak, właśnie... - Mary aż podskoczyła, widząc, że Dina szybko wstaje. - A ty dokąd? Co się stało?

Odwrócona do niej plecami, Dina zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, a potem obejrzała się z wymuszonym uśmiechem.

- Jestem wykończona, a i ty nie najlepiej się czujesz. Pójdę się położyć.

Wyszła szybko z pokoju, zostawiając Mary oniemiałą ze zdumienia, ale nic nie mogła na to poradzić. Sama nazwa „Fleur” wywołała falę złych wspomnień i ból.

Przez cały dzień żyła w innym świecie. Cudownie było udawać, że wszystko jest normalnie. Pozwoliła sobie bujać w obłokach, ale teraz znowu doszedł do głosu jej instynkt samozachowawczy, ostrzegając, aby nie ufała nikomu, nawet Mary, dopóki się nie dowie, dlaczego została skazana za zbrodnię, której nie popełniła. Z całą ostrością uświadomiła sobie powagę sytuacji, w jakiej się znalazła.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni, obeszła pudła stojące na drodze i rzuciła się na łóżko. Położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. Tylko głupcy żyją w nierealnym świecie, ona zaś nie może sobie pozwolić na taki luksus. Musi wgłębić się w odzyskane wspomnienia, przeanalizować przeszłość.

Ale od czego zacząć? Od domu pełnego ciepła i śmiechu? Od kobiecego głosu przepełnionego miłością? Nie. Chciała naturalnie pamiętać matkę i każdy związany z nią szczegół, ale teraz najważniejszą sprawą było to, co się zdarzyło przed dziesięciu laty.

Zdawało się, że było to wieki temu, a jednocześnie wczoraj. Miała wrażenie, że są to wspomnienia z czyjegoś innego życia - z życia trzynastoletniej dziewczynki, zmuszonej do mieszkania z babką, którą szanowała, ale której nie lubiła i której się bała.

Pamiętała, jak tego szczególnego ranka obudziła się z grypą. Jej babka, Agatha Fleur Deveraux, była na nią bardzo zła, że zamiast iść do szkoły, musi zostać w domu. Dała jej jakieś lekarstwo i kazała iść spać.

Po zażyciu tych pigułek zaczęła widzieć wszystko jak przez mgłę, straciła poczucie czasu i rzeczywistości. Kiedy otworzyła oczy, pokój wirował, jakby była na karuzeli. W ustach miała sucho, chciała pić i czuła mdłości. Pragnęła, żeby ktoś ją przytulił, choćby to miała być babka. Nie była w stanie utrzymać się na nogach, ale w końcu doczołgała się jakoś do drzwi.

Dina ujrzała wyraźnie tę chorą dziewczynkę i oczy zaszyły jej łzami. Była samotna i opuszczona, odkąd straciła matkę w wieku

jedenastu lat. Babka jej nie kochała, a ponadto, pochłonięta bez reszty swoim sklepem, zupełnie nie miała ochoty na wychowywanie dziecka.

Znów przypomniła sobie, jak usłyszała głosy, podniesione, gniewne, ale niewyraźne. Ostatkiem sił wydostała się na podest. Tu kłótnia rozbrzmiewała jeszcze donośniej, ale nadal nie rozumiała, o co w niej chodzi.

Jeden głos, przepelniony gniewem i pogrózkami, należał do mężczyzny. Drugi, również podniesiony, do babki. Och, dobrze znała ten głos o mocnym, obcym akcencie, który potrafił uciąć jej zdanie w pół słowa i przygnieść do ziemi nutą pogardy. Ale tym razem było w nim coś dziwnego. Dopiero po chwili Dina zorientowała się, że jest to strach.

Nagle głosy osiągnęły apogeum i zamilkły, a w powietrzu zawisła jakaś niewytłumaczalną groza. Dina wtuliła się cała w kąt, próbując odsunąć się jak najdalej od echa kroków na posadzce. Na podeście było ciemno i chłodno, głęboki mrok dawał jej schronienie. Było jej niedobrze i trzęsła się ze strachu, głowa ją bolała, a wnętrzności paliły.

Zatkała uszy rękami, żeby już nic nie słyszeć, odciąć się od całego świata. Nie wie, jak długo tak siedziała, ale kiedy się ocknęła, zegar z kurantem wygrywał swą melodię, a w domu było całkiem cicho.

Teraz Dina uprzytomniła sobie, że musiała zasnąć na tym podeście. Pamiętała, jak obudziła się zeszywniała i zziębnięta. Głowa pękała jej z bólu i czuła palące pragnienie. Trzymając się poręczy,

zeszła powoli ze schodów i dopiero na samym dole, kiedy już miała skręcić do kuchni, coś w salonie przykuło jej wzrok. Babka leżała na plecach, nieruchoma i cicha.

Podeszła do niej na uginających się nogach, opadła na kolana i delikatnie potrząsnęła ją za chude ramiona. Czując wilgoć na ręce, podniosła ją do oczu. Przez nieskończenie długą chwilę wpatrywała się w czerwoną plamę, później przeniosła wzrok na babkę i zobaczyła, że jej pierś pokryta jest tym samym kolorem.

Z powodu gorączki i zamroczenia lekarstwem wszystko docierało do niej z opóźnieniem i dopiero kiedy wzięła do ręki nóż, zrozumiała, co się stało. Agatha Fleur Deveraux nie żyła. W tym momencie Dina uzmysłowiła sobie, że straciła ostatnią bliską osobę na ziemi i została całkiem sama. W głębokim szoku pochwyciła bezwładne ciało w ramiona i zaczęła się z nim kołysać, powtarzając głośno imię babki.

To były ostatnie chwile, które zapamiętała. Miała ochotę zapłakać nad tą trzynastoletnią dziewczynką, zapłakać nad babką, ale nie mogła. Wtedy była kierującym się emocjami dzieckiem, co kosztowało ją utratę pamięci. Teraz musi być silniejsza i mądrzejsza. Musi odnaleźć mężczyznę, który zabił jej babkę, a potem pozwolił obciążyć ją winą i dopuścił, żeby straciła tyle lat życia.

Od czego zacząć?

Zabójca musiał znać babkę osobiście, to było oczywiste. Czy on jeszcze żyje: Czy wic, że, ona jest na wolności? Czy stanowi teraz dla niego zagrożenie? Wiedziała, że zanim znajdzie odpowiedź na te

pytania, musi dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tym feralnym dniu sprzed dziesięciu lat. Wszystkiego, co się wtedy działo z nią i wokół niej. Przydałby się do tego prywatny detektyw, ale nie miała pieniędzy, żeby go wynająć, nie mówiąc już o tym, że nie miała też na razie ochoty dzielić się z nikim tym, co już wie.

Będzie musiała zrobić to sama. Może najlepiej zacząć od sprawozdań prasowych z tego okresu? To oznacza wyprawę do biblioteki i stwarza kolejny problem. Co powie Mary? Nie chciała jej okłamywać, ale nie była jeszcze gotowa do zwierzeń.

Wstała z łóżka, zdjęła pogniecioną sukienkę, włożyła szlafrok i podeszła do okna. Dzień miał się ku końcowi i ogródek na tyłach domku był pełen przyjemnego chłodu i cienia. Ta pora dnia zwykle przynosiła jej ukojenie, ale obawiała się, że tym razem nie zazna spokoju ducha, dopóki nie dojdzie prawdy.

Odwróciła się od okna i niechętnym wzrokiem ogarnęła stos pudeł i nie rozpakowane walizki. Gdzieś w tym wszystkim jest jej szkicownik, ale właściwie nie miała w tej chwili ochoty rysować. Z westchnieniem wyszła z pokoju, zbierając w sobie odwagę przed rozmową z Mary. Świadomość, że będzie musiała ją okłamać, mocno jej ciążyła.

- No i jak tam? Lepiej się czujesz? - powitała ją Mary, po czym sięgnęła po chusteczkę i kichnęła. -Nie sądziłam, że wzmianka o „Fleur” będzie dla ciebie taka bolesna.

Dina wzruszyła ramionami.

- Nie wiem dlaczego, ale ilekroć słyszę tę nazwę, to się wzdrygam. Działa na mnie jak zgrzyt noża po szkłe.

Wiedziała dlaczego. Salon „Fleur” był oczkiem w głowie babki, jej miłością i celem życia. Nigdy nie dawała Dinie zapomnieć, że ten sklep ją utrzymuje. Już w wieku trzynastu lat Dina musiała tam pracować, słuchając jej głosu, tak przymilnego dla klientek, a tak pełnego ledwo tłumionej irytacji, gdy zwracała się do wnuczki.

Znów przysiadła na brzegu stolika przy kanapie.

- Mary, co byś powiedziała na to, że chcę dowiedzieć się czegoś bliższego o zabójstwie babki?

Mary pociągnęła nosem.

- Powiedziałabym, że najwyższy czas.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Za długo musiałaś brać za dobrą monetę wszystko, co mówił ci doktor Gresham i inni. Powinnaś teraz sama spróbować dowiedzieć się, jak to było. Może dzięki temu uda ci się coś sobie przypomnieć. - Podniosła się do pozycji siedzącej. - Jak tylko wyzdrowieję, przystąpimy do działania.

Dinę coraz bardziej gryzły wyrzuty sumienia. Mary, jak to Mary, pragnęła jej za wszelką cenę pomóc.

- Idę jutro do biblioteki - oświadczyła, dodając szybko, żeby uciąć ewentualne protesty: - Posłuchaj, chcę... Muszę to zrobić sama.

Zapadła cisza, przerwana tylko kaszlem Mary. Dina była pewna, że uraziła przyjaciółkę i tym bardziej zdumiała ją jej odpowiedź:

- Masz rację, że chcesz to zrobić sama. Już czas, żebyś stanęła na własne nogi. - Uśmiechnęła się do niej. - Jeśli czasem traktuję cię, jakbyś miała ciągle trzynaście lat, to musisz mi wybaczyć. - Poklepała Dinę po ręce. - Jesteś dla mnie jak córka. Pamiętaj, że zawsze możesz do mnie przyjść i wszystko mi powiedzieć, a ja cię zrozumieję.

O Boże, czuła się podle. Mary zasługuje na jej zaufanie. Przyrzekła sobie w duchu, że wyjawi jej całą prawdę, gdy tylko dowie się wszystkiego, co możliwe o tym okropnym dniu sprzed dziesięciu lat.

Mary siedziała ze zmarszczonym czołem.

- Jak się dostaniesz do miasta? Pożyczyłabym ci mój samochód, gdybyś miała prawo jazdy. Poszukiwania zajmą ci parę dni, a taksówki są strasznie drogie.

- Westchnęła, oparła się o poduszki i zamknęła oczy.

- Oczywiście możesz zawsze pojechać autobusem, ale o tej porze roku nie jest to najwygodniejszy środek transportu: powolny i rozgrzany do czerwoności. -Zerknęła na Dinę, siedzącą posłusznie przy łóżku, gotową zastosować się do tego, co powie. - Wiesz co, najlepiej zdecyduj sama.

Dina uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Mam jeszcze trzysta dolarów z tego, co mi zapłaciłaś, więc pojedę taksówką.

Mary kiwnęła głową.

- To jeden z powodów, dla których nigdy nie zgodziłabym się brać od ciebie pieniędzy za mieszkanie. Zaprojektowałaś i uszyłaś mi

tyle pięknych sukien, wartych prawdziwą fortunę. Zawsze czułam się winna, że pozwalałaś płacić sobie tylko nędzne grosze.

- Dosyć mi płaciłaś naprawdę. Poza tym, gdyby doktor Gresham dowiedział się, że zarabiam szyjąc suknie dostałby ataku serca.

Szyła nie tylko dla Mary, ale też dla paru innych pielęgniarek i doktor nigdy nie odkrył, że posiada własne pieniądze.

-Nadal mnie to gnębi.

- Całkiem niesłusznie. Ty jedyna posłuchałaś mojej rady, żeby kupować dobre materiały i dodatki. Najbardziej dumna jestem z tego, co zrobiłam dla ciebie.

Mary pociągnęła nosem, co tym razem nie miało nic wspólnego z katarem.

No więc jedziesz jutro do biblioteki. Czy wiesz, gdzie szukać informacji o śmierci babki?

Dina zaczęła przedstawiać jej swój plan i nawet kiedy przyjaciółka zmorzona chorobą lekko przysnęła, nadal mówiła do niej półgłosem, żeby utwierdzić się w swojej determinacji.

Clay siedział nad stosem papierów na biurku. Wciąż od nowa przeglądał i czytał protokoły sądowe z procesu Diny i nie wierzył własnym oczom. Wszystko wskazywało na to, że miał do czynienia z horrendalną pomyłką sądową. Prokurator stanowy był zupełnym ignorantem, a jego mowa oskarżycielska była w wielu miejscach wspomagana przez podpowiedzi sędziego Jonesa.

Dziadek i młody adwokat, który mu pomagał, robili co mogli, ale nad salą sądową zawisła jakaś ciemna siła. Każdy wniosek dziadka

zostawał oddalony, a sama rozprawa, która powinna być odroczone z powodu fizycznego i psychicznego stanu oskarżonej, odbyła się już w miesiąc po zamordowaniu Agathy Fleur Deveraux. Choć w nadzwyczajnych przypadkach stosowano czasem tryb przyspieszony, zwykle prawnicy stawali na głowie, żeby opóźnić proces - czy to dla wyciszenia emocji, czy dla pozyskania sobie mediów.

Cała ta sprawa była klasycznym przykładem manipulacji: ktoś sterował prawem dla siebie wiadomych celów. Ale po co? Samotna, trzynastoletnia dziewczynka nie miała tu żadnych szans. Jeśli była winna zabójstwa, taka parodia procesu nie mogła jej wiele zaszkodzić. Natomiast jeśli była niewinna.

Clay wstał, przeciągnął się, spojrzął na stos segregatorów, które przyniósł z biura dziadka, i westchnął. Co go w pierwszym rzędzie dziwiło, to fakt, że dziadek w ogóle podjął się obrony Diny. Jego specjalnością były sprawy podatkowe, nie kryminalne. Jeśli chciał, żeby firma wzięła tę sprawę, czemu nie przekazał jej komuś bardziej kompetentnemu?

Nie pamiętał też, aby dziadek kiedykolwiek coś mówił o tym przypadku, co było do niego niepodobne. Co prawda, myśli Claya zaprzętały w owym czasie głównie studia prawnicze, kobiety i przyjęcia - a potem przyszła wojna w Wietnamie.

Potarł oczy i kark, wyglądając przez okno. Zmierzchało już i czuł ogarniające go zmęczenie, ale nie mógł oderwać się od tych akt. Dziadek nie walczyłby tyle lat o uwolnienie Diny, gdyby w nią nie wierzył. Zerknął do swoich notatek i odszukał przygnębiająco krótką

listę ludzi zamieszanych w sprawę Deveraux. Większość z nich to urzędnicy państwowi, którzy pewno przeszli już na emeryturę i wyjechali. Ale z jakichś przyczyn tłuło mu się po głowie nazwisko „Bob Spencer”, choć nie bardzo wiedział czemu.

Nagle coś mu zaświtało. Wziął segregator z napisem „Deveraux” i zaczął szybko przeglądać, aż trafił na plik faktur, których szukał. Uśmiechnął się, kiedy znalazł tę właściwą. Była wystawiona na firmę „Spencer Incorporated” i opiewała na sumę sześciuset dolarów - dziesięć godzin obserwacji po sześćdziesiąt dolarów za godzinę. Widział w życiu dość tego typu rachunków, żeby się domyśleć, że „Spencer Incorporated” to prywatna firma detektywistyczna. Zaintrygowała go data-trzy tygodnie przed śmiercią dziadka.

Niewiele myśląc, wykreślił numer telefonu podany na fakturze, ale po kilku dzwonekach zorientował się, że o tej porze pewno nikogo nie zastanie. Miał już odłożyć słuchawkę, kiedy po drugiej stronie odezwał się mrukliwie zirytowany głos. Clay przedstawił się i zaczął tłumaczyć, dlaczego dzwoni, kiedy rozmówca mu przerwał.

- Słyszałem o śmierci pańskiego dziadka. Bardzo mi przykro. Wie pan, że on był przekonany o niewinności Diny, prawda? Wynajął mnie, żebym pomógł to udowodnić, jak i to, że sędzia Jones był opłacany, żeby trzymać ją w odosobnieniu. Pański dziadek wiedział, że sędzia jest skorumpowany i był pewien, że zna on nazwisko mordercy i osłania go za pieniądze. Przekazał swoje podejrzenia FBI i zasugerował, żeby sprawdzili operacje finansowe, jakich dokonał w

ciągu ostatnich dziesięciu lat. Problem polegał na tym, że miałem związane ręce, jeśli chodzi o prowadzenie śledztwa.

Nie mogłem zadawać żadnych pytań Greshamowi ani sędziemu. Pan Lambert bardzo uważał, żeby nie rozpętać burzy. Bał się o Dinę i dlatego tak często wpadał do sanatorium - w różnych dniach, o różnych porach. Miał wrażenie, że nasz doktorek i szanowny sędzia są jakby ciut za bardzo zaprzyjaźnieni. I niech pan nie myśli, że teraz, kiedy Jones wykorkował i dziewczyna znalazła się na wolności, jest już po wszystkim.

Clay poczuł się, jakby spadł na niego grom z jasnego nieba. Był zszokowany i wstrząśnięty zasłyszczanymi rewelacjami, a ostatnie zdanie poderwało go na równe nogi.

- Na miłość boską, o czym pan mówi?

- Jak to o czym? O pieniądzach. Jeśli chce pan wiedzieć, to okazało się, że sędzia inwestował ogromne sumy w rozmaite przedsięwzięcia w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Obracał o wiele większą forszą, niż pozwalała na to jego pensja. Ktoś musiał mu nielicho smarować łapę, Lambert. No, niech pan ruszy głowę. Zamordowano jakąś staruchę i bardzo szybko wytoczono proces trzynastoletniej dziewczynce, cierpiącej na utratę pamięci, która nawet nie mogła się bronić. Uznano ją za niepoczytalną, obciążono winą i zamknięto w zakładzie dla umysłowo chorych. A propos, czy pan wie, że Jones najpierw skazał ją na pobyt w państwowym szpitalu psychiatrycznym w Rusk, w Teksasie? Nie przetrwałaby tam dwóch miesięcy. Pański dziadek codziennie przez cztery tygodnie wnosił

petycje do sądu o umieszczenie jej w prywatnym sanatorium, posuwając się w końcu aż do grózb. W każdym razie chodzi o to, że sędzia i ten, kto za nim stał, bardzo się starali, żeby trzymać Dinę w zamknięciu. Teraz dziewczyna jest wolna i gość, który pociągał zza sceny za sznurki, nie ma już wglądu w jej poczynania. Załóżmy, że Dina odzyska pamięć i przypomni sobie, kto zamordował babkę. Niech się pan postawi w jego położeniu. Co by pan zrobił?

- Czy chce pan powiedzieć, że życie Diny jest w niebezpieczeństwie?

Pod Clayem ugięły się nogi i opadł ciężko na fotel.

- Chcę powiedzieć, że może być w niebezpieczeństwie, ale niekoniecznie. Przez cały ten czas nie odzyskała pamięci i skąd wiadomo, że to kiedyś nastąpi? Swoją drogą, to będzie niezły szok dla mordercy, kiedy się dowie, że dziewczyna jest co najmniej tak samo dziana jak on. Tylko że pański dziadek był zbyt uczciwy, żeby wykorzystywać jej pieniądze na łapówki.

Clay czuł, że mąci mu się w głowie. Pieniądze Diny? Jakie pieniądze? Nie miał pojęcia, o czym ten facet mówi i zdumiony dźwięk, jaki wydał, natychmiast to zdradził.

- Nie wie pan zbyt wiele, mecenasie, co? Pańska klientka jest bardzo bogata. Pan Lambert osobiście doglądał wszystkich inwestycji i pilnował, żeby nic nie straciła. Był pewien, że któregoś dnia wydobędzie ją z sanatorium i chciał, żeby miała zabezpieczony byt. Więc co teraz?

- Co teraz z czym? Skąd, do diabła, mam, wiedzieć? Dopiero dziś poznałem tę sprawę; moje biuro jest całe zawałone teczkami dziadka. Ledwo przeczytałem protokoły sądowe. - Mówiąc to zerknął na notatki, które robił, i na listę ludzi, którzy zeznawali w sądzie. Widniał na niej policjant Robert Spencer. - Zaraz, zaraz, czy pracował pan w policji dziesięć lat temu?

- Tak, to długa historia. Opowiem ją panu, kiedy się spotkamy i porozmawiamy o tym, co dalej robić. Chce się pan chyba dowiedzieć, kto stał za sędzią, no nie?

- Naturalnie, że chcę. A więc jest pan nadal zainteresowany rozpracowaniem tej sprawy?

- Rzecz jasna. Do diaska, człowieku, jestem w nią zamieszany w taki lub inny sposób od dziesięciu lat. Kiedy się spotkamy?

- Jutro w porze lunchu. Tu u mnie. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Odłożył słuchawkę i przeciągnął palcami po włosach. Był śmiertelnie zmęczony i marzył o łóżku, ale w głowie wciąż tłukła mu się jedna myśl. Dziadek do końca, nawet w chorobie, nie zrezygnował z walki o uwolnienie Diny. Teraz, kiedy to się stało, na pewno by na tym nie poprzestał. Chciałby, żeby prawdziwy winowajca zapłacił - nie tylko za morderstwo, ale i za spisek, w wyniku którego przez tyle lat trzymano Dinę w zamknięciu.

Clay w zupełności się z nim zgadzał. Zamierzał podjąć śledztwo, miał tylko jeden poważny problem: jego działania mogą okazać się

zgubne. Może wprawić w ruch siły, które ugodzą w tę właśnie osobę, którą chciał chronić.

Scandalous

Ledwo przekroczyła drzwi biblioteki, poczuła ogarniającą ją panikę. Chłodne, przepastne wnętrze, pachnące starymi książkami i politurą, już od progu ją onieśmieliło. Miała ochotę wziąć nogi za pas i uciekać. Przemogła się jednak i podeszła do najbliższego stołu, choć najchętniej zamknęłaby się teraz w toalecie, gdzie mogłaby się w samotności uspokoić i wziąć w garść. Jestem wolna, powtarzała sobie, i jeśli będę się bać każdej najmniejszej rzeczy, to przyjdzie mi resztę życia spędzić w toaletach. Nie była to szczególnie frapująca perspektywa.

Wzięła kilka głębokich oddechów i poczekała, aż serce przestanie jej bić jak oszalałe. Rozejrzała się po otoczeniu, obserwując uważnie, co robią inni i starając się wymyślić jakąś historyjkę, która wyjaśni jej nieznaną funkcjonowanie tej instytucji. Pracownicy biblioteki wyglądali na ludzi przyjaznych i pomocnych, odpowiadali wszystkim na pytania i wyszukiwali potrzebne książki. Byli też gotowi podprowadzić każdego do odpowiedniej półki, żeby wziął sobie, co chce.

Nieco uspokojona podeszła do długiej lady. Zignorowała miłego, młodego człowieka i z uprzejmym uśmiechem zwróciła się do starszej kobiety o surowej twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała niemal szeptem. - Czy mogłaby mi pani pomóc?

Surowa twarz zastygła w niechętnym grymasie i Dina zaczęła się zastanawiać, czy dokonała właściwego wyboru. Nagle przypomniała sobie, czego uczyła ją matka: „Pamiętaj, że uśmiech otwiera wszystkie drzwi”. Uśmiechnęła się więc szerzej i ciągnęła:

- Nie jestem stąd - co nawet nie było kłamstwem - i nie bardzo umiem korzystać z biblioteki...

- Czego pani szuka? — przerwała jej kobieta, nie spuszczać oczu z grupki nastolatków, siedzących przy pobliskim stoliku. - Czy sprawdziła pani w katalogu?

Trudno się z nią dogadać, pomyślała Dina i uznała, że najlepiej powiedzieć całą prawdę. Rozejrzała się dokoła i szepnęła:

- Szczerze mówiąc, zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać, Bibliotekarka skupiła wreszcie na niej uwagę, a nawet obdarzyła ją bladym uśmiechem.

- Chcę przejrzeć obie tutejsze gazety codzienne sprzed mniej więcej dziesięciu lat... powiedzmy, z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego. Czy to możliwe?

- Oczywiście.

Bibliotekarka rzuciła kolejne, pełne dezaprobaty spojrzenie na grupkę nastolatków, szepnęła coś swojemu współpracownikowi i wysunęła się zza lady. Chwyciła Dinę za ramię i poprowadziła ją do pomieszczenia na drugim piętrze, mówiąc po drodze:

- Lokalne gazety są na mikrofilmach. Pokażę pani, jak szukać tego, co panią interesuje i jak ładować przeglądarkę. Jeśli chce pani

zrobić odbitki, proszę zanotować numer z górnego rogu danego filmu i przynieść mi rolki, to zrobimy fotokopie.

Dina słuchała uważnie, jak bibliotekarka bombarduje ją instrukcjami niczym sierżant młodego rekruta. Miała wątpliwości, czy zapamięta z tego choćby połowę, ale kiwała posłusznie głową, jakby te słowa utrwały się jej w pamięci złotymi głoskami. Kiedy została sama ze szpulką mikrofilmu w ręce, uzmysłowiła sobie z goryczą, co za chwilę przeczyta. Będą tam wszystkie szczegóły zbrodni, ale nie będzie prawdy.

Jak się okazało, posiadała większe zdolności przyswajania sobie poleceń w stresowych sytuacjach, niż myślała. Nie bez znaczenia były też wyraźne piktogramy, obrazujące, co należy robić, umieszczone na przeglądarce. Po kilku próbach nauczyła się ją obsługiwać i zaczęła szukać odpowiedniej daty. Kiedy doszła do listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, zwolniła przeglądanie filmu. Dzień za dniem migały jej przed oczami, aż wreszcie znalazła to, po co tu przyszła. Na chwilę zamknęła oczy.

„Trzynastoletnia dziewczynka zabija swoją babkę” - głosił tytuł popołudniówki. Następnego dnia poranna gazeta obwieściła to jeszcze dosadniej: „Zamroczona narkotykami nastolatka zadźgała babkę nożem”.

Dinie zrobiło się słabo, Jeśli takie są tytuły, to co będzie w środku? Bała się kontynuować czytanie, ale myśl, że ktoś popełnił morderstwo i zrzucił winę na nią, szybko przywołała ją do porządku. Ze złości wzięła się za lekturę, sporządzając przy tym listę wszystkich

nazwisk związanych ze sprawą. W końcu poczuła się jak osobą z boku, nie mającą nic wspólnego z opisywaną dziewczynką.

Nagle uderzyło ją jedno z nazwisk. Była tak zdumiona, że je rozpoznała, że aż drgnęła. Bob Spencer był policjantem z wydziału zabójstw. Zadała sobie pytanie, skąd to wie? Przez pół roku po śmierci babki była w stanie katatonii i zupełnie nie miała kontaktu ze światem. A jednak pamiętała mgliście tego mężczyznę.

Usiadła z łokciami na stole i brodą podpartą na rękach, wpatrując się tępo w ekran. Miała tego człowieka przed oczami - był bardzo wysoki, miał gęste, ciemne włosy i wąsy. Czowała się przy nim onieśmielona, ale nie zastraszona czy potępiona, jak przy tylu innych. Dlaczego, na Boga, go pamięta? I wtedy sobie przypomniała. Bob Spencer odwiedzał ją parę razy w ciągu pierwszego roku jej pobytu w sanatorium. Zadawał nie kończące się pytania, na które nie знаła odpowiedzi, a potem przestał przyjeżdżać. I jeszcze jedno. Bob Spencer nie wierzył w jej winę, była tego pewna.

Potarła piekące oczy, zastanawiając się, skąd brała tę pewność. On sam nigdy nie uczynił na ten temat

żadnej wzmianki, ale była z niego jakaś prawość; jego pytania były pełne delikatności, a oczy wyrażały smutek, kiedy na nią patrzył. Bob Spencer ją lubił.

Postarała się skupić uwagę z powrotem na mikrofilmie i nawet zaczęła już czytać następne sprawozdanie ze swojego procesu, kiedy niespodziewanie sparaliżowało ją jakieś dziwne uczucie. Ciarki jej przeszły po grzbiecie i włosy zjeżyły się na głowie. Obejrzała się

gwałtownie, pewna, że ktoś ją obserwuje. W pokoju było tylko pięć osób i żadna nie okazywała jej najmniejszego zainteresowania, Jakieś dwie kobiety siedziały razem, pochylone nad dużą księgą, łysy mężczyzna przy odległym stole był pogrążony w lekturze, a na drugim końcu sali ktoś czytał gazetę, znad której widziała tylko zszarzałe włosy.

Uznała, że pewno jej się wydawało, i skierowała uwagę na jedyną osobę siedzącą w pobliżu. Był to młody człowiek przy sąsiedniej przeglądarce, który musiał zauważyć jej dziwne zachowanie, bo patrzył na Dinę ze zdziwieniem. Uśmiechnęła się i wytłumaczyła:

- Coś mi się przywidziało. Odwzajemnił jej uśmiech.
- Rozumiem. Zdarza się.
- No właśnie.

Sądząc na oko, był niewiele starszy od niej i miał dziecinne dołeczki w policzkach. Jego zielone oczy tryskały rozbawieniem, a rudawe włosy sterczały na wszystkie strony. Dina szybko odwróciła głowę. Powróciła do pracy, ale nie mogła się skupić, pewna, że gdzieś go już widziała. W końcu była już skłonna uznać, że musi mieć omamy, kiedy zerknęła raz jeszcze, a on ponownie się do niej uśmiechnął. I wtedy odpowiedź przyszła sama.

- Był pan wczoraj w sądzie, prawda? Drgnął, najwyraźniej zaskoczony.

— Sędzia kazał panu opuścić salę - ciągnęła w zamyśleniu. -
Ciekawe dlaczego? Kim pan jest?

Najlepiej jest udać pierwszą naiwną. Doskonale wiedziała, że jest reporterem, nie wiedziała tylko, jak się nazywa i czego chce. Ale natknięcie się na niego dwa razy w tak krótkim czasie było podejrzane.

Niemile zaskoczony młody człowiek szybko się pozbierał, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że należy coś powiedzieć. Wyciągnął rękę.

- Cześć, jestem Danny Hudson. Śmieszne, że się znów spotykamy, prawda?

- Tak. - Kłamał, co było widać gołym okiem. - Ale to chyba nie jest przypadek?

Zrobił rozbijającą minę z cyklu „no cóż, złapałaś mnie” i wzruszył wymownie ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie. Przyjechałem dziś rano, żeby z tobą porozmawiać i zobaczyłem, jak wsiadasz do taksówki. Więc... postanowiłem za tobą pojechać.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? Dlaczego chciałeś ze mną rozmawiać?

Danny poczuł, że zaczyna się pocić. Nie wiedział, czego się po niej spodziewać.

- Posłuchaj, pracuję w redakcji „Post”. Jestem sprawozdawcą sądowym. Wczoraj nawet nie wiedziałem, kim jesteś. - Kłamał jak z nut. - Byłem po prostu w sądzie i zainteresowałem się twoją sprawą, kiedy sędzia kazał publiczności opuścić salę. - Patrzyła na niego tymi ładnymi, ale zimnymi oczami. Uśmiechnął się najbardziej czarująco,

jak potrafił. - Cóż ja poradzę na to, że taką mam pracę. Próbuję po prostu to i owo się dowiedzieć.

Dina nie miała ochoty z nim rozmawiać, ucięła więc krótko:

-No więc już się dowiedziałeś.

Widząc, że ofiara wymyka mu się z rąk, zagrał ostatnią kartą.

- Posłuchaj, widziałem, że przeglądasz artykuły prasowe o morderstwie. Spędziłem wczorajszy dzień, robiąc to samo. Osobiście uważam, że ten cały proces był prowadzony dość osobliwie, nawet jak na lata sześćdziesiąte. - Wziął swój notes, długopis i wstał, a potem, jakby właśnie mu to przyszło do głowy, wręczył jej swoją wizytówkę.
- Jeśli będę mógł ci w czymś pomóc, odpowiedzieć na jakieś pytanie, to zadzwoń.

Odszedł zaledwie parę kroków, kiedy go zawołała. Poczuł niewysłowioną ulgę.

Dina uznała, że ten chłopak ma rację. Wiedział więcej o prowadzeniu śledztwa niż ona. Uśmiechnęła się do niego. Mógł rzeczywiście się przydać, ale na jej warunkach, nie jego.

- Nie chciałam cię urazić. Wiesz już, kim jestem, prawda?

- Tak. Jesteś Dina Deveraux.

- Jeśli miałeś nadzieję usłyszeć ode mnie moją historię, to nic z tego. Nie pamiętam, co się zdarzyło tamtego dnia.

- Coś ty, byłem po prostu ciekawy, dlaczego sędzia utajnił posiedzenie, to wszystko. Poszperałem więc trochę tu i tam, żeby się dowiedzieć, o jaki sekret chodziło za tymi zamkniętymi drzwiami.

- A ja próbuję odkryć sekret tego, co się właściwie działo w dniu morderstwa - powiedziała, widząc, że jej strategia przynosi skutek i chłopak łyka wszystko, co mu powie. Może, jeśli dobrze to rozegra, wyciągnie z niego, co się da. - Mówiłeś, że przejrzałeś już te materiały tutaj?

Z pozornym ociąganiem Danny Hudson usiadł ponownie za stołem.

- Tak, ale nie ma tu nic specjalnego. Tylko stare artykuły pisane przez dziennikarzy, którzy uważali, że tania sensacja, nieważne, oparta na prawdzie czy nie, dobrze się sprzedaje. Przede wszystkim powinnaś, tak jak ja, przeczytać protokoły sądowe.

- Ale jak je zdobyć?

- Trzeba być prawnikiem, urzędnikiem sądowym albo mieć jakieś doświadczenia. Ja mam. - Pochylił się nad nią i szepnął, jakby byli konspiratorami: - Weź swoje rzeczy, pójdziemy razem na lunch, to ci opowiem wszystko o rozprawie.

Nie ufała mu, ale musiała przyznać, że chłopak się stara. Spakowała notes do torebki i wskazując na miękką, skórzaną teczkę, którą pożyczyła jej Mary, powiedziała:

- Mam ze sobą mnóstwo kanapek. Może zjemy je na ławce na dziedzińcu? Tam jest trochę cienia.

Danny widział w duchu raczej cichy stolik w restauracji, gdzie przy kieliszku wina łatwiej by mu poszło rozwiązać jej język, ale zgodził się, nie chcąc drażnić licha. Teraz musiał tylko znaleźć chwilę dla siebie, żeby zadzwonić do redaktora naczelnego, ale nie wiedział,

jak wytłumaczyć zwłokę. Z niekłamana radością ujrzał w jej rękach szpulki mikrofilmu, które musiała jeszcze odłożyć na miejsce.

- Ty skończ tutaj, a ja pójde kupić coś do picia i spotkamy się na dworze.

Kiedy Dina wyszła z budynku, zobaczyła, że inni mieli taki sam pomysł. Większość ławek była zajęta, ale jakaś para właśnie wstawała, jak na zawołanie ustępując jej miejsca. Ławka stała pod rozłożystym, starym dębem, którego gęste listowie zapewniało przyjemny chłód. Dina wyjęła stos kanapek i torebkę częściowo już pokruszonych chrupek. Mary pewnie myślała, że będzie mieć wilczy apetyt. Po dwudziestu minutach czekania poczuła głód i niezbyt pewna, czy Danny się w ogóle pojawi, chciała już sama zacząć jeść, kiedy zobaczyła go, zbiegającego po schodach.

Biło z niego poczucie winy za spóźnienie i ledwo tłumione podniecenie. Rozmowa z szefem dała mu wgląd w nowe wątki „sprawy Deveraux”, których do tej pory nie znał, Teraz zamiast krótkiej, łzawej historyjki na trzeciej stronie szykował się do artykułu na czołówce.

Pomachał z dumą dwoma butelkami oszronionej coca-coli.

- Myślałaś, że już nie przyjdę? Strasznie przepraszam, była długa kolejka.

Postawił butelki na ławce, wytarł ręce o spodnie i wziął od niej opakowaną w papier kanapkę, chociaż wątpił, czy będzie w stanie coś przełknąć. Dina pociągnęła długi łyk coli.

- Od jak dawna jesteś dziennikarzem?

Nie wygląda na kogoś, kto spędził dziesięć lat za kratkami, pomyślał. Lepiej uważać.

- Od jakiś dwóch lat - odparł, starając się przełknąć kawałek kanapki. - Napisałem parę reportaży.

Czuł się przy niej dziwnie nieswojo. Powtarzał sobie, że przez bardzo długi czas przebywała w zamknięciu i zapewne uwierzy we wszystko, co jej powie. Tam do licha, mógłby pewno bez trudu skorzystać z sytuacji i ją uwieść, gdyby miał do tego głowę. Ale w tej chwili interesowało go tylko jedno: napisanie artykułu - za wszelką cenę.

Dina wyczuła zmianę w jego zachowaniu; zrozumiała, co ją spowodowało i westchnęła. Ogarnął ją gniew, który tak dobrze знаła, spuściła więc szybko głowę, żeby to ukryć i zaczęła żuć kanapkę, wyglądając przez to jeszcze bardziej nieśmiało i bezbrinnie. Czemu by nie wykorzystać jego zadufania i głupoty przeciwko niemu? Zastosowała jeden z trików doktora Greshama, pozwalając, aby rosła między nimi niepokojąca cisza, W końcu kiedy Danny zaczął się niespokojnie kręcić, spytała cicho:

- Co to są protokoły sądowe, Danny?

Wy tłumaczył jej to w przystępny sposób, a ponieważ patrzyła na niego, jakby był w jej oczach najmądrzejszym i najprzystojniejszym mężczyzną na świecie -co zapewne nie odbiegało daleko od prawdy, skoro była tak długo w zamknięciu - bez oporu wyjawiał jej wszystko, co wiedział o procesie.

Ciekaw był, ile z tego do niej dotarło i jakie myśli się kryją za tymi pięknymi, nieprzeniknionymi, błękitnymi oczami.

- Teraz twoja kolej - powiedział z uśmiechem, odważając się poklepać ją po ręce.

Popatrzyła na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Moja kolej? Na co?

- Miałaś mi zdaje się opowiedzieć o śmierci twojej babki?

- Przecież już ci mówiłam. - Obdarzyła go słodkim uśmiechem. - Nie pamiętam ani tego dnia, ani niczego, co było przedtem.

- Daj spokój. Musisz coś pamiętać. Znasz swoje imię i nazwisko, Wiesz o morderstwie i o procesie.

- Wcale nie. Lekarz w sanatorium powiedział mi, jak się nazywam. Opowiedział mi też historię śmierci babki i to, że zostałam uznana za winną i skazana na pobyt w zakładzie. To wszystko, co wiem. - Zerknęła na zegarek. - O mój Boże! Jak się zrobiło późno! Naprawdę nie mam już czasu, muszę lecieć.

Poderwała się z ławki, chwyciła Danny'ego za rękę i mocno nią potrząsnęła.

- Miło mi było cię poznać. Jeśli będę ci mogła w czymś służyć, to zadzwoń.

Zgarnęła swoje rzeczy i odeszła szybko w stronę budynku. Danny patrzył za nią oniemiały. Widział, jak wbiega po schodach i znika w drzwiach biblioteki. Cały czas zadawał sobie pytanie, dlaczego czuje się oszukany i wykorzystany - przecież to niemożliwe, aby mogła go wykołować pierwsza lepsza wariatka.

Dina tymczasem miała ochotę śmiać się i tańczyć.

Była wolna, szczęśliwa i nareszcie mogła robić, co chce. Ileż razy marzyła o tym, żeby pobić doktora Greshama jego własną bronią... Postąpić z nim tak samo jak z tym dziennikarzem. Zbić go z tropu i zostawić na lodzie z osłupiałą miną.

Babka zawsze jej powtarzała, że jest jak dwie krople wody podobna do matki, do której mężczyźni lgnęli jak muchy do miodu. Mówiła, że będą z nią same kłopoty. Ale z Dannym poradziła sobie z pomocą sprytu, nie urody. A poza tym Agathę Fleur Deveraux tak naprawdę irytował fakt, że nie mogła w pełni zapanować nad córką, a później wnuczką.

Dina zapamiętała matkę jako piękną, pełną wdzięku kobietę, której żaden mężczyzna nie mógł się oprzeć. Babka zawsze ją ostrzegała, że jeśli nie będzie się pilnować, to skończy jak ona i zostanie sama z nieślubnym dzieckiem.

Patrzyła nie widzącym wzrokiem w ekran. Całą drogę do biblioteki prześladowały ją wspomnienia. Po raz pierwszy, odkąd wróciła jej pamięć, zdała sobie sprawę, że oprócz śmierci babki w jej przeszłości było więcej bolesnych chwil.

Ale były też szczęśliwsze dni, na wspomnienie których serce bolało ją w inny sposób. Nie spodziewała się, że dawne czasy wrócą w postaci żywych obrazów, przesuwających się jej przed oczami niczym film. Przez dziesięć lat nie wiedziała, jak wygląda jej matka. Przeszłość stanowiła czarną plamę, a doktor Gresham nigdy nie pofatygował się, żeby zdobyć dla niej jakieś fotografie. Teraz

odzyskane wspomnienia przyniosły jej zarówno radość, jak i przejmujący ból.

Wstała od stołu i poszła poszukać telefonu, żeby wezwać taksówkę. Czekala na nią na dworze, siedząc w promieniach słońca na stopniach biblioteki. Wiatr ustał, powietrze było gorące i duszne, ale nie zwracała na to uwagi, pogrążona w myślach o dzieciństwie.

Chciała jak najszybciej znaleźć się u Mary, wygrzebać ze stosu bagaży swój notes i naszkicować najlepiej, jak potrafi, jedyną podobiznę matki, jaką kiedykolwiek miała - czyli mgliste wspomnienie, którego trzymała się kurczowo, aby jej nie umknęło. Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk klaksonu; szybko zebrała swoje rzeczy i zbiegła ze schodów. W pośpiechu wpadła na jakiegoś łysego, niskiego mężczyznę, którego w biegu przeprosiła, pędząc do Czekającej taksówki. Podmuch chłodnego, klimatyzowanego powietrza wewnątrz samochodu był jak orzeźwiający prysznic. Przypomniała sobie, że musi być ostrożna. Może oczywiście pokazać Mary wszystkie materiały znalezione w bibliotece i rozbawić ją historyjką o swoim triumfie nad reporterem, ale rysować musi w samotności swojego pokoju późnym wieczorem albo kiedy Mary wróci do pracy. Zamknęła oczy, raz jeszcze przywołując obraz matki.

Nagły skręt taksówki rzucił ją o drzwiczki i przywrócił do rzeczywistości. Taksówkarz zdawał się być bardziej zainteresowany patrzeniem w lusterko niż przed siebie.

- Czy coś się stało? - spytała.
- Mógłbym przysiąc, że... E tam, nic takiego. Przepraszam.

Jego podenerwowanie przerwało tok jej myśli i przez resztę podróży patrzyła przez okno. Ni stąd, ni zowąd znów - jak poprzednio w bibliotece - poczuła dziwne ciarki na plecach i parę razy złapała kierowcę na tym, jak co rusz zerka w lusterko. Po kilku pełnych napięcia minutach zorientowała się, że obserwuje nie ją, tylko drogę za nimi. Odwróciła się, żeby sprawdzić, co tak zaprzęta jego uwagę, ale zobaczyła jedynie Sznur samochodów.

- Mary, jak sądzisz, co bardziej wyostrza zmysły, instynkt czy wiedza?

Mary, zajęta czytaniem fotokopii, które Dina przyniosła z biblioteki, rzuciła z roztargnieniem:

- Co masz na myśli?

- Wydaje mi się, że ludy prymitywne kierowały się przede wszystkim instynktem, czyli zmysłami. W miarę upływu czasu człowiek zaczął coraz bardziej polegać na rozumie, chcąc poznać swoje otoczenie i doznania. Wobec tego, jeśli ktoś był odcięty od świata, czy mogło mu to zaostrić zmysły? Wyczulić go bardziej na to, co myślą inni?

- Powiedz lepiej od razu, do czego zmierzasz.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Znam cię. Kiedy zaczynasz tę całą pseudo-, psychologiczną paplaninę na wzór doktora Greshama, to znaczy, że masz w zanadrzu jakąś bombę.

Dina opowiedziała jej o dziennikarzu i obie zdrowo się uśmieły.

- Czy myślisz, że obudził się we mnie kobiecy instynkt? Tak łatwo było go przejrzeć i wystawić do wiatru!

Mary uśmiechnęła się. Cudownie było widzieć Dinę taką szczęśliwą.

- Lepiej na przyszłość uważaj, na kim będziesz wypróbowywać te swoje nowo odkryte talenty. A właśnie, tuż przed twoim przyjściem dzwonił Clayton Lambert. Pytał, czy może wpaść.

Dina poczuła, że pokój zakołysał się jej pod stopami. Było to nieznane i dziwne uczucie.

- No i co mu powiedziałaś?

- Dina, nie jestem twoją matką. Powiedziałam mu, że może, ale ciebie nie ma. Oznajmił, że i tak przyjedzie i poczeka.

Dina ze zdumieniem spostrzegła, że jest tą perspektywą zarówno podniecona, jak i zdenerwowana. Musiała sobie w duchu przypomnieć, że przecież to nie jest żadna randka. Ruszyła do drzwi i zatrzymała się w progu.

- Jak sądzisz, czy powinnam się przebrać? Mary obrzuciła okiem jej jasne, łososiowe spodnie i śnieżnobiałą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Dina była miłośniczką starych filmów. Lubiała ubierać się a la Carole Lombard, co przy jej wiotkiej figurze dawało świetny efekt. - Wyglądasz dobrze, tylko te włosy. Może dla odmiany upięłabyś je do góry?

Patrząc w lustro w łazience, Dina westchnęła. Włosy były utrapieniem jej życia - jasne i wijące się pod wpływem wilgoci. Kiedy spróbowała obciąć je na krócej, ku swej rozpaczycy straciła nad nimi

wszelką kontrolę. Przez długie miesiące sterczały na wszystkie strony, jakby trzymała palec w gniazdku elektrycznym. Żeby sobie z nimi poradzić, musiała je zapuścić, bo tylko przy odpowiedniej długości opadały do ramion ciężką, gęstą kaskadą. Upinając teraz kok na czubku głowy, ze zdumieniem zauważyła, że drżą jej ręce.

Jednak kiedy wróciła do Mary, była już spokojna i zrelaksowana. Zduszony śmiech przyjaciółki nieco ją zdeprymował i dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi. Zapomniała zapiąć zamek u spodni i jakby tego było mało, do buta przyczepił się jej papier toaletowy, który długą wstęgą ciągnęła za sobą po podłodze.

- To by go niewątpliwie przekonało o mojej normalności, nie uważasz?

Obie się jeszcze śmiały, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Dina patrzyła na Claya z przerażeniem. Jego ubranie było pomięte i najwyraźniej od zeszłego dnia nie zmieniane. Miał ciemne worki pod oczami i szpeciniasty zarost. Kiedy z pewnym wahaniem przedstawiała go Mary, zorientował się, że jego wygląd budzi ich zdumienie, więc szybko się usprawiedliwił:

- Proszę mi wybaczyć, ale od wczoraj nie byłem w domu i całą noc nie zmrzyłem oka.

Usiadły na kanapie, wskazując mu fotel naprzeciwko. Przesunął palcami po włosach, zastanawiając się, jak im to wszystko wyjaśnić, ale był tak zmęczony, że dodał tylko:

- Czytałem protokoły z procesu i akta dziadka.

- To znaczy, że w ogóle pan nie spał? — spytała Mary.

- No cóż, nie- Spojrzał znużonym wzrokiem na Dinę i ożywił się nieco. - Chciałbym, żebyś wiedziała, że od chwili, kiedy zostałaś aresztowana, dziadek robił wszystko, żeby cię uwolnić. Nie wierzył w twoją winę i nigdy nie zmienił zdania.

Dina kiwnęła głową, czując wzruszenie. Cudownie było wiedzieć, że ktoś w nią wierzył przez wszystkie te lata.

- Dlaczego nigdy mi tego nie powiedział?

Clay usadowił się głębiej w fotelu, położył głowę na oparciu i wbił spojrzenie w sufit.

- Nie wiem. Może nie chciał, żebyś miała mu za złe, że mimo wszystko nie potrafi cię wydobyć.

Zamilkł, przypominając sobie wszystkie odręcznie pisane notatki, które uzmysłowiły mu, jak wysoko dziadek cenił Dinę Deveraux, jej charakter, uczciwość i poczucie humoru. Gdyby był trochę młodszy, Clay mógłby przysiąc, że staruszek się w niej na swój sposób zakochał. Ale nie wypadało nawet tak myśleć. Dziadek był wspaniałym człowiekiem i świetnym prawnikiem, jednak jego specjalnością nie były sprawy kryminalne. Dlaczego podjął się obrony Diny w sądzie, pozostawało zagadką.

Otrząsnął się z zamyślenia i wyprostował, widząc wbity w siebie wzrok obu kobiet.

- Uważam, że w twoim wypadku miała miejsce karygodna pomyłka. Jeśli się zgodzisz, wniosę rewizję i oczyszczę cię z zarzutów. Mam zamiar.

- Nie! - przerwała mu Dina stanowczo.

Jej sprzeciw zdumiał go, podobnie jak jej przyjaciółkę.

- Dina - upomniała ją Mary - daj mu przynajmniej skończyć.

- Po co? Co będzie, jeśli ta interwencja zaprowadzi mnie z powrotem do sanatorium albo, co gorsza, do więzienia? Nie, nie. Niech już będzie tak jak jest.

Clay zdał sobie sprawę, że ona nie ma pojęcia, jak działa prawo i boi się, że decyzja sędziego może zostać cofnięta.

- Dina, nie wrócisz już do sanatorium ani nie pójdziesz do więzienia. Choćbyś się przyznała, że z zimną krwią zabiłaś babkę, nie mogłabyś być sądzona po raz drugi za to samo przestępstwo.

Diną stanęła przy oknie. Powinna się cieszyć, że nie mogą skazać jej po raz drugi, ale słowa Claya dziwnie ją dręczyły. Bardzo chciała zapewnić go, że naprawdę jest niewinna, ale coś ją powstrzymywało. Sama tego dowiedzie; dziś rano właśnie uczyniła pierwszy krok w tym kierunku.

- Nie sądzę, żebym to ja zrobiła - powiedziała tylko.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że bacznie się jej przygląda, ale wiedziała, że jej twarz nic nie zdradza.

- Dina, nikt, kto cię zna, nigdy by nie uwierzył, że mogłaś zabić babkę - wtrąciła Mary. - Pomyśl lepiej nad propozycją Claya. To jest dla ciebie szansa na odzyskanie dobrego imienia i przekonanie się raz na zawsze, co się zdarzyło tamtego dnia. Poza tym - przerwała, żeby wytrzeć nos - poza tym nie podoba mi się to twoje spotkanie z tym dziennikarzem, choćby był nie wiem jak głupi. Uważam...

Nie skończyła. Clay zerwał się na równe nogi i stanął nad nimi z błyszczącymi oczami, dławiąc się ze złości.

- Co takiego? -wykrztusił wreszcie. Wiedział, jak wielką szkodę mogą wyrządzić media. Boże drogi, rozniosą Dinę na strzępy! Nie dając im dojść do głosu, spytał groźnie: - Jakie spotkanie z dziennikarzem? Gdzie? Kiedy? O co cię pytał? - Zmęczenie dawało mu się we znaki i wzmagало rozdrażnienie. Mina Claya wyrażała wściekłość. -I co mu, do cholery, powiedziałaś?

Mary skurczyła się, myśląc, że przed tym facetem lepiej się mieć na baczności, a później zerknęła na Dinę i spuściła głowę, kryjąc uśmiech. Znała to jej lodowate spojrzenie. No, no... Trafiła kosa na kamień.

W innych okolicznościach Dina może by i przycichła, odpowiadając posłusznie na pytanie, ale teraz była osobą wolną, a nie obiektem pod mikroskopem doktora Greshama. Wstała, patrząc Clay'owi prosto w oczy.

- Co mu powiedziałam? Powiedziałam, że oprócz babki zarabiałam siekierą jeszcze parę osób i pochowałam je w piwnicy. Stuknęła go palcem wskazującym w pierś, akcentując każde słowo. - Posłuchaj mnie uważnie. To, że siedziałam w sanatorium, nie znaczy jeszcze, że jestem idiotką. Nie przemawiaj do mnie z góry i nie używaj tego aroganckiego, protekcyjnego tonu. Dość się go nasłuchiwałam przez dziesięć lat. - Opuściła rękę. - A teraz, jeśli usiądziesz i spróbujesz się zachować jak normalny, inteligentny

mężczyzna, a nie jak nieokrzesany jaskiniowiec, to opowiem ci o mojej dzisiejszej przygodzie.

Clay usiadł. Dina uśmiechnęła się słodko i zajęła z powrotem miejsce na kanapie.

- Poszłam dziś rano do biblioteki, żeby przeczytać w starych gazetach, co się działo w dniu morderstwa babki i na procesie. Jak wiesz, nic z tego nie pamiętam,

- Widząc, jak Clay marszczy czoło z niejakim powątpiewaniem, pomyślała, że lepiej nie przeciągać struny.

- Przypominasz sobie, jak sędzia kazał wszystkim opuścić salę?

- No i co?

- Dziś rano, kiedy siedziałam przy przeglądarce, poczułam nagle, że ktoś mnie obserwuje i miałam rację. Jeden z mężczyzn, którzy byli w sądzie i których sędzia wyprosił, siedział obok. Nazywa się Danny Hudson.

Clay zmełł przekleństwo i Dina szybko dodała:

- Ale nic mu nie powiedziałam. Zresztą, co bym mu mogła powiedzieć? Nic nie wiem.

Clay wbił wzrok w podłogę, modląc się o cierpliwość. Była jak dziecko we mgle. Trudno wyobrazić sobie łatwiejszą zdobycz. Przy jej naiwności i braku doświadczenia mogła paść ofiarą każdego. Nie chciał, żeby z kimkolwiek rozmawiała czy zadawała pytania. Jeśli nie ona zabiła, to zabił ktoś inny. Jej działania mogą okazać się dla niej niebezpieczne.

Patrzył na nią bez słowa przez dłuższą chwilę, a w końcu, zmuszając się do zachowania spokoju, powiedział cicho:

- Dina, zostaw tego dziennikarza profesjonalistom. Następnym razem, kiedy cię będzie nagabywał, osobiście albo przez telefon, skieruj go do mnie. - Do licha, jej oczy potrafiły być jak dwa sztylety. - Proszę cię - dorzucił z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki go było stać.

Widząc, że między tą parą lecą iskry, Mary postanowiła interweniować.

- Panie Lambert, dlaczego właściwie chce się pan zająć tą sprawą?

- Ponieważ mój dziadek wierzył w Dinę - odparł Clay, nie spuszczać oczu z dziewczyny. - I uważał, że coś w tej sprawie brzydko pachnie. Miał swój plan, trochę zbyt długodystansowy, jak na mój gust. - Mam zamiar przyspieszyć jego realizację. Przywrócimy ci dobre imię, Dina.

Rozmyślnie nie wspomniał nic o Bobie Spencerze ani o ich późniejszej rozmowie w kancelarii. Nie chciał, żeby wiedziała, że ktoś zawiązał spisek, aby trzymać ją przez te wszystkie lata w sanatorium.

Ponieważ Dina uparcie milczała, Mary raz jeszcze zabrała głos:

- Ale jak Dina panu zapłaci? Ile wyniesie pańskie honorarium?

- Honorarium?

- Tak, panie Lambert, honorarium. Inaczej rzecz biorąc, pieniądze. Dina chce znaleźć jakąś pracę, ale sam pan rozumie, że z jej przeszłością nie będzie to łatwe.

Clay poczuł się zdezorientowany. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

- Wiem, że są lata siedemdziesiąte i kobiety chcą odnosić sukcesy zawodowe, ale po co Dina miałaby od razu iść do pracy? Jest bardzo zamożną kobietą.

- Nie rozumiem - odezwała się wreszcie Dina.

- Ani ja. - Clay patrzył na nie zdumionym wzrokiem. -

Naprawdę nie wiedziałaś, że jesteś bogata? Myślałem...

- Panie Lambert - wtrąciła Mary, nie kryjąc złości na typową dla mężczyzn skłonność odsuwania kobiet od ważnych spraw, jakby nie były w stanie ich pojąć. - Panie Lambert, ani pański dziadek, ani doktor Gresham z niewiadomych przyczyn nie uznali za stosowne powiadomić swojej podopiecznej o jej sytuacji finansowej. Tymczasem Dina zamartwia się, że nie będzie mogła znaleźć pracy. Może więc najwyższy czas, żeby pan jej wszystko powiedział.

- Nie wiem jeszcze wszystkiego. Dział finansowy naszej firmy właśnie sprawdza stan faktyczny. - Widział, że w oczach Mary niewiele zyskał, a sądząc po minie Diny, dziewczyna zaczynała wątpić w jego kompetencje. - Z tego, co mi wiadomo, wynika że twoja babka posiadała spory majątek, a inwestycje mojego dziadka w ciągu ostatnich lat jeszcze znacznie go powiększyły.

To nie trzymało się kupy. Dina potrząsnęła głową.

- Wszystko, co babka miała, to swój sklep. Harowała ciężko całe życie, ale...

Nie mogła mu wyjawiać, że pamięta, jak babka do późna w nocy pracowała zarówno w sklepie, jak i w domu. Przy tym z typową dla siebie zjadliwością nigdy nie omieszkała wypomnieć wnuczce, jaki stanowi dla niej ciężar. Doprawdy, trudno uwierzyć, aby mogła mieć dużo pieniędzy.

- Nie wiem jeszcze, jakie było źródło pierwszej inwestycji zadysponowanej przez dziadka, ale wiem, że nie sprzedał „Fleur”. Nadal jesteś właścicielką pięćdziesięciu pięciu procent sklepu, który, możesz mi wierzyć lub nie, przez ostatnie lata przyniósł niezły dochód. Nie sprzedał też domu twojej babki, tylko go wynajął. Chyba miał przeczucie, że niedługo będziesz go potrzebowała, bo niedawno wymówił najem i kazał wszystko odnowić. Sprowadził też z powrotem niektóre z mebli oddanych na przechowanie do magazynu.

Tego już było dla Diny za wiele. Jej monotonna egzystencja została nagle przerwana przez niespodziewaną inwazję wspomnień i raptowny powrót do realnego świata. Wszystko działało się za szybko. Nie miała kiedy nie tylko złapać tchu, ale nawet spokojnie pomyśleć.

Poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi, żeby odciąć się od natarczywego szmeru głosów Mary i Claya. Gorączkowo przeszukała kilka pudeł i wyjęła swój szkicownik, usadawiając się z nim przy oknie. Przez dziesięć lat rysowanie było jej sposobem na życie, na ujarzmienie dręczących ją uczuć i emocji. Zawsze przelewała swoje myśli na papier nadając im kształt obrazków. Teraz też poczuła przemożną chęć chwycenia za ołówek. Zaczęła szkicować, odtwarzając wiernie kreską wnętrze biblioteki. Pochłonięta pracą,

odsunęła chwilowo na bok wszystkie inne sprawy, na które czas przyjdzie później.

Scandalous

Dinie nic się nie śniło od wieków, a dokładnie rzecz biorąc od dziesięciu lat.

Wraz z powrotem pamięci wróciły też sny, lecz zamiast przynieść jej ukojenie, przerodziły się w dręczące koszmary. Co rusz budziła się zrana zimnym potem z oszalałym biciem serca i urywanym oddechem, bojąc się znów zasnąć. Dla uspokojenia brała więc szkicownik, rysowała to, co się jej przyśniło i dopiero wtedy znów zapadała w sen - tylko po to, aby za godzinę przeżywać wszystko od nowa.

Kiedy usłyszała z daleka dzwonek telefonu, skończyła właśnie rysować. Oparła głowę o poduszkę, obserwując światło poranka na suficie. Całe łóżko zasłane było kartkami papieru; wzięła do ręki dwa szkice, uśmiechając się smętnie. Jeden przedstawiał matkę -tak jak wyłoniła się jej z pamięci. Drugi Claya. Patrzyła na niego z zamyśleniem. Gdyby to on miał być miernikiem tego, jak reagować będą na nią mężczyźni, to jej szanse wyglądają dość mizernie. Czy jej życie na zawsze będzie naznaczone przeszłością? Zawsze będzie nosić tę niewidoczną etykietkę „morderczyni”? Miała nadzieję, że któregoś dnia ktoś spojrzy na nią i zobaczy po prostu Dinę - i tylko Dinę.

Wzięła dwa następne rysunki. Ciekawe, dlaczego biblioteka wraca do niej w snach. Rysowała ją już przecież za dnia, ale tylko dlatego, że spędziła tam tyle godzin. Jeden szkic pokazywał dwie kobiety pochylone z wyrazem napięcia nad dużą księgą. Na lewo od

nich łysy mężczyzna, wsparty łokciami na stole, oparł o dłonie czoło, jakby drzemał. Dalej w wygodnym, skórzanym fotelu siedział drugi mężczyzna, czytający gazetę. Musiał być wysoki i chudy, sądząc po tym, jak naszkicowała jego skrzyżowane nogi. Nie zapomniała też o sobie i młodym dziennikarzu.

To dziwne, że zapamiętała tyle szczegółów. Zmarszczyła brwi, patrząc na kolejny rysunek. Coś ją w nim niepokoiło, ale nie mogła sobie uzmysłwić co. Przedstawiał ją na ławce, w Otoczeniu innych ludzi, korzystających z godziny lunchu. Patrzyła na schody biblioteki, czekając na Danny'ego.

Parę osób leżało na trawie, odpoczywając w cieniu rozłożystych drzew, inni jedli i gawędzili ze swoimi towarzyszami. Dodała do tej sceny dwóch mężczyzn z sali bibliotecznej. Nadal nie mogła zrozumieć, co ją dręczy.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, zgarnęła rysunki i wsunęła je pod kołdrę.

- Wejdz, Mary. - Jej uśmiech zbladł, kiedy zobaczyła zatroskaną twarz przyjaciółki. - Co się stało? Poczulaś się gorzej?

Chciała wstać, ale Mary nakazała jej gestem zostać na miejscu.

- Przed chwilą dzwonił twój adwokat - powiedziała, siadając na brzegu łóżka.

Poważna mina Mary zaniepokoiła Dinę i strach zamknął jej usta. Jedzie do nas.

Dina kiwnęła głową, czując suchość w gardle. Pierwszą rzeczą, jaka jej się nasunęła, była myśl, że sędzia zmienił zdanie i skierował ją

z powrotem do sanatorium. Ale to niemożliwe. Clay obiecał, że nigdy tam nie wróci. Zebrała się na odwagę i spytała:

- Dlaczego?

Kiedy spojrzała na zegar i zobaczyła, że jest dopiero szósta trzydzieści, wiedziała, że musiało się stać coś okropnego.

- Pamiętasz tego dziennikarza, którego spotkałaś wczoraj w bibliotece?

- Oczywiście, Nazywa się Danny Hudson. Dlaczego pytasz?

- Dina, wczoraj wieczorem znaleziono go martwego, z nożem w piersiach, na tyłach biblioteki.

- O Boże! To straszne! Zapadła ciężka cisza. Wreszcie Dina ją przerwała: - Ale dlaczego Clay tu jedzie?

Mary zbladła jeszcze bardziej, a jej mina nie wróżyła nic dobrego.

- Mary, powiedz mi zaraz, o co chodzi?

- Clay ma swoje znajomości w departamencie policji i jak tylko wypłynęło twoje nazwisko, zaraz dali mu znać.

- Moje nazwisko?

- Dina, byłaś ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

- No to co?

- I zapewne ostatnią osobą, która widziała go żywego.

- Oprócz tego, kto go zabił.

Złowroga cisza znów zaległa pokój. Nagle Dina poczuła, że przenika ją lodowaty chłód.

- Nie chcę już nic słyszeć, Mary. Nic już nie mów.

- Clay powiedział, że policja zna twoje nazwisko od bibliotekarki.

- Rozumiem. Ja byłam ostatnią osobą, która widziała Danny'ego Hudsona. Ja byłam ostatnią osobą, która widziała moją babkę. Danny Hudson został zabity nożem i babka została zabita nożem, to znaczy, że ja to zrobiłam. - Wyskoczyła z łóżka i stanęła naprzeciwko Mary. - Nie wrócę do sanatorium, I nie dam się zamknąć do więzienia, bo jestem niewinna!

Nagle zgięła się w pół, jak uderzona pięścią w żołądek, i musiała przysiąść na brzegu łóżka. Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. Nie była też winna śmierci babki, a jednak to ona musiała zapłacić za tę zbrodnię. Dobry Boże, co teraz z nią będzie? Czując rękę przyjaciółki na ramieniu, podniosła głowę.

- Ale dlaczego, Mary? Dlaczego mnie to znów spotyka?

- Nie wiem, lecz zrobimy wszystko, żeby to wyjaśnić.

- My? - szepnęła Dina. Od tak dawna była sama, że niemal zapomniała, co to słowo znaczy.

- Ja i Clay. - Mary znów pocieszająco poklepała ją po ramieniu. - Lepiej się ubierz. Clay zaraz tu będzie. Aha, powiedział, że przyjedzie z kimś, kto chce ci pomóc.

Dina drżącymi rękami usiłowała zrobić makijaż, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Pomalowała szybko usta jasną szminką i spróbowała wepchnąć z powrotem pod kok wymykające się, kręcone kosmyki. Miała na sobie letnią sukienkę w pastelowych barwach, w

której wyglądała niemal dziecinnie, ale nie było już czasu szukać czegoś innego w nie rozpakowanych jeszcze walizkach.

Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl i Dina przystanąła w drzwiach, na wpół sparaliżowana ze strachu. Śmierć Danny'ego to z pewnością tylko makabryczny zbieg okoliczności. Będąc dziennikarzem, mógł narobić sobie wrogów. Ale jeśli to nie jest zbieg okoliczności? Jeśli...?

Nie chciała dłużej o tym myśleć. Zmusiła się do przybrania spokojnego wyrazu twarzy i poszła do salonu. Kiedy stanęła w progu, poczuła wstrząs i serce jej zamarło. Minęła dłuższa chwila, zanim odzyskała głos.

- Ja pana znam - powiedziała do wysokiego mężczyzny, stojącego między Mary a Clayem.

Zmienił się przez te lata, przybrał na wadze, miał jeszcze potężniejsze bary i większy brzuch, ściśnięty szerokim, skórzanym pasem, a jego krótko przystrzyżona broda, niegdyś kruczoczarna, teraz zaczynała już siwieć.

- Pan jest tym policjantem, który odwiedzał mnie w sanatorium. Prowadził pan śledztwo w sprawie zabójstwa babki. - Spojrzała na Claya. - Czy on przyjechał mnie aresztować?

Clay zacisnął zęby, czując dławiący go gniew. Wyglądała jak anioł, jak przestraszony anioł. Ktoś zapłaci za jej krzywdę.

- Dina, to jest Bob Spencer. Nie przyjechał tu, żeby cię aresztować. Nie pracuje już nawet w policji. Bob jest prywatnym

detektywem i podobnie jak mój dziadek uważa, że jesteś niewinna. Od dawna zajmował się twoją sprawą, ostatnio razem z dziadkiem.

- Czy ktoś z was może mi wyjaśnić, co się właściwie dzieje? - spytała Dina. - I co będzie dalej?

Zadzwonił telefon i Mary poszła go odebrać. Clay i Bob patrzyli na nią, a ich miny nie wróżyły niestety nic dobrego.

- Dzwonili z kancelarii - oznajmiła Mary. - Prasa dowiedziała się już o całej sprawie. Tylko patrzeć, jak zlecą się tu chmary dziennikarzy.

Telefon znów zadzwonił. Z wyrazu twarzy przyjaciółki Dina wywnioskowała, że telefonuje nie jakiś żądny sensacji reporter, ale ktoś znajomy. Mary odwróciła się do nich plecami i mówiła cicho, żeby nikt nie słyszał. Kiedy skończyła, spojrzała zmieszana na Dinę.

- To był doktor Gresham. Chce, żebyś wróciła do sanatorium.

- O nie. Nigdy tam nie wrócę. Nie ma mowy.

Ze strachu mówiła wysokim, rwącym się głosem, który musiał w uszach postronnych brzmieć, jakby traciła nad sobą kontrolę.

Opanowała się całą siłą woli i spojrzała z obawą na Claya i Boba, bojąc się, czy nie ujrzy w ich oczach przeświadczenia, że jest osobą nie w pełni poczytalną. Ale patrzyli na nią z troską i współczuciem.

Właśnie to współczucie sprawiło, że omal się nie wygadała.

- Nie zabiłam mojej babki i nie zabiłam też Danny'ego Hudsona - oświadczyła z mocą.

- Ani przez moment w to nie wątpiliśmy - oznajmił Clay. - Musisz sobie jednak zdawać sprawę, że na oko wygląda to nie

najlepiej. Dziennikarze tylko ślizgają się po faktach. - Telefon znów zaczął dzwonić i Clay zmarszczył brwi. - Musimy cię wywieźć gdzieś, gdzie cię nie znajdą.

- Mam się ukrywać? Jakbym była winna? Nic z tego - zaprotestowała.

Bob Spencer nie zabierał dotąd głosu, obserwując w milczeniu zebranych. Teraz zwrócił się bezpośrednio do Diny:

- Podziwiam twoją odwagę, panienko - powiedział, - ale pozwól sobie coś wyjaśnić. Dziesięć lat temu media odegrały zasadniczą rolę w skazaniu niewinnej dziewczynki za zabójstwo. To się może zdarzyć ponownie. Jeśli nawet nie w sądzie, to w opinii publicznej, co jest niekoniecznie przyjemniejsze. Proszę cię, wyświadczyć sobie i nam tę przysługę i nie rozmawiaj z dziennikarzami. Pod żadnym pozorem.

Pan Lambert i ja - to znaczy starszy pan Lambert - robiliśmy przez ostatni rok wszystko, żeby cię wyciągnąć na wolność, ale wcale nie jestem pewien, Czy to było słuszne. Nie to, żebym choć przez moment wątpił w twoją niewinność, ale tam, w sanatorium, byłaś bezpieczna. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, a zabójstwo tego dziennikarza i sposób, w jaki zostało dokonane wskazuje na ciebie- Wszystko, to jest szyte trochę zbyt grubymi nićmi' jak dla mnie- Poza tym bez względu na to czy byłaś winna śmierci babki czy nie' ktoś zadał sobie naprawdę dużo trudu żeby trzymać cię w zamknięciu

Skończywszy to co miał do powiedzenia, Bob zacisnął gniewnie szczęki i podszedł do Mary, która próbowała się uporać z kolejnym natarczywym rozmówcą Delikatnie wyjął jej z rąk słuchawkę, odłożył

na widelki i jednym ruchem wyrwał przewód ze ściany. Bez słowa objął ramieniem zszokowaną gospodynię, zaprowadził na jej miejsce na kanapie, otulił kocem i podał pudełko chusteczek.

- Clay - odezwała się Dina z mimowolnym uśmiechem Patrzając jak oburzenie na twarzy Mary ustępuje miejsca zadowoleniu. - Skąd policja zna moje nazwisko? skąd w ogóle wiedzą, że rozmawiałam z Dannym Hudsonem?

Bob odpowiedział za Claya:

- Od bibliotekarki tej, która ci pomagała. Zapamiętała że interesowałaś się sprawą Deveraux i że pomagała ci szukać mikrofilmu a potem robiła fotokopie stron opisujących twój proces. A na koniec zidentyfikowała twoją fotografię którą policja otrzymała od doktora Greshama

-Pocziwy doktor Gresham - rzuciła Dina z sarkazmem -Zawsze taki chętny do pomocy. - Spojrzała na Claya.- Czy teraz Policja mnie aresztuje?

- Po moim trupie - oświadczył- Powiem ci, jak działa prawo w Teksasie: liczą się nie uzyskane informacje, ale znajomości i pieniądze, co w tym wypadku może okazać się dla nas korzystne. „Lambert, Bernard i Lambert” to firma z długą tradycją. Wygraliśmy wiele głośnych procesów, zachowaliśmy też wiele sekretów. - Nie dodał, że sam się zastanawia, gdzie podziały się wpływy firmy podczas parodii procesu Diny. - Zebrałem parę faktów, świadczących na twoją korzyść. Nie zostaniesz aresztowana z trzech powodów. Po pierwsze, koroner określił czas śmierci denata na godzinę, o której ty

byłaś już w domu. Po drugie, taksówkarz, który cię zidentyfikował, może poświadczyć, o której cię zabrał spod biblioteki. Po trzecie, Mary i ja stanowimy twoje alibi. Pieniądze i znajomości są bardzo ważne w tym stanie, Dino, a ty jesteś bogata i masz tym razem przyjaciół, którzy będą za tobą stać.

Dina przypomniała sobie coś, o czym wspomniał wcześniej Bob Spencer.

- Mówił pan, że ktoś trzymał mnie specjalnie w sanatorium; Wie pan, kto i dlaczego?

Spojrzenia, jakie mężczyźni wymienili, jasno świadczyły, że wolą o tym nie mówić. Chciała już głośno zaprotestować, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

- To pewnie policja. - Widząc strach w jej oczach, Clay szybko dodał: - Przysięgam, że nie przyjechali cię aresztować, tylko zadać kilka pytań.

Posadził ją na krzesło, a sam stanął z tyłu, kładąc jej rękę na ramieniu. Skinął na Boba, żeby otworzył i zarządził:

- Nic nie mów. Zostaw to mnie.

Przez całe lata w sanatorium Dina nauczyła się przybierać postawę pozornie obojętną, choć w środku cała się gotowała. Stosowała tę sztuczkę na złość Greshamowi i niezłe się bawiła, widząc, jak wyprowadza go z równowagi. Ale tym razem to co innego. To nie są żarty i musi mocno wziąć się w garść, żeby zachować spokój. Kojący uścisk ręki Claya dodawał jej otuchy.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że się do niej uśmiecha. Jak Mary może twierdzić, że nie jest piękny?

Usiadła prosto, z podniesioną głową, patrząc na dwóch mężczyzn witających się z Bobem. Byli ubrani po cywilnemu, a nie w mundury, jak się spodziewała. Starszy z nich, niski i przysadzisty, od progu przebił ją świdrującym spojrzeniem. Młodszy, wysoki i sztywny, starał się wyglądać równie groźnie jak towarzysz, ale jego dziecinna buzia z trudem układała się w srogi grymas.

Dina zauważyła kordialne powitanie tego starszego z Bobem i przypomniała sobie, że przecież są dawnymi kolegami z pracy. Strach ponownie chwycił ją za gardło, nasuwając brzydkie myśli o pułapce. Czyż nie naoglądała się dość seriali telewizyjnych - takich jak „Policjanci z Miami”, „Ulice San Francisco”, „Starsky i Hutch”, „Kojak” - żeby wiedzieć, iż gliny zawsze trzymają się razem?

- Panno Deveraux - odezwał się mężczyzna -jestem sierżant Howard Haskel. Miło mi panią znów widzieć.

Zamilkł i czekał.

Dina patrzyła na niego bez słowa

Clay zacisnął jej ostrzegawczo rękę na ramieniu.

- Zna pan moją klientkę?

Sierżant zignorował go, zwracając się nadal prosto do Diny:

- Dziesięć lat temu Bob i ja jako pierwsi przybyliśmy na miejsce zabójstwa pani babki. Była pani wtedy, jak się to mówi, na haju, więc pewno mnie pani nie pamięta. Wyjmowałem pani z ręki nóż, którym się pani posłużyła.

Dina zachowała kamienną twarz. Ten facet jest prawdziwym draniem. Najbardziej przerażała ją jego agresywna postawa. Wiedziała, że nigdy nie zapomni jej widoku, umazanej krwią, z ciałem babki w ramionach i narzędziem zbrodni w ręce. Był święcie przekonany o jej winie.

- Wystarczy, sierżancie - powiedział Clay gniewnym i władczym głosem.

Haskel wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni notes i zajrzał do swoich notatek.

- Jak rozumiem, spotkała się pani wczoraj z ofiarą, Dannym Hudsonem? Proszę mi opowiedzieć o tym spotkaniu.

Clay ścisnął jej ramię.

- Sierżancie, czy pański przełożony panu nie mówił, że panna Deveraux ma niepodważalne alibi na czas, w którym Hudson został zabity? I to ze strony dwóch niezależnych osób?

- Tak, oczywiście. Ale sam pan wie, że muszę ją przesłuchać.

Dina poklepała Claya uspokajająco po ręce.

- Nie miałam zamiaru spotykać się z tym dziennikarzem, sierżancie. Poszłam do biblioteki i on tam był, podobnie jak poprzedniego dnia w sądzie. Chciał usłyszeć moją historię.

- A pani nie chciała mu jej opowiedzieć?

- Właśnie.

- Co właściwie robiła pani w bibliotece?

- Czytałam o zabójstwie mojej babki.

Patrzyła na jego udane zdumienie. Wreszcie wymamrotał:

- Ach, tak... Podobno straciła pani pamięć...

- Owszem. I chciałam się przekonać, jak policja prowadziła śledztwo.

Dopiekła mu i rozkoszowała się swoją przewagą, nie zważając nawet na ostrzegawczy uścisk Claya.

- Co to, do diabła, ma znaczyć? - warknął sierżant.

Clay, dobrze wiedział, do czego prowadzą ustne utarczki z policjantami. Haskel nie był idiotą, a ponadto sprawiał wrażenie mściwego sukinsyna. Bawił się z Diną w kotka i myszkę, i Clay miał zamiar położyć temu kres. Uznał, że lepiej skierować jego złość na siebie.

- To ma znaczyć, Haskel, że wasz wydział brał łapówki i zapewne dalej bierze. - Clay uśmiechnął się krwiożerczo. - Wkrótce to udowodnię, a wtedy będzie pan gorzko żałował, że kiedykolwiek usłyszał nazwisko "Deveraux". Czy wyrażam się jasno?

- Jak najbardziej. Może powinniśmy dokończyć to przesłuchanie w komisariacie? Co pan na to, Lambert?

- Pocałuj mnie gdzieś!

Clay nie był przygotowany na taki obrót sprawy i po raz pierwszy od lat stracił kontrolę nad sobą. Jednym skokiem znalazł się przy sierżancie i gdyby nie szybka interwencja Boba, mogłoby to się źle skończyć. Wiedział, że niepotrzebnie dał się ponieść wściekłości, ale jeszcze nigdy nie miał takiej ochoty kogoś uderzyć.

- Howard, Howard - mówił tymczasem Bob, stając między nimi - zanim zrobisz jakieś głupstwo i dasz się w coś wpakować, lepiej

mnie posłuchaj. Dotarły do mnie pogłoski, że siedzisz po uszy w śledztwie dotyczącym morderców Forda. Nie uważasz tego za dziwne, że choć jesteś taki zajęty i minęło tyle lat, przydzielono cię znów do sprawy Deveraux? Radzę ci, sprawdź, kto za tym stoi. Dowiedz się, kto wydał takie polecenie, bo może się okazać, przyjacielu, że dajesz się wodzić na pasku.

Podczas tej przemowy Bob cały czas popychał sierżanta delikatnie w stronę drzwi. Haskel, doskonale się orientując w zamiarach dawnego kolegi, rzucił ostatnie, zimne spojrzenie na Dinę.

- Widzę, że twarda z ciebie sztuka, panienko. Niech no tylko się okaże, że twoja historyjka nie trzyma się kupy, to ani się obejrzysz, jak skuję ci rączki. Tym razem pójdiesz do więzienia, a nie do tego luksusowego pensjonatu, w którym byłaś.

Ostatnie słowa dobiegły już zza zamkniętych drzwi, ale wszyscy je słyszeli. Mary gotowała się ze złości. Zrzuciła koc, zawiązała starannie szlafrok i wstała.

- Pierwszy raz widzę podobny brak opanowania. Dinę jeszcze rozumiem, ale wy... - Spojrzała groźnie na obu mężczyzn. - Co wy wyprawiacie? Chcecie, żeby ją aresztowano? Omal nie doprowadziliście do bójki.

Zaczęli mówić wszyscy naraz, ale Mary uciszyła ich jednym ruchem ręki, jakby dzierżyła w niej czarodziejską różdżkę.

- Uspokójcie się choć na chwilę. Dina, zaprowadź Claya do łazienki. Niech spryska sobie twarz zimną wodą, może to go ostudzi. A co do pana - zwróciła się do onieśmiałego nagle Boba - to proszę

natychmiast podłączyć mi z powrotem telefon i odłożyć na bok słuchawkę, żeby nas nie niepokojono.

Dina trzęsa się jak w gorączce. Nigdy w życiu nie czuła się tak podekscytowana. Wściekłość Claya, jego gwałtowna reakcja na zachowanie sierżanta, zburzyła fasadę spokoju, z takim trudem przez nią zbudowaną. Targała nią burza uczuć, której nie umiała wytłumaczyć. Zagryzając usta, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem, poprowadziła Claya przez hol do łazienki.

On zaś nie mógł sobie wybaczyć własnego zachowania. Zerknął kątem oka na Dinę, zastanawiając się, co ona o nim teraz myśli. Pewno jest sparaliżowana ze strachu i nienawidzi go za to, co zrobił. Pogłaskał ją przepaszająco po łokciu, a kiedy spojrzała na niego, zobaczył w jej pięknych oczach przewrotny błysk tłumionego śmiechu. Zdumiony i zaskoczony, niewiele myśląc, chwycił ją w ramiona i pocałował. Był to gwałtowny, gorący pocałunek, po którym obojgu zabrakło tchu.

Clay poczuł się jak skończony drań.

- O Boże, przepraszam.

Była taka czysta i niewinna. Odcięta od świata przez tyle lat, nie miała pojęcia, czym jest namiętność.

Zapewne śmiertelnie ją przestraszył - chociaż musiał przyznać, że oddała mu pocałunek z niejakim entuzjazmem. Odsunął ją od siebie, gorączkowo starając się rozszyfrować jej uśmiech. Jak się tu teraz wytłumaczyć?

- Nie chciałem tego zrobić - bąknął.

- Więc dlaczego zrobiłeś?

- Ponieważ...

- Tak?

Przynajmniej nadal się uśmiechała.

- Ponieważ jesteś taką uroczą istotą i masz usta stworzone do całowania.

Roześmiała się, potrząsnęła głową i odeszła, pogrążając go w jeszcze większym zmieszaniu. Dziękowała Bogu, że oglądała tyle starych filmów, bo słowa Claya idealnie pasowały do jednej z kwestii Cary Granta. Nie były może aż tak pełne żaru, ale zostawiały nadzieję,

Kiedy, weszła do salonu, Mary ze zdziwieniem powitała jej błogą minę, co widząc, mrugnęła do niej porozumiewawczo i zwróciła się szybko do Boba:

- Czy będę jeszcze musiała rozmawiać z tym okropnym sierżantem?

- To zależy, jak potoczy się śledztwo. Zauważyła, że jest jakiś mniej rozmowny, jakby nieobecny, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jego uwaga jest skupiona na Mary,

Clay wrócił i podszedł do okna wychodzącego na ulicę. Rozchylił zasłony i wyjrzał.

- Aż roi się od dziennikarzy.

- Niech pan ich stąd wyrzuci - nakazała Mary.

- Moi sąsiedzi nie będą zachwyceni ich obecnością, podobnie jak ja.

Bob zaniósł się donośnym śmiechem.

- To pijawki, szanowna pani. Nie da się ich usunąć, póki nie dostaną tego, czego chcą.

- To znaczy Diny - westchnęła Mary. - Ale nie dobiorą się do niej i pan osobiście ma tego dopilnować, panie Spencer.

- Tak jest, proszę pani.

Clayowi przemknęło przez głowę, że w Bobie zaszła jakaś zmiana - jego szorstkość jakby straciła swoje ostrze. Zadał sobie pytanie, czy to przypadkiem nie Mary jest tego przyczyną, ale nie miał teraz czasu się nad tym zastanawiać. Myślał tylko o tym, jak uchronić Dinę przed dziennikarzami i wrócić do pracy nad jej sprawą. Podobnie jak Bob, nie wierzył w przypadki i uważał, że zabójstwo biblioteczki jest podejrzenie blisko powiązane z Diną. Ale jak ma bronić dziewczyny, nie mówiąc o grożącym jej niebezpieczeństwie?

- Posłuchaj, Dino - zaczął - znam dziennikarzy. Uczynią z waszego życia piekło, jeśli cię stąd nie usunę. - Mógł wziąć ją do swojego mieszkania, ale tam natychmiast by ją odszukali. Nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł. - Znam takie miejsce, w którym możesz się zaszyć. - Nie wiedział, jak na to zareaguje, ale mimo to spytał: - Co byś powiedziała na powrót do domu babki?

Dina patrzyła z mieszaniną niepokoju i rozbawienia na burzę, jaką wywołały ostatnie słowa Claya. Pokój rozbrzmiewał podniesionymi głosami Mary i obu mężczyzn którzy przerywali sobie w pół słowa, nie dając jedno drugiemu dokończyć zdania. Wszyscy mówili naraz, jak w farsie. Najśmieszniejsze jednak było to, że chociaż mówili o niej, zachowywali się, jakby jej tu wcale nie było. Traktowali ją jak dziecko, które nie jest w stanie samo podjąć decyzji.

- Posłuchajcie! - Podniosła głos, żeby ich przekrzyczeć, ale nie zwrócili na nią uwagi. - Hej! - wrzasnęła w końcu.

Mary pierwsza spojrzała w jej stronę i zamilkła, to samo zrobił Bob i wreszcie Clay. Dina przeczekała, aż się uspokoją i oświadczyła;

- Myślę, że przeprowadzka do domu babki to dobry pomysł.

Wywołało to nową eksplozję, tym razem ze strony Boba i Mary, którzy zarzucili ją gradem pytań i wątpliwości. Clay milczał, uśmiechając się z satysfakcją.

- Mary, proszę cię - zaklinała ją Dina - posłuchaj mnie.

- Dina, uważam, że to niezbyt rozsądna propozycja - nie dawała za wygraną Mary. - Nie wiadomo, jaki to będzie mieć na ciebie wpływ.

- A cóż może być gorszego od tego co jest, czyli niewiedzy? Moi dziadkowie kupili ten dom, moja matka się w nim urodziła i wychowała, ja sama mieszkałam tam wiele lat.

- A twoja babka została tam brutalnie zamordowana -
przypomniał jej bezlitośnie Bob.

- To prawda - przyznała Dina - ale to nie powinno mnie
powstrzymać. Ja tego nie zrobiłam.

Coraz trudniej jej było ukryć fakt, że odzyskała pamięć. Już jej
się wymknęło, że wie, gdzie urodziła się matka, ale Mary i Bob byli
tak pochłonięci swoim protestem, a Clay tak z siebie zadowolony, że
nikt tego nie zauważył.

- Jadę - zdecydowała. -I tak już zbyt długo siedzę ci na głowie.
Myślę, że powinnam zamieszkać w domu babki na stałe.

To oświadczenie wzbudziło kolejny sprzeciw, do którego
przyłączył się także Clay, głośno wyrażając swoje obawy. Dina
słuchała cierpliwie, przenosząc wzrok z jednej zatroskanej twarzy na
drugą. W końcu powiedziała:

- Może dacie i mnie dojść do słowa? Z pewnością uważacie, że
wiecie, co będzie dla mnie dobre, ale się mylicie. Ja sama najlepiej
wiem, czego mi trzeba.

Powiodła wzrokiem po mieszkaniu przyjaciółki, ciepłym i
gościnnym jak jego gospodyni. Ale choć darzyła Mary gorącym
przywiązaniem, ten dom nie był i nigdy nie mógł być jej domem.
Myśląc o tym, poczuła gwałtowną potrzebę otoczenia się rzeczami,
które należały do jej rodziny.

- Jestem wam bardzo wdzięczna za troskę, ale spróbujcie mnie
zrozumieć. Przez dziesięć lat a właściwie przez całe życie, ktoś mi
dyktował, co mam robić. Teraz chcę, a nawet więcej - muszę

nareszcie się usamodzielnic. - Podeszła do przyjaciółki i objęła ją. - Mary, wiesz, jak bardzo cię kocham. Proszę, nie gniewaj się. Po prostu muszę to zrobić.

Widziała, że wygrała. Mary miała wiele wspaniałych cech, a jedną z nich była gotowość do przyznania Dinie prawa do podejmowania decyzji.

- No dobrze - powiedziała - ale osobiście uważam, że to o wiele za wcześnie.

- Nie widzę w tym nic dobrego - zaproponował Clay.

- A to dopiero! - parsknął Bob ze złością. - Przecież to był twój własny pomysł. Sam jej to zaproponowałeś;

- Tylko jako kryjówkę, chwilowy azyl. Zyskalibyśmy trochę czasu, żeby się zorganizować i pomyśleć o lepszym miejscu. W żadnym razie nie miałem na myśli tego, żeby tam zamieszkała, i to sama, na miłość boską!

Żałował, że w ogóle napomknął o tym, że dom jest odnowiony i przygotowany na jej przyjęcie. Dina zaś przywołała na twarz uśmiech, żeby złagodzić swoje następne słowa:

- Clay, przez dziesięć lat byłam sama. To nic nowego.

To stwierdzenie zamknęło mu usta. Rzucił błagalne spojrzenie na Mary, ale otrzymał w odpowiedzi wzruszenie ramion i ostrzegawczy znak, żeby nie przeciągał struny. Zrezygnowany skinął głową.

- No cóż, niech będzie. - Zmarszczył brwi i spojrzał ponownie z troską na Mary, w nadziei, że może poczucie winy każe Dinie zmienić

zdanie. - Czy jest pani pewna, że może wyjść na dwór? Nie wygląda pani zbyt dobrze.

- Nie jestem pewna, ale nie zamierzam leżeć tu beczynn timer, jeśli mogę wam pomóc. - Zakaszlała i usiadła ciężko na kanapie. - Co mam robić?

- Nie widzisz, że jest chora? - warknął Bob. - Po co ma wychodzić z domu?

Clay westchnął, zastanawiając się, jak sobie z nimi wszystkimi poradzi.

- A masz lepszy plan? Wyjrzyj przez okno. Na ulicy stoją co najmniej cztery samochody należące do dziennikarzy. Jeśli wyjdziemy stąd z Diną, pojedą po prostu za nami.

- Więc chcesz ich wyprowadzić w pole? Clay przytaknął.

- Znają mnie i mój samochód. Pojedą za mną. Dina i Mary są mniej więcej tego samego wzrostu. Jeśli Mary włoży chustkę na głowę i przemknie się ze mną do auta, może dadzą się na to nabrać. Później ty weźmiesz jej samochód i wyjedziesz stąd z Diną, kiedy już będziecie mieć wolną drogę. - Odwrócił się do dziewczyny i spytał: - Zgadzasz się?

Odkąd pamiętała, zawsze rozstrzygano każdą kwestię za nią. Na myśl, że teraz wszyscy czekają na jej decyzję, poczuła zarówno podniecenie, jak i strach. Mary, mimo złego samopoczucia, kiwała głową, że akceptuje ten plan. Brakowało tylko jej głosu.

- Jestem gotowa - oznajmiła Mary, lecz nie byłaby sobą, gdyby nie starała się do końca jej zatrzymać. - Dina, proszę cię, przemyśl to jeszcze raz.

- Już przemyślałam. Muszę tam jechać.

Mary podniosła ręce na znak, że kapituluje i wyszła z pokoju, żeby się ubrać. Dina ruszyła za nią.

- Spakuję się i zadzwonię do Raula, żeby mu powiedzieć, gdzie ma przywieźć resztę rzeczy.

Clay patrzył za nią, targany wątpliwościami. Jego plan przyniósł nieoczekiwany skutek. Zasepił się, rozważając możliwe konsekwencje i dopiero Bob klepnięciem w ramię sprowadził go z powrotem na ziemię.

- Wcale się nie dziwię, że się martwisz, przyjacielu - rzekł ponuro. - Mamy tu do czynienia z mordercą, i to prawdopodobnie dwukrotnym. Zostawienie tej małej samej w tamtym domu to szukanie nieszczęścia.

- Pomyśl - odparł Clay. - Do tej pory dziadek, ty i ja mogliśmy tylko wierzyć, że Dina jest niewinna. Nie mieliśmy na to żadnych dowodów. Ale wczoraj tuż po rozmowie z nią zginął ten dziennikarz. Ktoś zabił go z zimną krwią. Myślę, że jej zainteresowanie śmiercią babki mogło wywołać wilka z lasu i teraz ona sama może stać się ofiarą.

- To właśnie usiłuję wbić do tej twojej tępej mózgownicy - sarknął Bob. - Musimy znaleźć mordercę, a jedyny sposób to podjąć śledztwo zarzucone przed dziesięciu laty i spróbować się dowiedzieć,

dlaczego ktoś chciał śmierci tej kobiety. Potrzebujemy motywów, nie kolejnego trupa, na miłość boską! Przede wszystkim...

- Przede wszystkim potrzebujemy trochę czasu -przerwał Clay. - Musimy działać ostrożnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Bob, pomyśl logicznie. Bez względu na to, co Dina sobie wyobraża, nie zamierzam zostawiać jej samej w tym domu. Ty i dziadek jednak mieliście dziesięć lat na wytropienie mordercy i nic wam z tego nie wyszło. Jeśli Danny Hudson dostał nożem w serce z powodu spotkania z Diną, to znaczy, że zabójca nie tylko żyje, ale nie cofnie się przed niczym. Zastawimy na niego pułapkę.

Bob nie wierzył własnym uszom. A to dopiero zimny drań, pomyślał.

- Chcesz użyć tej dziewczyny jako przynęty? -wyszeptał ze zgrozą.

- Nie podoba mi się to słowo. - Clay zaczął przeszukiwać kieszenie i wyjął w końcu pęk kluczy. Masz, to od domu Agathy Deveraux.

Bob potrząsnął głową i cofnął się o krok.

- Niech mi pan coś powie, szanowny mecenasie. Czy rozwiązanie tej sprawy ma stanowić tylko kolejne trofeum w pańskiej obiecującej karierze, czy może ma pan jakiś własny, odrębny kodeks moralny?

- Owszem, mam. I jego naczelne przykazanie brzmi, że nie wolno mi dopuścić, żeby Dina wylądowała w więzieniu albo z powrotem w sanatorium. Jak wiesz, Spencer, bardzo tam łatwo o

wypadek, nawet śmiertelny... - Przysunął twarz do rozzłoszczonego detektywa. -I pamiętaj, że nigdy jeszcze nie przegrałem sprawy:

- Ale to nie jest sala sądowa, Lambert.

- Ani dżungla w Wietnamie, a tam też wygrałem. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób?

Bob spojrzał na niego nieco zbity z tropu. Zobaczył w jego oczach nowy wyraz - dobrze mu znany wyraz bezwzględności - i pomyślał, że za przystojną twarzą i pełnym portfelem Claya Lamberta kryje się coś więcej. Wziął od niego klucze i schował do kieszeni właśnie w chwili, gdy w drzwiach pokazała się Dina. Widząc, że dźwiga ciężką walizkę, pospieszył dziewczynie z pomocą.

- Jeśli dasz mi kluczyki od samochodu, to włożę ją od razu do bagażnika.

Rzucił ponownie pełne zadumy spojrzenie na Claya i ruszył za Diną do kuchni, skąd prowadziło wewnętrzne przejście do garażu.

Przed wyjściem stanął w progu i powiedział:

- Lepiej nie igraj z losem, moje dziecko.

Dina podskoczyła jak oparzona, czując piekące poczucie winy.

- Jak to? - wyjąkała.

- Zabawa w kotka i myszkę może być niebezpieczna. Uważaj, co robisz.

Szybko zamknął drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Zasepiona tymi słowami, skierowała się z powrotem do salonu. Co Bob chciał przez to powiedzieć? Clay stał przy oknie, obserwując ulicę. Jest taki przystojny, pomyślała. Ciekawe, co go łączy z kobietą,

z którą widziała go w kancelarii. Przypomniała sobie jedną z cennych myśli doktora Greshama: jeśli czegoś nie wiesz, zapytaj. Ogarnął ją pusty śmiech i zagryzła wargi, żeby go zdusić.

Clay odwrócił się i widząc rozbawienie na jej twarzy, odpowiedział uśmiechem. Wciąż gryzły go wyrzuty sumienia z powodu pocałunku, ale nie bardzo wiedział, jak się ma tłumaczyć.

- Dina?

Jego oczy spoczęły na jej oczach, później ześliznęły się na usta i jeszcze niżej. Policzki jej zapłonęły, poczuła; lęk, zdenerwowanie, zdumienie, że jedno spojrzenie może wywołać taką reakcję.

Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony.

- Czy jesteś zakochany w tej kobiecie, z którą całowałeś się wtedy w biurze? - spytała bez ogródek.

- W Lynn? Nie, nie jestem w niej zakochany. -Z niejakim zdziwieniem Clay uświadomił sobie że to prawda.

- A więc pocałunek nic dla ciebie nie znaczy? Nie jest niczym specjalnym?

- No cóż, jest... W pewien sposób. Są różne rodzaje pocałunków. Do czego te jej pytania mają prowadzić? Zaczynał tracić grunt pod nogami.

- Rozumiem. A jaki to był rodzaj pocałunku, tam w holu?

- Posłuchaj, bardzo mi przykro. Doprawdy nie wiem, co mnie napadło.

- To znaczy, że nie chciałeś mnie pocałować?

- Nie... Tak.

- Nie było ci przyjemnie?

- Tak... Nie. - Czuł się zagubiony, zakłopotany i po raz pierwszy w życiu stremowany.

- To dlaczego mnie pocałowałaś?

- Dlatego. - Zobaczył iskiereki wesołości w jej oczach i zaczął się zastanawiać, czy sobie z niego nie podkpiwa. - Dina, czasem w mężczyźnie biorą górę jego zmysły. Byłem zły, poirytowany, a ty jesteś taka piękna.

Nic lepszego nie potrafił wymyślić, zwłaszcza że sam nie umiał sobie wytłumaczyć swoich uczuć. Jedno wszakże było pewne - w jej bliskości czuł wyraźne podniecenie. Ta dziewczyna stanowi niebezpieczną pokusę i mimo nadludzkich wysiłków wciąż traci przy niej kontrolę.

- Jesteś zbyt ponętna - szepnął, doskonale zdając sobie sprawę, że powinien zachować do niej zawodowy dystans. Ale jak to zrobić, do diabła, skoro cały czas walczył z uczuciem niebezpiecznie zbliżonym do czystego pożądania? - Gdzie ta Mary się po-dziewa? - spytał, mając nadzieję, że jej przyjście go wyzwoli.

- A więc pocałowałaś mnie - nie dawała za wygraną Dina - bo byłeś zły na tego policjanta?

Chciał już zakończyć ten temat, zanim znów zrobi coś karygodnego.

- Pocałowałem cię... bo miałem na to ochotę.

- To dlaczego mówiłaś, że ci przykro, skoro to nieprawda?

- Dina, przykro mi tylko z powodu tego, jak się zachowałem, a nie z powodu samego pocałunku. Nie powinienem był działać tak impulsywnie i... O, idzie Mary!

Nie próbował nawet ukryć nuty ulgi w głosie, podchodząc szybko do gospodyni i sprawdzając jej przebranie. Nasunął Mary chustkę głębiej na czoło, żeby jeszcze bardziej zasłonić twarz. Dina odwróciła się i kątem oka dostrzegła Boba stojącego w drzwiach kuchni. Zdała sobie sprawę, że musiał wszystko słyszeć, ale nie patrzył na nią ani na Claya, wlepiając wzrok jedynie w Mary.

Widząc, że nikt chwilowo nie zwraca na nią uwagi, Dina pogрузzyła się we własnych myślach. Serce nadal mocno jej biło, a policzki płonęły. Ale jej podniecenie sięgało głębiej i nie wiedziała, jak sobie to wytłumaczyć. Przecież chciała tylko podroczyć się z Clayem, zaleźć mu trochę za skórę, żeby go podrażnić. Ale czy na pewno? A może próbuje prowokować go do następnego pocałunku? Niezły pomysł, uznała.

Widocznie kobieca kokieteria jest rzeczą wrodzoną. Zabawa w flirt przychodziła jej tak łatwo, jakby nigdy nic innego nie robiła. Może babka miała rację i rzeczywiście jest podobna do swojej matki. Nie widziała jednak w tym nic złego, skoro niosło to z sobą takie przyjemne emocje.

- Dina? Już czas-wyrwała ją z zamyślenia Mary. - Jesteś pewna, że chcesz wcielić w życie ten plan?

- Na sto procent. Nie miej takiej zmartwionej miny, Mary. Wszystko będzie dobrze, a kiedy poczujesz się lepiej, pomożesz mi

się urządzić, I nie zapomnij przypomnieć mi, żebym zadzwoniła do Raula i poprosiła go, żeby przyjechał tu po moje rzeczy i odwiózł je pod nowy adres.

Złapała się na tym, że papele jak idiotka i zagryzła wargi. Clay i Mary wyszli frontowymi drzwiami, wzbudzając poruszenie wśród otaczających dom dziennikarzy, którzy, czując zapach krwi, zaczęli się szykować do ataku. Jednak jeszcze zanim zdążyli po-wysiadać z aut, ich ofiary siedziały już w kabriolecie, który z piskiem opon wystrzelił do przodu. Dina obserwowała przez szparę w zasłonie, jak w pościg za niknącym w oddali czerwonym punktem rusza pięć samochodów, zostawiając za sobą pustą i cichą ulicę.

- Teraz my? - spytała Boba.

- Dajmy im trochę czasu, żeby zdążyli odjechać. Tylko parę minut. Dziennikarze nie są głupi. Wkrótce zorientują się, że nie dogonią Claya, który chce wywieść ich w pole. Wrócą tu znów obstawić dom. Chodźmy - kiwnął na Dinę, idąc do kuchni. - Umiesz prowadzić?

- Tak. To znaczy, właściwie umiem, ale nie mam prawa jazdy.

Zamknęła drzwi wejściowe na klucz i pospieszyła za Bobem, który szybko i sprawnie wyprowadził samochód i zasunął bramę garażu. Kiedy byli już w drodze, powiedział:

- Trudno ci będzie poruszać się po mieście bez auta. Chcesz, żebym ci pomógł coś wybrać?

Jaki on miły, pomyślała.

- Dzięki, ale już wybrałam. Chcę mieć taki samochód jak Clay, ale najpierw muszę zdobyć prawo jazdy.

- O to się nie martw. Mam znajomości w wydziale komunikacji. Załatwię ci to na jutro.

- To znaczy, że nie będę musiała zdawać egzaminu? Jak to możliwe?

- Powiedziałem ci: mam tam przyjaciół.

- No tak, ale sama nie wiem.

Bob westchnął, wjeżdżając na autostradę.

- Jeśli mówisz, że umiesz prowadzić, to ci wierzę. Nie spiesz się tak z tą niezależnością. Pozwól mi coś dla siebie zrobić.

Uderzona zmianą w jego głosie i prośącym tonem, Dina odwróciła się w siedzeniu i spojrzała na detektywa.

- Dlaczego? Dlaczego chcesz coś dla mnie zrobić?

Ręce Boba zacisnęły się na kierownicy. Odchrząknął głośno, a potem powiedział tak cicho, że nie dosłyszała:

- Mam poczucie winy.

- Co?

- Z powodu poczucia winy. Natknęłaś się wczoraj w bibliotece na artykuł, który mówił, że byłaś pod wpływem narkotyków, kiedy znaleźli twoją babkę?

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Do dziś nie mógł sobie wybaczyć swojego postępowania. Tylko stary Lambert wiedział, jakie wyrzuty sumienia gnębiły go przez te lata. Wstydział się tego, co zrobił

i był gotów na wszystko, żeby naprawić swój błąd. Błąd, który mógł wiele zmienić, gdyby prawda wyszła na jaw w odpowiednim czasie.

- Masz na myśli artykuł, który darł szaty i rozwodził się nad zdeprawowaną młodzieżą lat sześćdziesiątych? Ten, w którym twierdzono, że byłam na haju i wskazywano na halucynogeny jako przyczynę mojego odlotu i zamordowania babki? O tym mówisz?

- No właśnie.

Nie pojmowała, o co mu chodzi. Jak na mężczyznę, który zwykle nie miał kłopotów z wysłowieniem się, teraz nagle jakby zabrakło mu słów.

- Co: no właśnie?

- Nie byłeś naćpana, jak przedstawiała to prasa. Wiedziałem o tym, tak samo jak wiedział kolega prowadzący ze mną śledztwo i nasze ówczesne władze. Analizy wykazały, że byłeś na antybiotykach, aspirynie i lekach antyhistaminowych, więc domyśliliśmy się, że miałeś gripę. Ale w twojej krwi znaleziono jeszcze jeden lek, darvon, i to sporą dawkę. W apteczce twojej babki leżała na niego recepta. Najpewniej kombinacja wszystkich tych lekarstw cię zamroczyła. A potem, po śmierci babki, popadłeś w stan katatonii i niczego już nie mogliśmy się od ciebie dowiedzieć.

Przypomniała sobie teraz ten dzień z całą wyrazistością. Pamiętała złość babki, że się rozchorowała i że musi zostać w domu.

- Wyniki badań krwi bardzo długo nie nadchodziły, więc pewnego dnia udałem się sam do laboratorium, gdzie się okazało, że

mój kolega już je wziął. Kiedy go o to spytałem, powiedział, że zrobił to na polecenie szefa i oddał mu je do rąk własnych, ale zerknął na nie i nie znalazł żadnego potwierdzenia choćby śladu narkotyków w twoim organizmie. Analizy wykazywały jedynie obecność tych lekarstw, o których już wiedzieliśmy.

- Więc dlaczego ten fakt nie trafił do sądu ani do gazet?

- Sam chciałem to wiedzieć. Nie podobał mi się sposób, w jaki załatwiono sprawę tych analiz. Ciągłe mnie to gnębiło, ale mieliśmy dużo roboty i nie zajmowałem się już tym bliżej aż do rozprawy. Kiedy nie padła na niej żadna wzmianka na twoją korzyść, poszedłem do prokuratora okręgowego i powiedziałem mu, co i jak. Dwie godziny później wezwano mnie do mojego szefa. Rozmowa była krótka, ale treściwa. Mam trzymać buzię na kłódkę albo znajdę się na bruku. - Bob przygarbił się pod ciężarem winy. - Byłem wściekły jak wszyscy diabli, ale wynik rozprawy był już wtedy i tak przesądzony.

Dina wysłuchała go, a kiedy zamilkł, powiedziała:

- Bob, z tego, co wiem na temat procesu, ta informacja pewno nie miałyby żadnego znaczenia.

- Może, ale i tak zawsze czułem się winny, że nie podjąłem żadnych kroków. Byłem w policji od dość dawna, żeby się postawić i wywołać rozróbę. I nieraz to robiłem, ale w twojej sprawie było coś dziwnego. - Nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć, ale postanowił spróbować. - Widziałaś kiedyś toczący się ze wzgórza głaz?

Widziałaś, jak nabiera rozpędu i niweczy każdą przeszkodę? Tak było

właśnie ze sprawą Deveraux. Stojąca za nią polityczna machina rozbijała w pył wszystko, co stawało jej na drodze.

- Więc siedziałeś cicho i utrzymałeś posadę? Bob skrzywił się gorzko. Nie owijała słów w bawełnę.

- Można to tak ująć. Ale nigdy cię nie zapomniałem i kiedy stary Lambert skontaktował się ze mną dwa lata temu, postanowiłem mu pomóc.

- Pamiętasz, jak przyjeżdżałeś do mnie do sanatorium? Już wtedy uważałeś, że jestem niewinna, prawda?

- Tak. - Skupił się na prowadzeniu samochodu po wąskich, bocznych uliczkach. Dopiero po chwili znów się odezwał: - Ale nie mogłem tego udowodnić. Może nigdy nie będę mógł. Musisz być na to przygotowana.

Zatrzymał się na podjeździe przed domem jej babki i zgasił silnik, ale żadne z nich się nie ruszyło. Dina uśmiechnęła się łagodnie i wybacząco.

- Myślę, że tym razem tobie i Clayowi się uda.

Rozejrzała się wokół i wstrzymała oddech. Sięgnęła po omacku do klamki i nie zważając na ostrzegawczy pomruk Boba, wybiegła z samochodu. Zatrzymała się dopiero na trawniku przed domem. To zdumiewające, pomyślała. Przez tyle lat nic się tu nie zmieniło. Może tylko drzewa i krzaki trochę się rozrosły, ale poza tym wszystko wyglądało tak samo. Dom zdumiewająco dobrze zniósł upływ czasu. Zaraz jednak przypomniała sobie, że to zasługa pana Lamberta, który tak zapobiegliwie o niego dbał.

Powiodła wzrokiem po rzędzie wysokich okien, szukając swojego pokoju. Spodziewała się ujrzeć akwarelę z indykiem przyklepioną do wewnętrznej szyby, ale to przecież było w listopadzie dziesięć lat temu.

Wolno weszła po kamiennych stopniach na werandę, odwróciła się i spojrzała na ulicę. O ile dobrze pamiętała, sklep babki znajdował się kilka przecznic dalej, w kierunku centrum, sama willa zaś stała w starej, eleganckiej dzielnicy, która też niewiele się zmieniła. Dinie ciarki przeszły po grzbiecie na straszną myśl, że zaraz usłyszy rozzłoszczony głos Agathy Fleur Deveraux, wzywający ją do domu.

Otrząsnęła się z przykrych wspomnień i odwróciła do drzwi, Omal nie wydając głośnego okrzyku. Były pomalowane na cynobrowy kolor. Uśmiechnęła się smutno. Pan Lambert dopilnował wszystkiego. Upierając się przy tym odcieniu farby, odniosła pierwsze zwycięstwo nad babką. Omawiały kwestię koloru drzwi przez całe godziny, aż w końcu Agatha się poddała, ale tylko pod warunkiem, że Dina sama je oskrobie i pomaluje.

Teraz zrozumiała, że to nie było żadne zwycięstwo. Po prostu babka chciała, żeby to ona zrobiła całą robotę. Była twardą, bezwzględną i skąpą kobietą, która zawsze stawiała na swoim i biada temu, kto się jej sprzeciwiał.

- Dobrze się czujesz?

Zapomniała o Bobie i już chciała opowiedzieć mu swoje wspomnienia, kiedy sobie przypomniała, że przecież ma nic nie pamiętać.

- Dobrze. Bądź tak dobry i daj mi klucze. -Uśmiechnęła się na widok jego zatroskanej miny. -Naprawdę wszystko w porządku.

Ale nie była tego pewna. Przez głowę przelatywały jej rozmaite obrazki, jakby oglądała album rodzinny. Włożyła klucz do zamka. Jeśli tak będzie dalej, to wyleci z domu, głośno krzycząc.

Pierwszą rzeczą, jaka powitała ją w progu, była zatykająca dech fala gorącego powietrza. Poczowała się, jakby otworzyła drzwiczki piekarnika. W środku było ciemno i duszno. Dina sięgnęła do kontaktu, ale światło się nie zapaliło.

Bob zaklął pod nosem.

- Elektryczność jest przecież wyłączona. Poczekaj tu chwilę.

Stała w mroku, słuchając, jak Bob ostrożnie rusza się po domu. Dźwięk jego kroków cofnął ją w pamięci do tamtego feralnego dnia. Skuliła się i zagryzła wargi, żeby powstrzymać cisnący się na usta krzyk. Ciemność. Zawsze nienawidziła ciemności. Strach chwycił ją za gardło i poczuła, że się dusi. Już miała się odwrócić na pięcie i wybiec na dwór, kiedy wewnątrz zaczęło się rozjaśniać.

Bob chodził od okna do okna, rozsuwając zasłony. Jej oczom ukazały się schody z podestem na półpiętrze, zamknięte drzwi do salonu naprzeciwko i wejście do jadalni po lewej stronie. W holu robiło się coraz jaśniej i powoli, z wahaniem zaczęła iść przed siebie jak ćma przyciągana światłem. Dojrzała róg szafki kuchennej i przystanąła. Na górze dały się słyszeć głuche kroki - podniosła głowę, wodząc oczami za nimi: od jej sypialni do pokoju babki, potem poprzez dwie łazienki na korytarz wiodący do szczytu schodów.

Wiedziała, że to Bob, ale zastygła w miejscu, dopóki nie pokazał się na schodach. Wypuściła wolno powietrze i uśmiechnęła się.

- No, teraz już coś niecoś widać - powiedział. - Obie sypialnie na górze są umeblowane, tak samo pokój śniadaniowy, jadalnia i gabinet na tyłach. Ale nie możesz tu zostać, dopóki nie będzie światła.

- Ile zajmie załatwienie tej sprawy? Widziała, że ją obserwuje, bada jej reakcje.

- Normalnie to trwa parę dni, w najlepszym razie dzień. Ale mogę się tym zająć natychmiast, jeśli chcesz.

- Jak to?

- Mogę zerwać plombę z licznika. To dla mnie nie pierwszozna.

- Czy to legalne?

- Nie, ale znam kogoś, kto to zatuszuje. Problem w tym, że muszę go uprzedzić, zanim zacznę majstrować przy liczniku. - Nie mógł dłużej wytrzymać. Musi zadać jej pytanie, które chodzi mu po głowie, odkąd Clay wystąpił ze swoim głupim pomysłem, żeby ją tu przywieźć. Wskazał ruchem głowy zamknięte drzwi. - Chcesz tam wejść?

Testuje mnie, pomyślała, przysięgając sobie wejść do salonu tak spokojnie, jakby go w życiu nie widziała. Ciężkie, kasetonowe drzwi początkowo stawiały jej opór, ale później ustąpiły. Serce podskoczyło jej do gardła i poczuła pulsowanie w skroniach. Na moment się zawahała i zamknęła oczy. Może wcale nie jest taka silna i dzielna, jak sobie wyobraża. Nie czekając, aż odwaga całkiem ją opuści, pchnęła drzwi na całą szerokość i otworzyła oczy.

Ciemność. Zaduch. Ani śladu mdlącego zapachu krwi czy choćby woni gardenii. Perfumy, których używała jej babka, już wywietrzały.

Bob dotknął ramienia Diny. Odsunęła się, przepuszczając go do środka. Kiedy rozsunał zasłony i słońce wpadło do pokoju, rozejrzała się wokół, zdając sobie sprawę, że Bob nie spuszcza z niej oczu. Gdyby wiedział, że większość życia spędziła, usiłując ukryć swoje prawdziwe uczucia, dałby sobie spokój. Teraz jednak najbardziej zdumiało ją to, że rzeczywiście nie czuje nic prócz gniewu.

Pokój był pusty. Na drewnianej podłodze nie było plamy w miejscu, gdzie krew musiała przesiąknąć przez dywan.

- Ze sposobu, w jaki mnie obserwujesz, domyślam się, że tu właśnie zginęła moja babka? - zwróciła się do Boba.

- Tak. Przepraszam cię, stare nawyki trudno wykorzenić.

Dziesięć lat nie zamazało mu w pamięci obrazu zbrodni, jaki tu zastał. Widział wszystkie szczegóły tak wyraźnie, jakby cofnął się w czasie. Ten pokój działał na niego deprymująco, a obecność Diny jeszcze to potęgowała. Chwycił ją za rękę i wyciągnął do holu, zamykając ciężkie, podwójne drzwi salonu.

- Chodźmy tu niedaleko jest sklep. Muszę stamtąd zadzwonić do tego mojego znajomego.

- Ja tu zostanę.

- Nie ma mowy. Obiecałem Clayowi.

- Na miłość boską, nie potrzebuję niańki! Jestem już dorosła.

Mam zamiar tu mieszkać. I to sama.

Co się, do diabła, dzieje z Clayem? Dlaczego jeszcze go tu nie ma? - irytował się w duchu Bob. Widząc, że nic nie wskóra, podał jej klucz i kazał się zamknąć od środka. Pewno Clay lada moment się zjawi.

- Wrócę za jakieś dwadzieścia minut.

Kiedy wyszedł, Dina pomyślała, że wreszcie ma, czego chciała: jest u siebie w domu, i to sama. Ale jej brawura szybko wyparowała pod wpływem otaczającej ją głuchoj ciszy. Przypomniała sobie chłodny spokój ogrodu za domem i ruszyła tam niemal biegiem. Co za idiotka, skarciła się i zwolniła krok, a nawet przystanęła przy jednym z mebli babki, żeby go bliżej obejrzeć.

Ogród powitał ją jaskrawym słońcem i całą gamą kolorów. Ostatni lokator musiał być zamiłowanym ogrodnikiem, gdyż widać tu było jego pieczołowitą rękę. Dąb rozrósł się do takich rozmiarów, że rzucał cień na połowę trawnika. Biała ławka z kutego żelaza oplatała misternym półkolem jego potężny pień. Wszędzie kwitły kwiaty i pysznił się starannie przystrzyżony bukszpan. Na tyłach, wzdłuż płotu, niemal dorównując mu wysokością, stały szpalerem ukochane przez babkę krzaki gardenii, gdzieniegdzie obsypane pierwszymi kwiatami. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć je w pełnym rozkwicie.

Zawsze lubiła pracę w ogrodzie, grzebanie w ziemi, sadzenie kwiatów, obserwowanie, jak rosną. Zaczęła w myślach planować, co i gdzie zasadzi, jakie wprowadzi zmiany, gdy nagle coś ją zaniepokoiło. Zamarła, czując znajomy dreszcz przechodzący jej po plecach, lecz

nie dostrzegła, wokół żadnego ruchu. Przez sekundę pomyślała, że może Bob wrócił, ale wiedziała, że gdyby nie zastał jej w domu, zaszedłby od tyłu do ogrodu.

Zaczęła nadśłuchiwać, próbując dociec, co ją przestraszyło. Usłyszała jakby zduszony trzask gałązki pod czymś ciężkim butem, później - czyżby jej się zdawało? - cofające się ostrożnie kroki. Znow dobiegł ją jakiś dźwięk, ale nie bardzo wiedziała skąd.

Przypomniała sobie, że to stara dzielnica i jedna z nielicznych w Houston, która ma boczne alejki. Niewiele myśląc, rzuciła się do tylnej furtki. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała. Furtka zachowała się jak dziesięć lat temu: dolny róg ugrzązł w ziemi. Zanim Dina przypomniała sobie, że należy ją unieść i mocno popchnąć, straciła cenne sekundy na szamotanie się z nią, aż wreszcie wyważyła ją ramieniem i z rozpędu wystrzeliła jak pocisk na zewnątrz. Zatrzymała się, ciężko dysząc, i rozejrzała na obie strony. Na samym końcu, niedaleko ulicy, stał zaparkowany samochód.

Osloniła oczy ręką, starając się dojrzeć kto siedzi w środku, ale słońce świeciło prosto na przednią szybę, odbijając się oślepiającym blaskiem. Zaczęła iść w kierunku pojazdu, lecz nagle stanęła w pół kroku, widząc, że samochód się cofa. Kiedy ona stanęła, samochód też stanął. Znow ruszyła przed siebie, choć zrobiło jej się zimno ze strachu mimo upalnego słońca. Samochód znow zaczął się cofać.

Bawi się ze mną w kotka i myszkę, pomyślała z wściekłością i tym razem nie zatrzymała się, tylko przyspieszyła kroku. Samochód

zwiększył prędkość, wyjechał tyłem na ulicę, zrobił szybki zwrot i z piskiem opon zniknął jej z oczu.

Stała jak wryta przez dłuższą chwilę, a potem na drżących nogach zaczęła wracać do domu. Właściwie powinna być śmiertelnie przerażona, ale - o dziwo - nie czuła strachu. Była wściekła i zarazem podniecona. Odkąd wróciła jej pamięć i poznała prawdę o śmierci babki, wiedziała, że morderca schował się za jej plecami. Teraz, kiedy odzyskała wolność, to on musiał żyć w strachu, że jego ofiara sobie wszystko przypomni.

Kiedy samochód wycofał się z alejki i skręcił, zmienił się kąt padania promieni słonecznych i dojrzała wyraźnie twarz kierowcy. Głęboko wstrząśnięta uświadomiła' sobie, że widziała go już przedtem, i to dwa razy. A nawet go narysowała.

Był to jeden z mężczyzn z biblioteki, ten starszy i łysawy. Boże drogi, przecież to właśnie na niego wpadła przed budynkiem! Wiedziała, jak wygląda, ale nie miała pojęcia, kim jest. W każdym razie jedno było pewne. Nie miała żadnych zwidów.

Śledzono ją.

Ktoś towarzyszy jej jak cień.

Dina zatrzymała się nagle w połowie alejki i ze złości na własną głupotę chciała kopnąć pustą puszkę, ale chybiła. Powinna była zwrócić uwagę na numer rejestracyjny albo przynajmniej na markę i model samochodu, a tymczasem zapamiętała tylko, że był duży i zielony. Cudownie.

Znów zamierzyła się nogą na puszkę i z satysfakcją patrzyła, jak toczy się w podskokach na pobocze. Wróciła do ogrodu, zasunęła za sobą starannie furtkę i zamknęła ją na kłódkę. Ręce jej drżały. Może wcale nie jest taka mądra ani taka odważna, jak próbowała to sobie wmówić. Oszukiwała się sądząc, że potrafi sama dojść do tego, kto zabił jej babkę.

Wyobrażała sobie efekt, jaki wywoła, własnoręcznie doprowadzając mordercę przed oblicze sprawiedliwości i objawiając światu prawdę. Dziecinne mrzonki!

Naczytała się zbyt dużo powieści sensacyjnych i myślała, że skoro potrafi wcześniej od innych wskazać winowajcę, to rozwikła i własną zagadkę kryminalną.

Nawet po śmierci Danny'ego Hudsona nie w pełni zdała sobie sprawę, na co się porywa. Uświadomił jej to dopiero incydent w alejce. Było coś złowrogiego w tym, jak samochód powtarzał jej ruchy. Strach, prawdziwy strach przyniósł jej otrzeźwienie.

Jest zwykłą idiotką.

Po raz pierwszy, odkąd odzyskała pamięć, uświadomiła sobie, że potrzebuje pomocy, a jedyni ludzie, którym może ufać, to Mary i Clay. Oczywiście Mary będzie urażona, że nie zwierzyła się wcześniej, ale jej wybaczy.

Clay.

Przystanęła na chwilę, marszcząc brwi. Jest despotyczny, władczy i jeszcze nie do końca jej pewny, ale czuła, że może mu zaufać.

Wchodziła już do domu, kiedy usłyszała głośnie pukanie do drzwi wejściowych. Serce zaczęło jej walić jak młotem, lecz w tej samej chwili dobiegł ją znajomy, męski głos i z uśmiechem pospieszyła otworzyć. Tymczasem odezwał się drugi głos i na werandzie rozgorzała głośnie kłótnia. Dina szybko otworzyła drzwi.

- Co wy wyprawiacie? - Clay i Bob zamilkli. - Tylko tego brakowało, żeby sąsiedzi wezwali policję. - Spojrzała ze złością na Claya. - Co zrobiłeś z Mary?

- Zaraz ci powiem, ale najpierw ty mi wyjaśnij, co robisz tu całkiem sama. - Tym razem Clay spojrzał ze złością na Boba. - Nie potrafię w żaden sposób zrozumieć, jak mogłeś wyjść i zostawić ją samą jak palec.

Znów mówił tym swoim aroganckim tonem, jednak Dina chciała się przede wszystkim dowiedzieć, co się stało z jej przyjaciółką. Pociągnęła go za rękaw.

- Przestań się złościć i powiedz, gdzie jest Mary.

Ale obaj mężczyźni zachowywali się, jakby ogłuchli. Bob odsunął Claya i wszedł do środka, wymachując rękami.

- Rozejrzyj no się tutaj, Lambert. Twój wspaniały plan pozostawia wiele do życzenia. Brak elektryczności oznacza brak światła i klimatyzacji. Woda i gaz też są wyłączone. Miałem tak tu Dinę zostawić? I powiedz wreszcie tej małej, gdzie podziewa się Mary.

Małej? Słyszając to określenie zjeżyła się jak kotka, ale mogła sobie darować protesty, bo mężczyźni nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

- Mary jest w szpitalu - powiedział Clay i szybko dodał, uprzedzając dalsze pytania: - Dostała ataku kaszlu w samochodzie. Nie podobało mi się to, ale kiedy zaproponowałem, że wezmę ją do lekarza, zaprotestowała. Ponieważ byliśmy już na autostradzie, zawiozłem ją prosto na ostry dyżur do najbliższej lecznicy.

Dina uśmiechnęła się. Wiele by dała za to, żeby zobaczyć twarz przyjaciółki, kiedy Clay wbrew jej woli przywiózł ją do szpitala.

- Zrobiono jej prześwietlenie, stwierdzono zapalenie płuc i zatrzymano w łóżku. - Clay podniósł uspokajająco rękę, uciszając mówiących naraz Dinę i Boba. - Nie, nie można jej dzisiaj odwiedzać. Dostała antybiotyki oraz tlen i kazali jej leżeć. Tak, jutro. Tak, wszystko będzie dobrze. Musi tylko się wykurować.

Dina odetchnęła z nieopisaną ulgą.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez Mary. Była moją ostoją przez wszystkie te lata. Dzięki.

Dotknęła ramienia Claya w geście wdzięczności i była zdumiona, kiedy się odsunął. Coś jest nie w porządku. Zwykle miał dla niej pełen otuchy uśmiech, lecz teraz jego twarz była poważna, a nawet ponura.

Z każdą chwilą coraz bardziej się od niej oddalał, wytwarzał między nimi dystans ziejący jak przepaść. Ileż razy przedtem czuła, że na nią patrzy, kiedy sądził, że ona tego nie widzi? Teraz starannie omijał ją wzrokiem. Czyżby jej się zdawało, że głos mu miękł, gdy się do niej zwracał? Teraz mówił oficjalnym, bezosobowym tonem, jakby przemawiał w sądzie. To przez ten przekłety pocałunek, pomyślała. Czuł się winny, a jej droczenie się z nim tylko dołało oliwy do ognia.

- Masz może w samochodzie śrubokręt, Lambert? - spytał Bob.

- Nie, a po co ci śrubokręt?

- Żeby zdjąć plombę z licznika.

Dina znów westchnęła. Czy mają zamiar stać tak i mierzyć się wściekłym wzrokiem bez końca?

- Mary ma skrzynkę z narzędziami w bagażniku -podsunęła.

- Świetnie. - Bob ruszył do wyjścia. - Może i ty byś zrobił coś pożytecznego, na przykład zajął się wodą lub gazem, co, Lambert? - rzucił na odchodnym.

W napiętej ciszy obserwowali, jak zbiega po stopniach werandy. Dina chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Dystans, jaki Clay między nimi stworzył, wydał się jej nagle nie do przebycia.

Poczuła łyzy dławiące ją w gardle. Co się ze mną dzieje? - zadała sobie pytanie. Zachowywała się, jakby ją zranił, a przecież nigdy nie dopuściła do siebie nikogo na tyle blisko, aby mógł to zrobić.

- On ma rację - odezwał się Clay. - Nie możesz tu zostać.

Znowu przypomniała sobie stare powiedzonko doktora Greshama: Jeśli chcesz coś wiedzieć, zapytaj.

- O co tu chodzi, Clay?

Oparł się o framugę drzwi, patrząc na Boba otwierającego bagażnik.

- Po prostu mój pomysł był głupi. Nie pomyślałem o tym, jak dasz sobie radę ani jak pobyt tu wpłynie na ciebie.

- Nie to miałam na myśli i dobrze o tym wiesz. Twój pomysł był doskonały. Zamieszkanie tu to dla mnie coś w rodzaju kotwicy, Clay.

Już miała mu się przyznać, że odzyskała pamięć i opowiedzieć o mężczyźnie w alejce, ale jego następne słowa zupełnie ją zmroziły;

- Nie jesteś w stanie sama zapewnić sobie opieki. Patrzyła na niego, nie wierząc własnym uszom.

Poczuła kłujący ból w piersiach i pieczenie w oczach. Dokładnie to samo powtarzał jej zawsze doktor Gresham, dodając, że dopóki nie stawi odważnie czoła temu, co zrobiła, nigdy nie wyzdrowieje.

Wyglądało na to, że nikt nigdy jej nie zaufa i nie będzie do końca przekonany o jej niewinności. Ale niech sobie myślą, co im się żywnie podoba, a ona i tak się stąd nie ruszy. Nie jest żadnym zastrachanym kobieciątkiem.

A więc Clay jest taki sam jak wszyscy, pomyślała ze smutkiem. Po prostu trochę dłużej to ukrywał. Cóż, to znaczy, że i jemu nie może zaufać.

- Co powiedziałeś? - spytała głosem zduszonym z bólu i wściekłości.

Clay dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak musiały zabrzmieć jego słowa, ale nie miał zamiaru ich cofać ani przeproszać. Mary właśnie zarzuciła mu, że jest znudzony życiem i bawi się w męskodamskie gierki z Diną, która zupełnie nie jest do tego przygotowana. Zażądała, żeby ograniczył się do spraw służbowych i zostawił Dinę w spokoju,

Musiał przyznać, że jej oskarżenia nie całkiem mijają się z prawdą. Rzeczywiście, w swoim czasie był lekkoduchem i nie brał życia na serio. Nigdy nie brakowało mu pieniędzy ani kobiet. Nawet studia poszły mu jak po maśle i bez specjalnego wysiłku skończył je z doskonałym wynikiem. Był prawdziwym hedonistą, beztroskim i żądnym uciech. Ale wojna go zmieniła i stał się innym człowiekiem. Poza tym Mary myliła się w jednym; naprawdę zależało mu na Dinie.

Zerknął na nią ukradkiem i dostrzegł gniewne iskierki w jej oczach, pozostające w sprzeczności z układnym uśmiechem.

- Wezmę cię do domu mojej siostry. Zostaniesz u niej, dopóki Mary nie wróci ze szpitala.

Z ulgą zobaczył, że Bob już zmierza do domu. Oczy Diny zwężyły się, a uśmiech poszerzył.

- Ile mam lat, Clay?

- Coś około dwudziestu trzech powiedział niedbale, jakby nie miało to żadnego znaczenia. Ruszył na spotkanie Boba, lecz jej następne pytanie zatrzymało go w pół kroku.

- To chyba znaczy, że jestem już od pewnego czasu pełnoletnia?

- Owszem. Ale co to ma do rzeczy?

- Zaraz ci wyjaśnię - wycedziła przez zęby.

Bob przystanął na pierwszym stopniu, czując napięcie w powietrzu, które aż się iskrzyło od elektryczności.

- Mając dwadzieścia trzy lata mogę decydować sama o sobie. Mogę robić, co zechcę, a chcę zostać tutaj. A pan, panie Lambert, jako mój prawnik jest proszony o załatwienie następujących spraw. — Dopiero teraz w pełni odczuła, że wolność oznacza niezależność. - Po pierwsze, chcę dostać moje pieniądze, i to jak najszybciej. Jeszcze dzisiaj. Jeśli trzeba w tym celu jechać do banku, to jedźmy.

Patrzył na Dianę, jakby widział ją po raz pierwszy, jakby nagle wyrosły jej rogi i ogon. A potem się uśmiechnął; Ten uśmiech jeszcze bardziej ją rozsierdził.

- Po drugie, nie mam zamiaru być od nikogo zależna. Chcę mieć własny samochód. A po trzecie... po trzecie... zaraz coś wymyślę.

Clay nie potrafił się powstrzymać i wybuchnął śmiechem, Była cudowna, kiedy się złościła, Mary ciągle widziała w niej bezradną, trzynastoletnią dziewczynkę, ale pod tym względem się myliła. Jej podopieczna nie była zagubionym, okaleczonym emocjonalnie dzieckiem, które nie potrafi sobie poradzić. Może brak jej doświadczenia w pewnych sprawach, ale potrafi nie gorzej od innych

stawić czoło światu. Dina Deveraux wie, czego chce i jak to osiągnąć. Od większości kobiet różni się jedynie tym, że jest bardziej bezpośrednia i szczerza.

Przeniknęło go uczucie radości i poczuł nieprzewartą chęć, żeby ją uściskać, ale odwróciła się od niego i zrozumiał, że ją zranił. Chciał coś powiedzieć, lecz Dina nie dała mu dojść do słowa, podchodząc do drzwi i zwracając się do Boba:

- Skoro masz przyjaciół w tylu różnych miejscach, mógłbyś coś jeszcze dla mnie zrobić? Mógłbyś włączyć wodę i gaz?

Uznała, że jej poczucie niezależności nie ucierpi od jednej prośby o pomoc. Poza tym irytowało ją tylko zakładanie z góry, że nie da sobie z niczym rady. Rzuciła pełne złości spojrzenie w kierunku Claya.

- Z chęcią się tym zajmę. - Bob okręcił na palcu kluczyki od samochodu. - Będę musiał wziąć auto twojej przyjaciółki.

- Mary nie miałyby nic przeciwko temu. A może odwiedziłbyś ją przy okazji... i zwrócił kluczyki? Powiedz, że jesteś rodziną, gdyby nie chcieli cię wpuścić.

Przygryzła wargi, widząc, jak jego surowa twarz roztapia się w nieśmiałym uśmiechu.

- Dobry pomysł - mruknął i pośpieszył z powrotem do samochodu.

Słyszając, że Dina za nim biegnie, przystanął.

- Bob, gdybyś był na moim miejscu i chciał porozmawiać z kimś, komu naprawdę można zaufać, to do kogo byś się zwrócił?

- Masz na myśli kogoś oprócz mnie i Claya?

- Tak. Przepraszam cię, ale...

- Nie jesteś nas pewna, prawda? - Otworzył bagażnik i wyjął jej walizkę.

- Myślałam, że jestem, ale teraz nie wiem. Nie przejął się zbyt tą odpowiedzią.

- Niech no pomyślę... Gdybym był tobą i szukał kogoś o nieskazitelnej uczciwości i opinii, wybrałbym sędziego Harrisona. Stary Lambert ufał mu bez zastrzeżeń.

- Dzięki, Bob.

Chwyliła walizkę oboma rękami i ruszyła w stronę domu.

- Nie bądź zbyt surowa dla Claya, Dino.

- Dlaczego?

- Bo jest trochę zagubiony i jeszcze o tym nie wie. Widział, że dziewczyna nie ma pojęcia, o czym on mówi. Wzruszył z rezygnacją ramionami, otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. Jest niegłupia, prędzej czy później się domyśli. A jeśli chodzi o Claya, to już on będzie mieć na niego oko.

Letnie słońce było nisko na niebie i światło zaczynało przygasać. Nagły powiew wiatru podniósł zeschnięte liście z ulicy, puszczając je w taneczny wir. Dina stanęła na podjeździe przed domem, obejmując pieścotliwie kierownicę nowiutkiej, czerwonej corvetty.

Rozmyślnie zignorowała inny czerwony kabriolet zaparkowany na ulicy i udała, że nie widzi siedzącego na stopniach werandy mężczyzny, który patrzył na nią bez słowa. Zamknęła oczy i

wciągnęła głęboko powietrze, rozkoszując się zapachem skórzanych obić.

Na chwilę zapomniała o wszystkim i stała się po prostu panną Deveraux, bogatą, szanowaną i rozpieszczaną. Pieniądze czynią cuda, jak szybko się przekonała, kiedy Clay przedstawił ją wiceprezesowi banku, który długo i szeroko rozwodził się nad wysokością odsetek, stopą procentową i inwestycyjną, aż w końcu znudzona poprosiła go, aby podał jej po prostu sumę, jaką ma na koncie.

Kiedy otrząsnęła się z wrażenia, Clay pospieszył ją zapewnić, że to tylko mniej więcej jedna czwarta tego, co posiada. Jego dziadek mądrze inwestował powierzone mu fundusze i znacznie powiększył jej majątek.

Dina omal nie przyprawiła bankiera o atak serca, zlecając, aby połowę jej pieniędzy przeniósł z rachunku długoterminowego na bieżący. Grzecznie wysłuchiwała jego protestów i prośb o rozsądek, po czym ucięła dalsze dywagacje, mówiąc, że jeśli mu to sprawia trudność, może przenieść swe zasoby do innego banku.

Uśmiechnęła się i pogładziła miękkie, skórzane siedzenie. Ciepły powiew wiatru zaigrał w jej rozwichrzonych jazdą włosach i musnął rozgrzane słońcem policzki. Kupowanie samochodu stanowiło prawdziwą frajdę. Z satysfakcją przypomniawszy sobie minę sprzedawcy i zaraz pomyślała, jaką minę musiał mieć Clay, kiedy zorientował się, że rozmyślnie mu uciekła.

Dobrych parę razy zgubiła drogę, zanim w końcu trafiła pod gmach sądu. Miała szczęście, że jadąc bez prawa jazdy nie wpadła w

ręce policji; nie była pewna, czy zdołałaby się wyłgać jakąś wymyśloną bajeczką.

Po półtorej godzinie opuściła kancelarię sędziego Harrisona, czując ulgę i spokój. Bob miał rację. Od pierwszej chwili wiedziała, że sędzia jest człowiekiem, któremu można zaufać. Uczciwość po prostu patrzyła mu z oczu. I chociaż Dina zżymała się, że musi wykonać jego polecenie, za nic w świecie nie chciałaby go zawieść.

Zerknęła w stronę Claya i westchnęła. Osądziła go z góry, nie dając mu szansy obrony - a przecież sama tak często doświadczała podobnego traktowania.

Clay czekał przed domem od ponad dwóch godzin. Wysiadł z rozgrzanego samochodu i usadowił się na ocienionej werandzie. Starał się nie myśleć o dzisiejszym popołudniu i zepchnąć w podświadomość ambarasującą prawdę, że ilekroć spojrzał na Dinę, miał ochotę jej dotknąć. Czuł się wycieńczony huśtawką nastrojów, która niosła go od zmartwienia i niepokoju, poprzez gniew i złość do rozbawienia i wzruszenia.

Po pierwszych próbach instruowania Diny zdał sobie sprawę, że doskonale radzi sobie sama, więc usunął się w cień, obserwując bieg wydarzeń. Gdyby chciała zrobić coś naprawdę głupiego, to by ją powstrzymał albo przynajmniej protestował, ale Dina po raz kolejny pokazała mu, że nie jest idiotką. Za jej uprzejmością, niewinnym uśmiechem i cichym głosem kryła się żelazna wola.

Po załatwieniu sprawy w banku wziął ją do tego samego salonu samochodowego, w którym kupił swój kabriolet. Zanim wysiadła,

próbował ją wprowadzić w skomplikowaną materię negocjacji z dealerem. Mógł to sobie darować.

Weszła do magazynu, wybrała model i kolor, spytała o cenę i wyjęła książeczkę czekową. Na chwilę zastygła z piórem w powietrzu. Clay oniemiały patrzył, jak z tym swoim słodkim uśmiechem oznajmia usłużnemu sprzedawcy, że jej przyjaciel-tu wskazała na niego - kazał jej odjąć od ceny tysiąc dolarów. Zanim sprzedawca zdążył zaprotestować; wpisała szybko sumę i podała mu czek.

Transakcja została zawarta. Dina zapłaciła dokładnie o pięćset pięćdziesiąt dolarów mniej niż on, chociaż swojego czasu spędził trzy godziny na targowaniu się z tym samym dealerem.

Obserwował teraz z werandy uczucie błęgiego zadowolenia malujące się na jej twarzy. Było coś nieodparcie radosnego w nabyciu pierwszego samochodu - Clay nie zdawał sobie jednak dotąd sprawy, że kobiety mogą odczuwać to tak samo. Z uśmiechem w kąciку ust patrzył, jak Dina rozkoszuje się tym momentem, a potem jego uśmiech zgasł i twarz się zasepiła.

Ruszył za nią, kiedy wyjechała z salonu Samochodowego, przekonany, że wróci teraz do domu babki. Ona jednak przy pierwszej sposobności mu umknęła, każąc szukać się przez przeszło godzinę po mieście. Odwiedził nawet Mary - tylko po to, żeby się przekonać, że Diny tu nie było. W końcu dał za wygraną i pomyślał, że jeśli nie trafiła do aresztu za brak prawa jazdy - będzie musiał z nią o tym porozmawiać - to prędzej czy później wróci do domu.

Dina otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu.

Obserwował ją uważnie, nie chcąc przeoczyć żadnego szczegółu. Zobaczył, że jej zachowanie jest jakby bardziej powściągliwe niż zwykle, a krok nieco niepewny. Kiedy podeszła bliżej, wstał na jej powitanie.

- Nie jestem twoim dozorcą, Dino, ale martwiłem się, kiedy zniknęłaś. Mogą cię spotkać różne nieprzyjemne przygody.

- Wiem - odparła, dodając szybko: - Clay, muszę z tobą pomówić, a ty musisz mnie wysłuchać, nie zadając tysiąca swoich prawniczych pytań.

- A mogę zadać jedno?

Patrzył z rozczeniem na jej pomiętą sukienkę, rozwichrzone włosy i policzki zaczerwienione od słońca i wiatru.

- Oczywiście.

- Gdzie się podziewałaś?

- Pojechałam zobaczyć się z sędzią Harrisonem. Po raz kolejny wprawiała go w osłupienie. Otworzył usta, ale nie mógł wydobyć słowa.

- Po co? Dlaczego? - wykrztusił w końcu.

- Dlatego że moim zdaniem nie wierzysz we mnie ani w moją niewinność. Zaczęłam się zastanawiać, czemu w ogóle zajmujesz się moją sprawą. - Wzruszyła ramionami.- Przestałam ci ufać.

Te trzy słowa dotknęły go boleśnie, boleśniej, niżby przypuszczał. Ale jeśli się bliżej zastanowić, nie miała zbyt wielu powodów, żeby mu zawierzyć. Traktował ją protekcjonalnie, jak mało rozgarnięte dziecko, przemilczał różne sprawy, mówiąc sobie, że chce

ją chronić, a w rzeczywistości uważał, że i tak nic nie zrozumie. Krążył wokół prawdy, pomijając trudniejsze zagadnienia niby to dla jej własnego dobra. Ona go jednak przejrzała i straciła do niego zaufanie, co było tylko i wyłącznie jego winą.

- Chodźmy do domu - powiedział. - Klimatyzacja już działa, więc w środku powinno być chłodniej.

Otworzyła drzwi, zdumiona jego przygnębionym głosem i zasepioną miną. W innych okolicznościach pomyślałaby, że go zraniła, ale żeby czuć się zranionym, trzeba mieć do kogoś osobisty stosunek, a przecież ona jest dla niego tylko jedną z klientek, którą zajął się ze względu na dziadka.

Przeszli przez hol, lecz u drzwi salonu Dina nagle stanęła i Clay omal na nią nie wpadł. Chciał zapytać, co się stało, ale zaraz zrozumiał. W tym pokoju została zamordowana Agatha Fleur Deveraux, ale Dina przecież tego nie pamiętała. W ciszy i zdumieniu patrzył, jak jej ciało robi się sztywne, a głowa nieruchomieje jak u schwytanego w pułapkę zwierzęcia. Jej oczy się rozszerzyły, usta rozchyliły i krew odpłynęła z twarzy.

Nie mógł tego znieść. Stała tak nieruchomo. Jej strach aż wibrował w powietrzu. Objął ją delikatnie ramieniem.

- Dina - szepnął.

Nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Jej nieruchome spojrzenie było utkwione w jakimś punkcie na podłodze. Poszedł za jej wzrokiem i zobaczył piękną, białą gardenię, leżącą na środku pokoju. Dopiero teraz dobiegł go jej przejmujący zapach.

- Dina - powtórzył, odwracając ją do siebie. Jej oczy były puste, a twarz nieobecna: - Dino! - krzyknął. - Spójrz na mnie! - Kiedy nie zareagowała, potrząsnął nią mocno, błagając: Ocknij się, oprzytomniej!

Jego głos doszedł do niej wreszcie jakby gdzieś z zaświatów- Zamrugła powiekami, odetchnęła głęboko i szepnęła:

- Już dobrze. Doznałam szoku, już po wszystkim.

- Ładnie mi po wszystkim! Cała się trzęsiesz. -Odwrócił ją plecami do salonu. - Czy możesz mi powiedzieć, co ten kwiat znaczy i co tu robi?

- Gardenie były ulubionymi kwiatami mojej babki. Stanowiły jej symbol, znak firmowy. Wszystkie pudełka z „Fleur”, torby i ogłoszenia miały na sobie rysunek gardenii. Te czarne, błyszczące pudła - jak z lakierowanej skóry - z białą wstążką i kwiatem na środku były takie piękne. Spakowałam ich chyba z milion podczas wakacji.

Wygadała się, ale to nie miało już znaczenia. I tak chciała mu wszystko powiedzieć.

Clay nie mógł się doczekać, żeby zadać Dinie parę pytań, ale uznał, że lepiej jej teraz nie ponaglać. Głos miała suchy, beznamiętny, ale policzki zaczynały nabierać kolorów, a oczy tracić nieobecny wyraz. Niemniej dalej się trzęsła, więc objął ją mocniej i poprowadził przez dom, szukając spokojnego i wygodnego miejsca na rozmowę. W końcu usadowił ją na kanapie w przytulnie urządzonej gabinecie.

- Dina, w jaki sposób ten kwiat się tu znalazł? Masz jakieś przypuszczenia?

- Chyba tak.

Nie patrzyła na niego, ponieważ nie chciała ujrzeć na jego twarzy niedowierzania. Przemknęło jej przez myśl, żeby wymigać się jakimś kłamstwem, ale przypomniała sobie zalecenie sędziego Harrisona. Wzięła się w garść i zaczęła najspokojniej, jak mogła:

- Kiedy rozmawiałam z sędzią, poradził mi, żebym powiedziała ci wszystko, co wiem. Clay, ktoś mnie obserwuje i śledzi każdy mój krok. Ktoś był w bibliotece i przyjechał za mną tutaj. Widziałam go w alejce. Może nawet zabił Danny'ego Hudsona, żeby mnie tym obciążyć.

- Czekaj, czekaj... Kto cię śledzi? I co sędzia Harrison ma z tym wspólnego?

- Uciekłam ci dziś specjalnie, żeby się z nim zobaczyć. Zwierzyłam mu się ze wszystkiego i obiecał mi pomóc, ale kazał mi porozmawiać z moim adwokatem.

Clay zdrętwiał, przypominając sobie, jak powiedział jej, że nawet gdyby przyznała się teraz do zabicia babki, nie mogłaby być drugi raz sądzona. Dina zobaczyła w jego oczach pytanie podszyte strachem i odwróciła głowę.

- Przypomniałam sobie wszystko, Clay. - Spojrzała mu prosto w oczy. Nie miała się czego wstydzić i nie miała nic do stracenia. - W dniu wyjazdu z sanatorium wróciła mi pamięć.

Chciał poznać wszystkie szczegóły, ale Dina nie zamierzała się nad tym rozwodzić.

- To bez znaczenia jak, kiedy i dlaczego. Opowiem ci o tym później. Najważniejsze jest to, że nie zabiłam babki. Ale też nie wiem, kto to zrobił.

Clay nie przerywał jej, wiedząc, że musi sama to z siebie wyrzucić. Zrelacjonowała mu dokładnie przebieg wydarzeń w dniu, kiedy Agatha Fleur Deveraux została zamordowana. W myślach rozważała to zawsze z dystansem, niemal bezosobowo. Teraz, kiedy opowiadała wszystkie szczegóły na głos, wkładając w to emocje i czując ciepło jego rąk, ściskających ze współczuciem jej dłonie, doprowadziło ją to prawie do łez.

- I powiedziałaś to wszystkemu sędziemu?

- Tak. Powiedziałam mu także o mężczyźnie, który mnie śledzi.

Clay spojrzał na ich splecione palce - jej delikatne i szczupłe, jego silne i męskie - i pomyślał, że ładnie razem wyglądają. Od czasu powrotu z wojny czuł w sercu wielką pustkę, która w tym momencie jakby trochę się zappełniła. Otrząsnął się ze swoich myśli. Powinien się skupić na Dinie, a nie na sobie, nie mógł się jednak powstrzymać od pytania:

- Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie?

- Bo nie byłam pewna, że wierzysz w moją niewinność. W każdym razie nigdy nie zapytałeś mnie wprost, czy zabiłam babkę. - Skrzywił się, ale nie wiedziała, jak ma owijać swoje myśli w bawełnę, więc po prostu mówiła dalej: - Dałeś mi jasno do zrozumienia, że uważasz mnie za niezdolną do samodzielnego życia, do podejmowania decyzji. Jak tylu innych, oceniałeś mnie poprzez fakt,

że byłam przez dziesięć lat w zakładzie, wobec czego nie mogę mieć za grosz inteligencji. Ale najbardziej bolało mnie to, że mnie ignorowałaś, lekceważyłaś moje uczucia, jakby były nieważne.

Miała dużo racji.

- Bardzo mi przykro, jeśli tak uważasz - odparł. - Nigdy nie chciałem cię deprecjonować, Dino. Czasami, kiedy człowiek walczy sam z sobą, wyładowuje się na tych, których najbardziej chce chronić. To idiotyczne, ale taka jest natura ludzka. Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Po pierwsze, nie pytałem cię, czy zabiłaś babkę, bo bałem się, że możesz odpowiedzieć twierdząco, a tego bym nie zniósł. Poza tym, po rozmowie z tobą, jeszcze zanim przeczytałem akta dziadka, wiedziałem, że jesteś niewinna. - Przerwał, żeby zebrać myśli. Nie chciał znów popełnić jakiegoś błędu. - Dino, nie ignorowałem ciebie ani twoich uczuć. Dziś rano po drodze tutaj miałem długą rozmowę z Mary... a raczej wysłuchałem długiego wykładu Mary o tobie i twoim życiu w sanatorium. Zmieszała mnie z błotem i zwymyślała za to, że cię pocałowałem. A potem kazała mi przysiąc, że to się nie powtórzy.

Dina miała ochotę udusić przyjaciółkę.

- Jak długo?

- Co?

- Jak długo ta przysięga ma obowiązywać? Do dnia, aż będę siwą, bezzębną staruszką?

Mimo woli wybuchnął śmiechem, rozpaczliwie pragnąc wziąć ją w ramiona. I wiedział, że to zrobi, ale nie w tej chwili. Do diabła z Mary, Bobem i każdym, kto zechce go powstrzymać. Obiecał sobie,

że tym razem nie będzie działać pochopnie, ale to jedyna obietnica, jaką sobie złożył.

- Strasznie mi przykro, że sprawiłem ci ból. Uwierz mi, za nic w świecie nie chciałbym tego zrobić.

Odeszli daleko od właściwego tematu rozmowy, ale nie czas było teraz rozpamiętywać inne sprawy niż te najbardziej palące.

- Dina wróćmy do tego mężczyzny, który cię śledził. Opowiedz mi o nim. Jak wyglądał?

- Pokażę ci. - Wstała i rozejrzała się. - Gdzie moja walizka?

Clay wyszedł do holu, głowiąc się, o co chodzi. Czyżby zrobiła mu zdjęcie? Kiedy wrócił z walizką, otworzyła ją i zaczęła gorączkowo przerzucać zawartość. Pod stosem ubrań znalazła szkicownik.

- Masz. - Usiadła obok niego na kanapie, patrząc, jak z uwagą przegląda rysunki, a kiedy doszedł do jej portretu, wyjęła mu szybko blok z ręki i pokazała szkice z biblioteki.

- To ten.

- Opowiedz mi o nim.

Była utalentowaną rysowniczką, bardzo spostrzegawczą. Słuchając jej, rozłożył rysunki na stoliku do kawy, a kiedy skończyła mówić, nadal nie mógł oderwać od nich wzroku. Coś go w nich zastanowiło.

- No, co?- spytała Dina.

- Patrzę na tego faceta.

Pokazał jej wysokiego, szczupłego mężczyznę.

- Nie, Clay, to nie ten. To był ten. - Wskazała na starszego, łysawego człowieka. - To jego widziałam w alejce.

- Przyjrzyj się dobrze, Dino. Tych dwóch mężczyzn narysowałaś w najdrobniejszych szczegółach. Inni ludzie w bibliotece i przed nią, nawet Danny Hudson, są ledwo naszkicowani, a tym dwóm poświęciłaś wiele uwagi. Może nieświadomie, ale...

Dina podparła brodę rękami i wbiła wzrok w rysunki.

- Masz rację, ale za nic w świecie nie potrafiłabym tego wytłumaczyć.

Jest taka urocza, pomyślał Clay. Rozwichrzone wiatrem włosy okalały jej twarz, która już odzyskała, swą barwę, a oczy lśniły jak szafiry.

- Dobrze, dajmy temu na razie spokój - powiedział. - Opowiedz mi jeszcze raz szczegółowo, co zdarzyło się w alejce. Jesteś pewna, że to ten sam mężczyzna co w bibliotece?

- Najzupełniej.

- Co powiedział sędzia Harrison?

- Niezbyt wiele. Głównie mnie słuchał. Był bardzo miły i wierzył mi. Najśmieszniejsze, że kiedy mu powiedziałam, co pamiętam, uśmiechnął się, jakby to właśnie chciał usłyszeć. Potem poradził, żebym to wszystko powtórzyła tobie. - Wsunęła się głębiej w kanapę, czując ogarniające ją nagle zmęczenie. - Czy mógłbyś pójść do salonu i wyrzucić tę gardenię?

Clay zorientował się, że Dina jest coraz bardziej wyczerpana. Mieszanina strachu i podniecenia musiała prędzej czy później spowodować taki efekt.

- Dino, nie zamierzam cię okłamywać ani ukrywać prawdy. Podobnie jak mój dziadek i Bob, ja też uważam, że ktoś mocno się natrudził i wydał dużo pieniędzy, żeby wyrokiem sądu trzymać cię w zamknięciu. Teraz, kiedy znalazłaś się na wolności, boimy się, że może ci grozić niebezpieczeństwo. No i jeszcze ten mężczyzna, który cię śledzi. Słowem, nie chcę, żebyś tu została:

Dina przez dłuższą chwilę siedziała milcząc, z wzrokiem wbitym w przestrzeń.

- Czy mam do końca życia się ukrywać? - spytała wreszcie. - Jeśli tak, to mogę równie dobrze wrócić do sanatorium. Nie mam zamiaru się stąd wyprowadzać. Mam dość płacenia za zbrodnię, której nie popełniłam. Najwyższy czas, żeby znaleźć prawdziwego zabójcę mojej babki.

Waszyngton

Franklin Fitzpatrick gniewnym szarpnięciem zdjął z szyi krawat, otwierając przed swą małżonką drzwi miejskiej rezydencji. Wsunął jedwabny pasek do kieszeni marynarki i rozpiął górny guzik koszuli, mierząc Wściekłym wzrokiem sunącą majestatycznie Alice. Później rozmyślnie puścił ciężkie drzwi i z satysfakcją patrzył, jak jej plecy zeszywniały na dźwięk głośnego trzasku.

- Co cię, do diabła ciężkiego, napadło? - krzyknął, kiedy weszli do salonu. - Byłaś nieuprzejma dla sekretarza stanu i zrobiłaś afront żonie senatora Hargusa. Sam prezydent to zauważył, na miłość boską!

Alice Jefferson Fitzpatrick odwróciła się z furią i wrzasnęła na męża:

- Ty sukinsynu, kiedy miałeś mi zamiar powiedzieć?

Jad w jej głosie na chwilę zbił go z tropu i zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy odkryła jego ostatni romans, lecz szybko doszedł do wniosku, że taka drobnostka nie wyprowadziłaby jej do tego stopnia z równowagi. Poza tym i tak jego miłostki należały już do przeszłości. Prezydent dał mu jasno do zrozumienia, że od dziś ma być czysty jak łąza. Cóż, jego styl życia będzie musiał ulec zmianie i gdyby tylko Alice wiedziała, że teraz znów stanie się jedynym obiektem jego żądz, to pewno wystąpiłaby o rozwód.

- I nie patrz na mnie z miną niewiniątka, drogi Franklinie. Doskonale wiesz, o czym mówię.

Słuchając jednym uchem, mierzył ją okiem znawcy. Wyglądała jeszcze całkiem nieźle jak na swój wiek: wysoka, szczupła, miała jędrne, małe piersi i zgrabne, długie nogi. Do licha, można powiedzieć, że jest nawet seksowna. Podszedł do barku wyjął butelkę koniaku i dwa kryształowe kieliszki.

Właściwie ich życie miłosne nie było takie złe, powiedział sobie, nalewając dwie okazałe porcje. Gdyby tylko była bardziej bezpruderyjna... Pomyślał z żalem o swojej sekretarce, Betty, i jej młodym, wysportowanym ciele. Będzie mu brakowało tych uroczych schadzek.

Pociągnął łyk koniaku. Przybrawszy łagodny i pełen stoickiego spokoju wyraz twarzy, podszedł do Alice i podał jej drugi kieliszek.

- Doprawdy nie rozumiem, co cię tak rozzłościło.
- Podalesz się do dymisji, nawet tego ze mną nie konsultując!

Spojrzał na nią znad kieliszka i pociągnął następny łyk, starając się zdusić rosnącą irytację.

- Alice, tłumaczyłem ci tysiąc razy, że nie mogę zostać na swoim stanowisku, jeśli mam zamiar kandydować na prezydenta. Nie wychodź, jak do ciebie mówię! - Stała w drzwiach, słysząc wściekłość w jego głosie. - Podpisałem stosowne papiery już miesiąc temu, co zapewne nie uszłoby tak łatwo twojej uwagi; gdybyś nie spędzała tyle czasu na włóczeniu się po muzeach ze swoim synalkiem. A skoro już mowa o Henrym, to gdzie on się podziewa?

- Jest u siebie w pracowni. Maluje.

Franklin prychnął ze złością i przeniósł wzrok na dwa wyprodukowane przez syna „dzieła sztuki”, wiszące w salonie. Współczesny surrealistyczny impresjonizm, tak się to ponoć nazywało. Te dwa godne pożałowania malunki tkwiły między Degasem a „Kobietą czytającą list” Vermeera. Wydało mu się to niemal świętokradztwem, aby te obrzydliwe, jaskrawe plamy i groteskowe zawijasy konkurowały tu bezwstydnie z takimi arcydziełami.

- Alice, jak ty ze swoim smakiem i znajomością sztuki możesz się upierać, że to coś więcej niż zwykle bohomazy? Bohomazy! Przecież chyba sama to widzisz.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to ostatnio dwóch marszandów zainteresowało się pracami twojego syna. Mówią, że jego obrazy są świeże i typowe dla naszych czasów. Że widać w nich przemoc i złość.

- To zwykle bohomazy, Alice, a Henry ma w sobie tyle przemocy i złości, co zdechła ryba. To mięczak.

Spojrzał na nią zwięzionymi oczami. Przy najmniejszej krytycznej wzmiance o Henrym w jego żonie budziła się lwica, ale tym razem najwyraźniej postanowiła załatwić to polubownie. Wyciągnęła do niego rękę z kieliszkiem, prosząc, żeby jej dolał koniaku. Niespodzianki chodziły dziś parami. Nigdy nie piła więcej niż jedną lampkę.

- To, że Henry z powodu kłopotów ze zdrowiem nie mógł iść do wojska jak inni Fitzpatrickowie ani na wojnę, w Wietnamie, nie

znaczy jeszcze, że jest słabeuszem. Ma bardzo silny charakter. Kocha piękno i przyrodę.

- Ja też, ale nie zapisuję się w związku z tym do setek towarzystw biorących w obronę sowy i dziecioty ani nie spędzam połowy życia w muzeach. I wyjaśnijmy coś sobie wreszcie. Jedyny problem zdrowotny Henry'ego to tchórzostwo. Twój liberalny, łagodny jak baranek tatuś i mój luby braciszek, były hipis i dziecko - kwiat, postarali się o to, żeby Henry wywinął się z wojska.

Postawa Alice nagle diametralnie się zmieniła. Jej twarz przybrała kamienny wyraz, a zielone oczy zaczęły ciskać błyskawice. Widać było, że walczy z sobą, żeby zachować spokój.

- Nie mieszaj do tego Darrena, Franklin.

- Jasne, jasne. Nie zrzucaj winy na małego braciszka. Jest takim samym maminsynkiem jak Henry. Do diaska, spędzają razem tyle czasu, że trudno, aby chłopak się do niego nie upodobił.

Całe lata znoszenia w milczeniu związku, jaki łączył jego żonę i brata, dały teraz o sobie znać. Jeśli on ma zrezygnować ze swoich romansów, to ona też. Problem w tym, że Alice nie wiedziała, że on wie.

- Jeśli Henry spędzał tyle czasu z Darrenem, to wyłącznie dlatego, że ciebie nigdy tu nie było. Najpierw Korea, potem Wietnam, obozy wojskowe, narady, podróże. Służba zawsze była najważniejsza. I nie mów mi, że to był twój obowiązek. Mam tego potąd - zrobiła wymowny gest - więc przestań się wymądrzać na temat wychowania

Henry'ego. Kto jak kto, ale ty chyba nie masz prawa krytykować innych.

- A cóż to ma znaczyć?

- Dobry Boże, Franklin, nie każ mi mówić na głos tego, co oboje wiemy. Twoje grzeszki są nam obojgu dobrze znane.

Na moment zaniemówił. Nigdy nie wypominała mu dotąd jego romansów, w każdym razie w sposób tak otwarty. Do tej pory była subtelniejsza.

- Chcesz pomówić o grzechach, to proszę bardzo.

Porozmawiajmy więc o twoim grzechu. Jednym, ale ciężkim. O związku z Darrenem- Myślisz, że jestem idiotą i nie wiem, że włąziłaś mu do łóżka przy każdej okazji?

- A ty dawałaś mi mnóstwo tych okazji, prawda? Zawsze sądziła, że kiedy Franklin się o tym dowie, to ją zabije. Ale teraz widziała, że w gruncie rzeczy niewiele go to obchodzi. Pomyślała o tym, ile lat się męczyła, żyjąc z jednym bratem, a kochając drugiego, i ogarnął ją niepohamowany gniew, któremu musiała dać ujście.

- Poza tym, mój drogi, twój mały braciszek jest lepszy w łóżku niż ty.

Ugodziła go celnie, ale opanował się siłą woli i powiedział chłodno:

- Cóż, mój skarbie, twoje igraszki z Darrenem się skończyły. Zrozumiałaś? Prezydent postanowił dać mi nominację. Będę kandydował, a ty z pewnością chętnie zostaniesz pierwszą damą,

prawda? A więc od tej chwili musimy zawrzeć rozejm i znów stać się szczęśliwą parą.

Perspektywa zostania gospodynią Białego Domu była nie do odrzucenia, a Franklin zwykle osiągał to, czego chciał. Jego marzenie o prezydenturze z pewnością się spełni, a ona oprócz pewnych wyrzeczeń na jego rzecz będzie też miała wiele możliwości rewanżu. Uśmiechnęła się do siebie.

Franklin uważnie obserwował grę uczuć na twarzy żony. Władza, pozycja społeczna i miejsce w historii były dla niej równie kuszące jak dla niego. Może nie zdawała sobie jeszcze sprawy, ale zrobi wszystko, co on jej każe, żeby tylko zostać pierwszą damą, a im bliżej będzie tego celu, tym łatwiej przymknie oko na jego drobne wykroczenia. Nagle zauważył, że Alice uśmiecha się jakoś dziwnie i poczuł się nieswojo.

- Mamy być znów szczęśliwą parą, Franklin? A co zrobisz z tym swoim nieszczęsnym, nadpobudliwym libido? Innymi słowy, jak sobie poradzisz ze sprawami seksu, mój drogi? Będziesz musiał zrezygnować z romansów, bo ja nie mam zamiaru godzić się z nimi, jak to robiły niektóre panie prezydentowe. Nie chcę być oszukiwana ani udawać, że jestem ślepa i głucha. Takie publiczne upokorzenie byłoby dla mnie nie do zniesienia, zapamiętaj. Będziesz musiał dać sobie spokój z miłośkami albo prasa dowie się o twojej słabości i dopiero będzie miała używanie. Prawda, kochanie? - Wysączyła do końca koniak. - Zrezygnuję z Darrena dla tytułu pierwszej damy, ale

jeśli sądzisz, że będziesz mógł włożyć mi pod kołdrę, ilekroć cię najdzie ochota, to się grubo mylisz.

Nigdy w życiu nie uderzył kobiety, ale też nigdy nie marzył o tym tak jak w tej chwili. Zastosowała wobec niego ordynarny szantaż wcale się przy tym nie krępując.

- Nie wierzę, żebyś potrafiła donieść na mnie prasie - wybuchnął, ale z drugiej strony wiedział, że jest zdolna do spełnienia swojej groźby.

- Dobranoc, panie prezydencie - rzuciła sarkastycznie i z histerycznym śmiechem opuściła salon.

Kochała go, kiedy za niego wychodziła, ale bardzo szybko zorientowała się, że ożenił się z nią tylko dla jej koneksji rodzinnych i pieniędzy. Teraz mu pokaże, że Jeffersonowie są ulepieni z twardszej gliny niż jakiś tam irlandzki Fitzpatrick. Jej babka byłaby z niej dziś dumna.

Franklin zrozumiał, że został pokonany własną bronią. Poszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i nalał sobie mocnego, męskiego drinka z butelki starej szkockiej whisky, którą trzymał na specjalne okazje. Po paru łykach zachichotał. Głupia suka. Czy naprawdę wyobraża sobie, że dla jej pustych gróźb zrezygnuje z kobiet? Cóż do diabła, inni prezydenci jakoś sobie radzili z zaspokajaniem własnych potrzeb.

W chwili objęcia prezydentury kłopoty z prasą, żoną i wszystkimi wrogami spadną na barki służby bezpieczeństwa.

W tej chwili widział tylko jedno realne zagrożenie: Dinę Deveraux. Na myśl o niej whisky nabrała smaku piołunu. Dlaczego Sid nie dzwoni? Nie miał od niego wiadomości i mocno go to gnębiło. Dla odprężenia wyciągnął się w skórzanym fotelu, położył nogi na biurku i wyobraził sobie, że jest w Gabinetce Owalnym ze swoją sekretarką Betty.

Kiedy zadzwonił telefon, musiał otrząsnąć się z rozkosznych marzeń, żeby szybko włączyć zagłuszacz i sięgnąć po słuchawkę. Dzięki Bogu, to Sid.

- Co się tam, do ciężkiej cholery, dzieje? - warknął ze złością. - Podobno jakiś dziennikarz został zamordowany po rozmowie z dziewczyną.

Sidney był zmęczony, zgrzany i wściekły. Nienawidził Teksasu, a zwłaszcza rozgrzanego do białości miasta Houston. Miał po dziurki w nosie śledzenia tej małej wariatki i chciał wreszcie wiedzieć, dlaczego to robi.

- Panie generale, co innego było pilnować panny Deveraux, kiedy była zamknięta w sanatorium, a co innego teraz. Nigdy nie wymigiwałem się od służenia panu pomocą i załatwiania pańskich prywatnych spraw, ale Dina - z niekłamaną przyjemnością wysłuchał gniewnego pomruku szefa na dźwięk tego imienia - Dina jest, jak wiadomo, obecnie na wolności i robi sobie, co się jej podoba. Nie mogę nie spuszczać jej z oka dzień i noc. Muszę kiedyś spać.

- Wiem, wiem. Jesteś moją prawą ręką i...

Po raz pierwszy w swojej karierze major Sidney Sawyer pozwolił sobie przerwać przełożonemu.

- To nie jest zadanie dla jednego człowieka i jeśli mam dalej ją śledzić, muszę mieć zmiennika.

Generał, przerażony, szybko zaprotestował:

- Nie, nie, Sid, to nie wchodzi w rachubę.

- Panie generale, Dina zaczęła interesować się morderstwem babki. Ona nie jest głupia. Prawdę mówiąc, jest o wiele bystrzejsza, niż można by się spodziewać. Po drugiej stronie słuchawki zapanowała taka cisza, że major przez chwilę zastanawiał się, czy połączenie nie zostało przerwane. - To jeszcze nie wszystko. Ma bardzo znanego adwokata. To Clayton Lambert, wnuk starego Lamberta. A na dokładkę pracuje z nim dawny gliniarz, a teraz prywatny detektyw, Bob Spencer. Ten sam, który prowadził sprawę Deveraux dziesięć lat temu.

- Niczego nie znajdą - mruknął Franklin, bardziej do siebie niż do współnika. Chwycił butelkę whisky i pociągnął z niej duży haust.

- To jeszcze nie wszystko, panie generale. Dziewczyna wprowadziła się do domu babki.

Franklin omal się nie zakrztusił.

- Co takiego?!

- Jej adwokat i ten prywatny detektyw są z nią przez cały czas. Pilnują jej jak skarbu.

- Wypatrzyli cię? - Franklin zauważył, że ręka mu drży.

Opanowało go nieznośne, upokarzające uczucie strachu. Marzył, aby cała ta sprawa czym prędzej i raz na zawsze się skończyła.

- Nie, ale musi pan wiedzieć, że oprócz mnie obserwuje ją jeszcze jakiś facet.

Ta informacja go dobiła. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu i pomyślał, że zaraz zwariuje. Nagle przyszła mu do głowy zbawcza myśl.

- Czy ten facet jest niski, krzywonogi i łysy?

- Zgadza się. Zna go pan? Kto to jest?

- Z jego strony nie musisz się niczego obawiać. To podobnie jak ty, Sid, czyjś zaufany człowiek. Nie jest dla nas groźny.

Napięcie w nim opadło. Przez chwilę obawiał się, że to może być policja albo agenci federalni. Wiedział, że FBI zbada jego przeszłość, ale nie powinni dogrzebać się do zamierzonego epizodu w Teksasie, jeśli nie dostaną skądś cynku.

- Naszym jedynym problemem jest ta przeklęta dziewczyna - powiedział do Sidneya.

- Mam tylko nadzieję, że istnieje dobry powód, żeby ją śledzić, bo pociąga to za sobą rozmaite konsekwencje...

- Doskonale się spisujesz, Sid, wierz mi.

- Nie tak znów doskonale. Zrobiłem coś naprawdę niezbyt miłego.

Zapadła między nimi cisza, którą wreszcie przerwał szept Franklina:

- Mówisz o tym dziennikarzu?

- Tak. - Przez moment Sidney zastanawiał się, skąd generał to wie, ale przypomniał sobie, że ma w Houston jeszcze jednego informatora. - Udałem się za Diną do biblioteki, gdzie zaczęła szukać materiałów na temat śmierci babki. Był tam też jakiś młodzieniec, który próbował się z nią zaprzyjaźnić. Kiedy się pożegnali, nawiązałem z nim rozmowę. Chciał wiedzieć, czemu się wypytyuję o Dinę. Wymyśliłem jakąś bajeczkę, że jestem reporterem z Dallas, ale ten chłopak nie dał się zwieść. Ni stąd, ni zowąd zawiesił głos i zaczął mi się bacznie przyglądać. Okazało się, że mnie poznał. Powiedział, że widział moje zdjęcie obok pana generała, kiedy wygłaszał pan w Harvardzie mowę na temat niebezpieczeństwa eskalacji zbrojeń w Związku Radzieckim.

- Cholera jasna! - mruknął Franklin.

- Powiązał nas z sobą i zaciekał się, czemu interesuje mnie sprawa Deveraux. Pomyślałem sobie, że pewno nie chciałby pan, aby zaczął pana o to wypytywać, więc załatwiłem za pana ten problem.

Jak zawsze, pomyślał Franklin. Zabił tego człowieka niby w jego imieniu i jeśli kiedykolwiek zostanie złapany, to z pewnością zrzuci winę na niego, mówiąc, że dostał taki rozkaz.

- Rozumiem, Sidney. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

- Prawdę mówiąc, panie generale, nie sędzę, że bym mógł dłużej tu zostać, nie wiedząc, czego mam szukać i czego się strzec. Nie mogę panu pomóc, skoro nie wiem, o co chodzi. Jeśli mi pan nie zawierzy,

będę musiał zrezygnować. Czy Dina Deveraux stanowi dla pana jakieś zagrożenie?

Franklin najchętniej posłałby ambitnego majora do wszystkich diabłów, ale był z nim związany, prawdopodobnie do końca życia. A jeśli tak, to Sidney Sawyer będzie musiał ubrudzić sobie ręce jeszcze trochę bardziej.

- Powiem ci tyle, że ta dziewczyna może mnie zniszczyć... I nie tylko mnie, ale każdego, kto jest ze mną związany. Najlepiej będzie, jeśli tu przyjedziesz. Porozmawiamy sobie i wszystko ci wyjaśnię, a na razie musisz wiedzieć, że prezydent dał mi swoje błogosławieństwo. Złożyłem już dymisję z wojska i ty też będziesz musiał to zrobić, jeśli chcesz przenieść się ze mną do Białego Domu,

Dallas, stan Teksas.

Gilbert Foley przetarł oczy piekące go od wpatrywania się w długie kolumny cyfr. Był wykończony, ale nie zamierzał się poddawać. Ktoś zajmuje podstępnie jego imperium. Jak przebiegły wilk podchodzi go z różnych stron, pożerając pomniejsze przedsiębiorstwa, żeby dostać się do serca korporacji.

Foley wstał, przeciągnął się i podszedł do szklanej ściany dwadzieścia pięter nad Dallas. Miasto było pogrążone w mroku, co go zdziwiło, dopóki nie spojrzął na zegarek. No tak - trzecia nad ranem.

Pierwszy niepokojący sygnał pojawił się w Luizjanie, kiedy urwały się nagle dostawy stali do szybów naftowych. Trzeba było zwolnić niemal wszystkich robotników. Gilbert wysłał tam starszego syna, Bartona, żeby zbadał sytuację i po powrocie chłopak zapewnił

go, że wszystko jest na najlepszej drodze. Ale Gilbert się martwił. Z powodu braku materiału na umocnienia i naprawy niektóre z jego szybów już przestały działać.

Później był strajk w rafinerii niedaleko Houston i jak w reakcji łańcuchowej nastąpiły kłopoty w pięciu dalszych rafineriach - dwóch w Teksasie i trzech -w Luizjanie. Następnie ni stąd, ni zowąd wybuchła wrzawa wokół zanieczyszczenia środowiska i co rusz miały kontrole rządowe w swoich zakładach chemicznych, uniemożliwiające normalną pracę. Musiał wysłać młodszego syna, Richarda, do Waszyngtonu, żeby dał w łapę komu trzeba i spowodował odwołanie inspektorów.

Wskutek tych wszystkich wypadków w zawrotnym tempie zaczął tracić pieniądze i dotychczasowa bujna rzeka dochodów zamieniała się powoli w wąty strumyczek. Ta ucieczka pieniądza trwała już od miesięcy i zdawała się nie budzić niczyjego niepokoju, co najbardziej wyprowadziło Gilberta z równowagi. Nie po to zatrudniał najlepszych i najdroższych księgowych, żeby sobie pozwalali na takie niedopatrzania. Chciał wiedzieć, co się dzieje i dlaczego. Nie lubił, kiedy go rolowano i poprzysiągł sobie, że poleca za to głowy.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi i warknął:

- Wejść!

Patrzył spod zmarszczonych brwi na trzech swoich wiceprezesów, wślizgujących się do gabinetu i zajmujących miejsca

przed jego biurkiem. Z ponurą satysfakcją spostrzegł, że są równie wycieńczeni jak on.

- No więc? Jakie macie nowiny?

Najstarszy i najszacowniejszy z nich, Doyle Preston, został najwyraźniej obarczony misją obwieszczenia szefowi smutnej prawdy. Przełknął ślinę i chrząknął z zakłopotaniem.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak mi przykro, że muszę...

- Ile straciliśmy? - przerwał mu Gilbert;

- W gotówce dobrych parę milionów - powiedział szybko Doyle.- Moi ludzie wciąż prowadzą obliczenia. Ale prawdziwe zmartwienie mamy z rynkiem giełdowym, Gil. Najpierw tu i ówdzie szło trochę akcji naszych przedsiębiorstw, ale ostatnio wykupiono cały olbrzymi pakiet głównego koncernu.

- Nigdy nie wydałem polecenia puszczenia na giełdę moich akcji. Jak to się mogło stać?

Doyle skurczył się. Gil, strasznie mi przykro, sam nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale...

Foley był zbyt zmęczony i rozdrażniony, żeby bawić się w subtelności.

- To już mówiłeś. Wykrztuś wreszcie, o co chodzi.

- To sprawa twoich synów. Bartona i Richarda,

- W życiu nie słyszałem podobnego idiotyzmu i radzę ci, Doyle, jeśli chcesz utrzymać swoją ciepłą posadkę, to lepiej wróć do rachunkowości i sprawdź dokładnie wszystkie papiery. - Foley był tak wściekły, że wstał z fotela i oparł się o biurko, miotając oczami

pioruny. - Nie pokrywaj nieudolności swoich księgowych, zwalając winę na moich chłopców.

Doyle zbladł.

- Przysięgam ci, że wszystko sprawdziłem.

- Coś ci powiem, przyjacielu. Wiem, że Barton i Richard rzucają się sobie do gardła od jakiś dwóch lat. Są żądni sukcesu, bezwzględni i ambitni. Sam ich tego nauczyłem, ale wiem, że nigdy nie zwróciliby się przeciwko swojemu ojcu. Nigdy.

Usiadł ciężko, czując, że ból rozsadza mu czaszkę.

Dopiero po chwili wziął do ręki dokumenty i raporty, które Doyle mu podsunął. Czytał je uważnie przez niemal pół godziny, a potem tak długo milczał, że zebrani chcieli już wyjść. W końcu spojrzał na nich ze łzami w oczach. - Nie mogę w to uwierzyć. Moi synowie...

- Nie powinieneś się temu aż tak dziwić, Gil. Wprowadzałeś ich w świat biznesu niemal od pieluszek. Sam ich uczyłeś, jak można przejąć czyjeś przedsiębiorstwo, dobierając się od środka.

- Ale Barton i Richard? Nie mają jeszcze na tyle rozumu w głowie, żeby porwać się na takie przedsięwzięcie. Kto im pomaga, Doyle?

- Nikt, Gil. - Doyle, był wyczerpany, - Posłuchaj, rozumiem, że to dla ciebie bardzo przykre, ale musimy działać szybko, bo inaczej stracisz połowę imperium.

Foley spojrzał na stos obciążających dokumentów na biurku i kiwnął głową.

- Panowie, idźcie do domu i prześpijcie się parę godzin. Od jutra musimy ostro wziąć się do roboty, żeby ratować, co się da.

Doyle zatrzymał się przy drzwiach.

- Strasznie mi przykro, Gil.

- Mnie też. Gdzie oni są? Doyle potrząsnął głową.

- Zaszli się w jakimś bezpiecznym miejscu, skąd wydają zapewne dyrektywy przez telefon. Próbowałem coś wyniuchać przez jedną z kobiet Bartona, ale bez powodzenia. Wątpię, żeby się pokazali, dopóki wszystko nie ucichnie. Odpocznij teraz trochę, Gil.

- Dobranoc, Doyle.

Foley wbił wzrok w fotografie synów. Z ich przystojnych twarzy przebijała pewność siebie i doświadczenie wykraczające poza ich wiek. Fakt, sam o to zadbał. W głębi duszy, mimo gniewu i zawodu, był z nich dumny. W końcu to jego synowie... Ale żeby zwrócić się przeciwko ojcu, żeby kasać rękę, która ich żywiła, ubierała, dawała im w życiu wszystko - nawet ich pierwsze kobiety, kiedy nadszedł czas - to już, do ciężkiej cholery, świństwo.

Jeszcze im pokaże, na co go stać! Gnębiła go tylko sprawa w Houston. Gdyby jego synowie albo akcjonariusze wywęszyli ten skandal, to byłby raz na zawsze skończony.

W momencie, kiedy pomyślał o Houston, zadzwonił telefon. Wiedział, że to Harry. Tylko on mógł sobie pozwolić na niepokojenie go o piątej rano.

- Witaj, Harry. Co powiesz?

Harry Dobs już po tych paru słowach wiedział, że coś jest nie w porządku. Ton głosu szefa był dziwnie przygnębiony.

- Co się stało, Gil? Coś z chłopcami? Foley roześmiał się.

- Nie, stary przyjacielu, chłopcy radzą sobie doskonale.

Powiedziałbym, że aż za dobrze.

Harry'emu nie podobał się ten śmiech, ale zanim zdążył zaoferować pomoc, szef poprosił go o sprawozdanie.

- Słyszałem o tej historii z reporterem. Czy jesteś w to zamieszany?

- Nie. - Harry miał już powyżej uszu przebywania w Houston i czuł się tak zmęczony, że ledwo zwlekał się rano z łóżka. Upił łyk kawy i zebrał się na odwagę. - Jestem już na to za stary, szefie. Odkąd ta mała Deveraux wyszła na wolność, nie mam nawet czasu zipnąć. Co innego było mieć na nią oko w sanatorium, kiedy zawsze było wiadomo, gdzie jest i co robi, a co innego teraz. Nie mogę łązić za nią dzień i noc. Może bym tak zlecił tę robotę paru moim starym kumplom?

- Nie ma mowy, przyjacielu. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufam. Potrzebuję cię bardziej, niż to potrafię wyrazić. Opowiedz mi teraz, co się tam dzieje.

Harry poczuł, jak jego opór słabnie. Gil go potrzebuje.

- Zaczęła grzebać się w materiałach dotyczących morderstwa babki. Prawdę mówiąc, Gil, ta dziewczyna ma w sobie więcej sprytu, niż można by przypuszczać. Pojechałem za nią do biblioteki, myśląc, że śledzenie jej tam to chleb z masłem. Ale ta mała nie jest głupia.

Tak się usadowiła, żeby mieć wszystko i wszystkich w zasięgu wzroku, zupełnie jak zawodowiec.

Foley, który myślał, że po rewelacjach Doyle'a nie może go już spotkać nic gorszego, zrozumiał, że się mylił. Złość i rozczarowanie to jedno, a dławiący strach to drugie. Musiał się jednak opanować i spokojnie wysłuchać, co Harry ma do powiedzenia.

- Jej sprawę przejął wnuk Taylora Lamberta, Clayton Lambert. Z tego, co o nim wiem, to doświadczony i znany adwokat, który nie podejmuje się spraw nie do wygrania. Dobrze mieć go po swojej stronie, jeśli się ma kłopoty, ale lepiej nie mieć go za przeciwnika. Poza tym jest jeszcze ten Bob Spencer, prywatny detektyw.

Pracował dla starego Lamberta, a teraz pomaga wnukowi. Wcale mi się to nie podoba, szefie.

- Mnie też, Harry. - Foley zakrył twarz rękami, podtrzymując telefon przy uchu ramieniem.

- To jeszcze nie wszystko, Gil. Poszła zobaczyć się z tym nowym sędzią, który ją zwolnił zaraz po tym, jak objął sprawy prowadzone przez sędziego Jonesa. I mógłbym przysiąc, że widziałem w jego otoczeniu paru agentów federalnych.

- O Boże! - jęknął Foley.

- A na dokładkę śledzi ją jeszcze ktoś, nie tylko ja. - Harry zamknął oczy, starając się przywołać obraz mężczyzny, o którym mówił. - Sprawia wrażenie typowego oficera. Wyglancowany i sztywny nawet bez munduru. Wysoki, wyprostowany, jak struna,

szpakowaty, twarz bez wyrazu. Wywiad wojskowy, jak sędzę. Możesz mi powiedzieć, dlaczego taki facet pilnuje naszej dziewczyny?

Foley poczuł obezwładniające uczucie ulgi.

- To nie nasz problem, Harry. Wiem mniej więcej, co to za jeden.

Harry nie miał odwagi powiedzieć szefowi, że go zawiódł, bo dziewczyna go wypatrzyła i wszelkie próby śledzenia jej będą teraz coraz trudniejsze. Stracił po prostu serce do tej roboty. Poza tym, cóż jedna młoda dziewczyna może zrobić takiemu bogatemu i potężnemu człowiekowi jak Gilbert Foley?

- Gil, jestem zmęczony. Reumatyzm daje mi się we znaki i nie wiem właściwie, po co tu siedzę. Poruszam się po omacku i nie potrafię w ten sposób wykonywać swojego zadania... cokolwiek miałyby to być.

Uważam, że mógłbyś tu wysłać paru naszych chłopaków, a ja bym wrócił do Dallas, usiadł z tobą i spróbował jakoś rozwiązać tę sprawę. - Idź do diabła! - wybuchnął Foley. - Nie pamiętasz, co ci mówiłem?

Nigdy dotąd szef nie używał wobec niego takiego tonu i Harry poczuł się dotknięty. Tym bardziej nie zamierzał ustąpić.

- Nie mogę działać na ślepo, nie wiedząc o co chodzi. Zawsze zwracałeś się do mnie, kiedy miałeś jakieś problemy. Musisz mi zaufać, Gilbert. W końcu co taka dziewczyna może ci zrobić?

- Może mnie zniszczyć. Unieść moje imperium i wszystkich z nim związanych. Zresztą nie tylko mnie. Także moją rodzinę. Ale masz rację, Harry. Nie możesz nadal poruszać się po omacku.

Harry Dobbs był wstrząśnięty. Po raz pierwszy usłyszał w głosie szefa strach.

- Potrzebuję cię, Harry - powtórzył Foley. - Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Wróć do domu na parę dni i powiem ci wszystko, co trzeba.

Scandalous

Dom w nocy powinien być cichy i spokojny, pomyślała Dina. A już zwłaszcza - spojrzała na zegarek przy łóżku - o czwartej nad ranem. Tymczasem obudził ją jakiś dziwny dźwięk, nie przypominający trzasków i skrzypów starego domostwa, do których przywykła.

Leżała w łóżku, nad słuchując uważnie i starając się zlokalizować źródło i naturę niepokojących odgłosów. Dochodziły z dołu, prawdopodobnie z salonu. Dina była osobą racjonalną i nie wierzyła w duchy, niemniej serce zaczęło jej bić jak oszalałe i puls tętnić w skroniach. Ale oczywiście to nie duchów się bała.

Zebrała się w garść, wysliznęła cicho z łóżka i drżąc z zimna, wyszła bosą na korytarz, stanęła u szczytu schodów i wpatrzyła się w czarną czeluść. Zawsze bała się ciemności, zaczęła więc gorączkowo szukać kontaktu i wtedy usłyszała kolejny odgłos, tym razem wyraźnie rozpoznawalny. Ktoś wpadł na jedno z metalowych, składanych krzeseł, które ustawiła w salonie, żeby Clay i Bob mogli pracować.

W popłochu rzuciła się w stronę dawnej sypialni babki i otworzyła drzwi. Z wahaniem stanęła na progu. Przyćmione światło z holu nie wnikało do ciemnego wnętrza.

- Clay! - zawołała szeptem.

Nic, cisza. Zagryzła wargi i weszła do środka, szukając po omacku łóżka. Nie słyszała nawet oddechu Claya. A może to on jest

na dole i ona niepotrzebnie robi tu z siebie idiotkę? Nagle ktoś chwycił ją za ramię i pociągnął jeszcze głębiej w mrok. Otworzyła usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czuła, że ciemność podchodzi jej do gardła; i zaczynają dusić.

- Dina? Niech to wszyscy diabli! — Clay uwolnił ją z uścisku. - Co ty wyprawiasz? Mogłem ci coś zrobić.

Usłyszał, że chce mu coś powiedzieć i poczuł, że jej palce zaciskają mu się na udzie. Mówiła coś do niego ledwo słyszalnym, urywanym szeptem, głos z trudem wydobywał się jej z krtani, a paznokcie tak mocno wżynały mu się w ciało, że z trudem powstrzymywał okrzyk bólu. W końcu Dina przerwała, wzięła parę oddechów i spróbowała jeszcze raz.

- Ktoś jest w salonie...

Widział tylko zarys postaci dziewczyny przed sobą, ale cały pokój aż wibrował jej strachem. Odgiął delikatnie zaciśnięte palce Diny, pogładził jej dłoń i szepnął:

- Podaj mi szlafrok. Leży w nogach łóżka.

- Zadzwoń po policję.

- Miną wieki, zanim przyjadą. Sam zejdę zobaczyć, co się dzieje.

- Staraj się mówić cicho i spokojnie, - A teraz podaj mi, proszę, szlafrok i zostań tu.

- Idę z tobą. A po co ci szlafrok?

- Dina, jestem goły. A ty zostajesz tutaj.

To byłby intrygujący widok, pomyślała mimo woli, zapominając na chwilę o strachu i sięgając za siebie. Niech diabli porwą te ciemności.

Clay wysliznął się z łóżka i owinął ciasno szlafrokiem, zawiązując pasek.

- Nie ruszaj się stąd - nakazał.

Poczekwała, aż wyjdzie i skręci na korytarz, i natychmiast wymknęła się za nim. Za nic w świecie nie zamierzała zostawać sama w tym ciemnym pokoju. Kiedy znalazła się u szczytu słabo oświetlonych schodów, nogi zaczęły drżeć pod nią niebezpiecznie i musiała usiąść na pierwszym stopniu. Wyteżyła słuch.

Dlaczego jest tak cicho? Chyba Clayowi nic się nie stało? Logicznie rzecz biorąc, nie ma go dopiero od paru chwil. A jeśli spotkało go coś złego? Ogarnął ją niepokój i już zbierała siły, żeby zejść na dół, kiedy w domu zaczęły rozbłyskać światła, Poczekwała, aż wszędzie będzie jasno i dopiero kiedy Clay do niej podszedł, spytała:

- No i co?

Nie wiedział, czy powiedzieć prawdę. Instynktownie pragnął ją chronić, a to znaczyło, że musiałby skłamać. Przypomniawszy sobie jednak, że obiecał być z nią szczery.

- Ten ktoś wszedł przez kuchnię.

Mimo wszystko nie powiedział jej, że nieproszony gość otworzył nowy, solidny zamek o skomplikowanym mechanizmie, zdolnym zniechęcić najbardziej upartego włamywacza. Musiał to

zrobić zawodowiec, bo na lśniącym mosiądzu zostało jedynie parę niewielkich zarysowań. Ciekawe, czy Bob potwierdzi jego hipotezę.

- Widziałeś go?

Dina dygotała; objął ją i przytulił.

- Nie, usłyszał mnie i uciekł. Musimy sprawdzić, czy coś nie zginęło.

- Co miałyby zginąć? - Roześmiała się gorzko. - Jakiś stary mebel? Nie ma tu nic wartego kradzieży. Poza tym te odgłosy dochodziły tylko z salonu.

- Tak czy owak, musimy się rozejrzeć. Jeśli nic nie wzięliśmy, to czegoś szukał, a mamy tu mnóstwo papierów twojej babki, które przyniosłem z biura.

Dina poczuła, że jej napięcie słabnie.

- Przynajmniej tym razem mi ufasz.

- Zawsze ci ufałem.

Zdawało się, że minęło o wiele więcej czasu niż tydzień od dnia, kiedy powiedziała mu o mężczyźnie w alejce, który ją śledził. Od tej pory Clay i Bob nie spuszczały dziewczyny z oka, ale żaden nie zauważył w pobliżu łysawego mężczyzny ani w ogóle nikogo, kto by wykazywał jakieś szczególne zainteresowanie jej osobą. Miała wrażenie, że zaczęła wyczuwać w ich głosach zwątpienie, kiedy ostatnio pytali o mężczyzn z rysunków.

- Nie wiem jak ty - powiedział Clay - ale ja w żaden sposób nie potrafiłbym teraz zasnąć. Może napijemy się kawy?

Z niechęcią myślał o wypuszczeniu Diny z ramion, ale z drugiej strony jej bliskość zbyt go podniecała i zdawał sobie sprawę, że musi się odsunąć, żeby znów nie stracić głowy.

- Jeśli ty ją zaparzysz - rzekła półgłosem, czując przenikliwy chłód, kiedy ją puścił.

- Z przyjemnością.

Popatrzył na jej strój i uśmiechnął się.

- Co cię tak śmieszy?

Zerknęła w dół na długą, męską bawełnianą koszulkę, w której spała. Miękka tkanina przylegała do jej ciała, nie pozostawiając wątpliwości co do zarysów figury i chociaż sięgała za kolana, nic nie przeszkadzało dojrzeć ekscytujących krągłości pod spodem. Clay pomyślał w duchu, że powinien był wiedzieć, iż ta dziewczyna będzie wyglądała równie ponętnie i pociągająco w obszernej koszulce, jak w ekskluzywnej, jedwabnej bieliźnie.

Kiedy kawa bulgotała w ekspresie i jej aromat rozniósł się po kuchni, poszli do salonu rozejrzeć się, czy coś nie zginęło. Na środku pustego pokoju stały dwa metalowe stoły, obok w nieładzie pięć składanych krzeseł. Blaty stołów zaścielały porozkładane papiery z na wpół opróżnionych segregatorów- Clay podszedł, przyglądając się im bliżej. Chociaż na pozór panował tu bałagan, był to jego własny bałagan, w którym wszystko miało swoje miejsce.

- Stąd nic nie zginęło - stwierdził. - Opowiedz mi jeszcze raz, co usłyszałaś. Co cię obudziło?

- Nie spałam, kiedy usłyszałam ten odgłos. Rozejrzała się jeszcze raz po salonie. Zastony były ciasno zaciągnięte przed wścibskimi oczami, w pokoju było mroczno i ponuro. Jediną jego ozdobę, jeśli można to tak nazwać, stanowiły jej szkice, wiszące na gołej ścianie. Bob i Clay uważali, że są ważne. Za każdym razem, kiedy wykonała nowy rysunek, Bob robił jego fotokopię i wieszał na ścianie w pozornie przypadkowych miejscach. Dopiero po kilku dniach zorientowała się, że umieszcza je w chronologicznym porządku, obrazującym jej życie.

Wpatrywała się w nie teraz nie widzącym wzrokiem, kiedy nagle coś ją tknęło. Cofnęła się pół kroku, wpadając na metalowe krzesło, które z piskiem gumowych podkładek przesunęło się po podłodze. Ale jej uwaga była skierowana na ścianę.

- Clay - powiedziała, nie odwracając głowy. -Clay, on wziął moje rysunki.

- Co takiego? - W mgnieniu oka znalazł się przy niej.-Które?

- Te, które zrobiłam w bibliotece.

- Niech mnie diabli.

- Ale dlaczego? - spytała. - Dlaczego właśnie te?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Sądził, że wie, tylko chciał to najpierw przedyskutować z Bobem. Dotknął jej ramienia. - Kawa jest już gotowa. Nie potrafię myśleć jasno, dopóki nie wypiję porannej filiżanki.

Podczas śniadania nie spuszczała z niego wzroku. Obserwowała sposób, w jaki się poruszał kompletując niezbędne naczynia, grzebiąc

w szeroko otwartej lodówce w poszukiwaniu potrzebnych produktów. Był równie zagubiony w kuchni jak ona, ale pasował do domowego wnętrza. Ugryzła nadpaloną grzanekę - specjalny przysmak tego domu, jak zażartował Clay. Zaczynało jej się to podobać. Skończyła jeść i oznajmiła:

- Mam już dość tych pustych pokoi. Idę dziś kupić jakieś meble.

Clay podał jej poranną gazetę.

- Dobrze, ale nie...

- Wiem: nie sama - dokończyła i rozłożyła gazetę na stole. -

Może Bob albo William, albo jeden z synów Williama wybiorą się ze mną. - Ledwo wypowiedziała te słowa, a zrobiło jej się przykro. -

Przepraszam, ale tak długo żyłam, obcując głównie z sobą, że teraz nieustanne towarzystwo trochę działa mi na nerwy.

Z powodu tego mężczyzny w alejce Clay i Bob doszli do wniosku, że pod żadnym pozorem nie wolno ani, na chwilę jej zostawiać. Bob sprawował nad nią pieczę w ciągu dnia, Clay zostawał na wieczory i noce. William, szofer starego Lamberta i jej przyjaciel, wydelegował swoich synów, którzy mieli przedsiębiorstwo budowlane, do prac remontowych przy domu. Nawet sam William, który jej zdaniem był już za stary, żeby się bawić w pomocnika do wszystkiego, chodził po drabinach, pielęgnował klomby i w wolnym czasie przycinał żywopłot. Jej trawnik był koszony praktycznie codziennie, co musiało nieco dziwić sąsiadów.

Jednak mimo obserwacji i wyczekiwania przez cały tydzień nic niezaszło - aż do dziś. I niemalże poczuła ulgę. Przynajmniej zarówno

ona, jak i wszyscy inni przekonali się, że jej obawy nie były wysane z palca.

Podniosła głowę znad gazety i zobaczyła, że Clay patrzy na nią z uśmiechem. Uwielbiał patrzeć na nią rano: na jej zaróżowione po myciu policzki; na burzę jeszcze nie ujarzmionych, jasnych włosów; na sposób, w jaki gryzła z wolna grzanekę, pochłaniając przy tym łąpczywie gazetę, słowo po słowie, kolumnę po kolumnie.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś poświęcał tyle zainteresowania prasie codziennej.

W pierwszej chwili rozłościła ją ta uwaga, ale zaraz zdała sobie sprawę, że tak naprawdę Clay niewiele wie o tym, jak wyglądało jej życie w sanatorium.

- Czytam gazety, bo przez dziesięć lat było to dla mnie jedyne wiarygodne źródło informacji i wiadomości o świecie.

- Ale przecież chodziłaś do szkoły, a potem nawet do college'u. Musieliście omawiać na lekcjach aktualne wydarzenia, bieżącą politykę, a potem dyskutować o tym w gronie przyjaciół.

Dina roześmiała się z goryczą.

- Clay, w naszym systemie edukacyjnym kładzie się nacisk na daty i fakty, a nie przyczyny i skutki. A co do przyjaciół, to ich nie miałam. Pamiętaj, gdzie mieszkałam. Kiedy reszta klasy zbierała się po lekcjach, ja wracałam do sanatorium.

- A telewizja? Mówiłaś, że ją oglądałaś.

- Tak, ale nie miałam telewizora w moim domku i wszystko, co oglądałam, było ściśle nadzorowane przez doktora Greshama. -

Widziała, że Clay dalej nie do końca rozumie. - Posłuchaj, normalny człowiek ogląda, co chce. Jeśli mu się coś nie podoba, może zmienić program. Mnie nie wolno było oglądać wiadomości, ponieważ przez tak długi okres głównym tematem była wojna w Wietnamie. Doktor uważał, że to zbyt drastyczne, a poza tym był przeciwny demonstracjom pacyfistów. Sam służył w wojsku i był zdania, że wszystkich pacyfistów należy rozstrzelać. Kiedy zabito Luthera Kinga i prezydenta Kennedy'ego, nie mogłam obejrzeć ich pogrzebów, bo mogłoby to źle wpłynąć na moje samopoczucie. Prawdziwy powód był jednak taki, że doktor Gresham jest rasistą i gardził nimi oboma.

Im więcej Clay słyszał o Greshamie, tym bardziej mu się nie podobał. Trudno było uwierzyć, że jeden człowiek mógł mieć taką nieograniczoną kontrolę nad czyimś życiem.

- Nie mogłam obejrzeć festiwalu w Woodstock, marszów protestacyjnych w Waszyngtonie ani postawienia w stan oskarżenia prezydenta Nixona. O śmierci Jimiego Hendrixa i Janis Joplin dowiedziałam się z gazety. Nie widziałam przesłuchań w sprawie Watergate ani obchodów końca wojny. Nie widziałam setek innych wydarzeń i dowiadywałam się o nich jedynie z prasy.

- Gresham nie kontrolował tego, co czytasz? Dina roześmiała się.

- Chyba żartujesz. Gdyby nie Raul, Mary i parę innych osób, w ogóle nie miałabym nic do czytania.

Clay pochylił się nad stołem i ścisnął Dinę za rękę.

- Chętnie udusiłbym tego faceta.

- Teraz już rozumiesz, dlaczego nie cierpię doktora Greshama i dlaczego byłam tak przerażona na myśl, że musiałabym tam wrócić? Rządził moim życiem, Clay. Od samego początku stosował wobec mnie takie swoje gierki, starając się wmówić mi to, czego nie pamiętałam. Dość wcześnie nauczyłam się sobie z tym radzić. A skoro już mówimy o prasie, jak to się stało, że w związku z morderstwem Danny'ego Hudsona nie padło w niej moje nazwisko?

- Nie tylko Bob, ale i ja mam swoich znajomych w odpowiednich miejscach. Po prostu wykonałem parę telefonów i zagroziłem wytoczeniem procesu w razie zniesławienia.

Zdał sobie sprawę, że na swój sposób przeszła podobne piekło jak on w Wietnamie. I obojgu udało się wyjść cało z opresji. Im bliżej ją poznawał, tym bardziej podziwiał jej siłę, inteligencję i poczucie humoru. Niecierpliwie oczekiwał spędzanych z nią wspólnie poranków. Delektował się jej widokiem przy śniadaniowym stole. Zaczynał podejrzewać, że chyba się zakochał, ale nic na to nie mógł poradzić. W każdym razie z pewnością nie zamierzał się z tym zdradzać.

- Widzę, że się zamyśliłaś - powiedziała, zbierając swoje naczynia. - Chcesz o czymś porozmawiać?

- Nie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Nie ukrywasz niczego przede mną? Oczywiście dla mojego własnego dobra.

- Tylko parę drobiazgów, ale kiedy je rozwiążę, wszystko ci powiem - roześmiał się.

Wszystko w niej mu się podobało: sposób, w jaki przekrzywiła głowę, gdy słuchała; drganie kącików warg, gdy starała się zachować powagę, choć chciało jej się śmiać; figlarny błysk w oku, kiedy miała coś w zanadru. Zauważył, że uśmiecha się przez cały czas, kiedy z nią jest.

Zaniósł swoje naczynia do zlewu i spojrzał na zegar na ścianie.

- Pójdę wziąć prysznic i ubiorę się. Muszę jechać do biura i wziąć się do roboty. Bob obiecał, że przyjedzie wcześniej, ale zadzwonię i spytam, czy nie może być już.

- Clay, jest wpół do szóstej.

Nie słyszał jej lub udawał, że nie słyszy. Stał już przy telefonie.

- To dziwne - mruknął. - Boba nie ma. - Popatrzył groźnie na aparat, jakby chciał zmusić go do przywołania przyjaciela. W końcu wzruszył ramionami. - Idę wziąć prysznic. - Zatrzymał się w drzwiach.

- Młody człowiek imieniem Herbert Snow ma zabrać wszystkie akta dziadka dotyczące sprawy Deveraux, i przywieźć je tutaj.

Zapomniałem powiedzieć o tym Williamowi i Bobowi. Zrób to za mnie, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się. - I pozmywam naczynia

- zawołała za nim - nawet jeśli to twoja kolej.

Clay wetknął z powrotem głowę do kuchni.

- Jesteś aniołem. Następnym razem wezmę na siebie podwójne obowiązki.

- Tak się tylko mówi. Obiecanki-cacanki. Wiedziała doskonale, że się z nim drażni, ale nie mogła się powstrzymać. Nie mogła też oderwać od niego wzroku. To jakaś magia, pomyślała.

Nęcący ton jej głosu, dwuznaczna nutka, erotyczna zachęta, jaką usłyszał, przygwoździły Claya do miejsca. Gdzieś w głębi duszy mówił sobie, że nie powinien robić tego pierwszego kroku, ale ciągnęło go do niej z taką siłą, jakby to było poza jego kontrolą. Wszystkiemu są winne długie, bezsenne noce, kiedy leżąc obok w drugim pokoju wyobrażał sobie Dinę w jej łóżku, a potem w myślach przenosił ją do siebie. Teraz magnetyzm dziewczyny zadziałał z podwójną mocą, każąc mu zapomnieć o wszystkim, podejść do niej i delikatnie wziąć ją w ramiona.

Jej usta były miękkie, pełne słodyczy i rozchyliły się natychmiast. Nie wahając się dłużej niż ułamek sekundy, wsunął język między jej wargi i pocałował ją namiętnie, przyciągając bliżej do siebie, czując, jak jej ciało lgnie do niego. Dina była w stanie ekstazy. Czowała, że drży i stoi na miękkich nogach. Zarzuciła mu ręce na szyję i wsunęła dłoń we włosy, rozkoszując się ich gęstością i jedwabistym dotykiem.

Kiedy pocałunek stał się jeszcze gorętszy, przytuliła się mocniej, jakby chciała wtopić się w jego ciało. A kiedy się skończył i Clay podniósł głowę, poczuła gorzkie rozczarowanie. Otworzyła oczy i zobaczyła, że patrzy na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- No, no - wykrztusiła w końcu i uśmiechnęła się.

- Właśnie. No, no.

Odsunął się, zawstydzony. Chciał ją jakoś przeprosić, ale nie mógł znaleźć słów, żeby wytłumaczyć swoją reakcję i to, co się z nim dzieje. Coś mu kazało nie tylko pocałować Dinę, ale sprawdzić, czy zdoła doprowadzić ją do punktu wrzenia. A teraz musiał jakoś taktownie się wycofać, kiedy jedyne, czego pragnął, to zanieść dziewczynę do łóżka i kochać się z nią.

- Pójdę wziąć zimny prysznic.

- To może być szok dla organizmu - powiedziała, nieco zdziwiona emanującym z niego napięciem.

- Właśnie o to chodzi. Sama spróbuj i zobaczysz; co mam na myśli.

Zrobiła dobrą minę do złej gry, ale nie rozumiała, co się dzieje i konsternacja w jej oczach ścisnęła go za serce. Nie mógł dopuścić aby myślała, że zrobiła coś, co go odsunęło. Wciąż trzymając się na dystans, pochylił się i pocałował ją delikatnie w czoło.

- Chętnie zostałbym tu i całował cię cały ranek, ale muszę iść do pracy.

Zmusił się do wyjścia z kuchni, cały czas modląc się w duchu, żeby starczyło mu siły woli na dotrzymanie danej sobie obietnicy. Przygnieciony wyrzutami sumienia czuł się jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Gdyby to było możliwe, wymierzyłby sobie porządne kopniaka za wykorzystanie jej braku doświadczenia.

Sfrustrowana i zła, czując dziwną pustkę, a jednocześnie radość, Dina patrzyła za nim, zastanawiając się, jak jeden i ten sam

mężczyzna może wywołać w kobiecie tyle sprzecznych emocji.
Będzie musiała porozmawiać o tym z Mary.

Stała później w drzwiach salonu i obserwowała Claya, pakującego plik papierów do teczki. Był ubrany w trzyczęściowy garnitur, swój zawodowy uniform. Zawsze ją to dziwiło, jak osobowość mężczyzny zmienia się wraz z jego strojem. Widywała Claya w różnych strojach i sytuacjach: w szortach, bosy, w dżinsach, w koszulce. Pomagał jej plewić klomby i sprzątać, wygłupiając się i żartując. Razem starali się rozszyfrować przepisy kucenne, bo żadne z nich nie umiało gotować. I wystarczyło, żeby włożył garnitur, a całe jego zachowanie diametralnie się zmieniało, nawet tembr głosu. Powiedziała mu, że to zdumiewające. Roześmiał się, mówiąc, że mężczyzna musi mieć swoje przebrania, pod którymi się kryje. Uznała, że to bardzo smutne.

Zakaszła, żeby zwrócić jego uwagę i uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrział.

- Wiem już, co miałeś na myśli, mówiąc o zimnym prysznicu - powiedziała. - Rzeczywiście rozjaśnia umysł i koi... nerwy.

Clay przeprowadził z sobą długą rozmowę i czuł, że opanował sytuację.

- To świetnie. Czy Bob nie dzwonił? Zignorowała jego pytanie.

- Może moglibyśmy razem wziąć ten prysznic i zobaczyć, co się stanie.

Na chwilę Clayowi odjęło mowę, a obraz, jaki stanął mu przed oczami, podniósł temperaturę jego ciała o dobrych kilka stopni.

Spojrzał na nią, zobaczył w jej oczach znane złośliwe iskierki i roześmiał się, potrząsając głową. Wytłumaczył sobie, że Dina wypróbować na nim swoje kobiece sztuczki, swój wpływ na mężczyzn, by tak rzec. Ale nie chciał, żeby próbowała tego na kimś innym. Będzie tylko musiał opanować frustrację i żar ciała.

- Któregoś dnia doigrasz się.

- Obiecanki...

Clay porwał teczkę i ruszył do frontowych drzwi:

- Przestań. Bawiliśmy się w to już w kuchni. Poczekam na Boba na ganku.

Poranne powietrze owiało kojącym chłodem jego rozpaloną twarz. Może porwał się na więcej, niż da radę znieść.

Dina uśmiechnęła się do siebie, decydując, że co za dużo to niezdrowo, i wyszła za nim na werandę. Usiadła na poręczy, machając bosymi stopami.

- Czy będziesz w pracy cały dzień?

Jej dzinsy są za ciasne, a bluzka za cienka, pomyślał, odwracając wzrok na ulicę.

- Nie. A ty co będziesz robić?

Boże drogi, rozmawiają jak stare małżeństwo.

- Chcę iść po sprawunki, zapomniałeś?

- Ale nie sama...

- Wiem, wiem. Wezmę Boba albo Williama. Muszę kupić jakieś meble. Dom w tym stanie mnie przygnębia.

Przypomniała sobie o nocnym gościu i w jej głowie ożyły na nowo wszystkie ostrzeżenia Claya i Boba. Nie była idiotką i nie zamierzała stawać się dla nikogo łatwą ofiarą.

- Kup nową książkę kucharską - powiedział. - Jakaś łatwą, może taką dla dzieci, żebyśmy coś z niej zrozumieli. Albo spytaj kogoś, co to znaczy przesiać mąkę czy ubić białka.

Dina skinęła głową. Dla niej też przepisy kryły w sobie mnóstwo zagadek. Siedzieli w milczeniu, rozkoszując się ciszą, poranka. Clay huśtał się w bujanym fotelu, a ona ze swej pozycji na poręczy kołysała do rytmu bosą stopą. Oboje byli tak zatopieni w myślach, że kiedy podjechał Bob, zauważyli go dopiero w ostatniej chwili.

- Nie wiedziałem, że taki ranny z ciebie ptaszek!

- zawołał Clay. - Dzwoniłem do ciebie o wpół do szóstej rano, ale...

Urwał, patrząc z niedowierzaniem, że Bob pomaga wysiąść z auta towarzyszącej mu Mary. Zerknął na Dinę, czy zdaje sobie sprawę z wymowy tego faktu w połączeniu z nie odebraniem wcześniej telefonem.

Dina starała się ukryć uśmiech. Spojrzała na Claya i mrugnęła porozumiewawczo, a potem zeskoczyła z barierki i stanęła obok niego. Bob i Mary uciekali przed nimi wzrokiem, więc szturchnęła Claya łokciem, szepcząc:

Nie wprawiaj ich w zakłopotanie.

Skinął głową.

- Bob, musisz zadzwonić do któregoś z twoich znajomych i poprosić, żeby przyszedł sprawdzić zamek w drzwiach kuchennych. O czwartej nad ranem mieliśmy nieproszonego gościa.

- Jasny gwint!

Bob chwycił Mary pod ramię, żeby pomóc jej pokonać schody, ale się wyrwała.

- Nic mi nie jest i potrafię sobie sama poradzić, więc nie rób ze mnie kaleki. Lekarz powiedział, że już prawie całkiem wróciłam do zdrowia. Jak się czujesz? - zwróciła się do Diny.

- W porządku. Clay go spłoszył. - Dinę bardzo korciło, żeby zrobić wobec Mary jakąś aluzję, ale ugryzła się w język. - W każdym razie ten ktoś ukradł parę moich rysunków. Chodźcie, pokażę wam.

Poszli w czwórkę do salonu i zaczęli oglądać szkice wiszące na ścianie.

- Dziwne, że wziął tylko rysunki z biblioteki - zauważył Bob i spojrzał na Claya. - Czy nie te same, których kopie dałem sędziemu Harrisonowi?

- Tak, te same. I jedyne, co miały ze sobą wspólnego, to obecność tego łysego mężczyzny. Ale spójrz tutaj, - Wskazał na dół ściany. - Tu też są jego szkice, te, które Dina zrobiła w alejce. Czemu ich nie wziął?

Dina, która uważnie przysłuchiwała się rozmowie, nagle znalazła odpowiedź.

- Bo nie chodziło o tego łysego, Clay, tylko o tego drugiego. Tego, którego narysowałam tak szczegółowo i dziwiłeś się dlaczego.

- Masz rację. A więc to znaczy, że śledzi cię dwóch mężczyzn.

- Raczej cała drużyna futbolowa - powiedział Bob i

poniewczasie tego pożałował. - Właśnie miałem wam powiedzieć, że kiedy zaniósłem kopie rysunków Diny sędziemu Harrisonowi, spotkałem tam kilku agentów federalnych, którzy pomagali mu robić porządek z papierami sędziego Jonesa. Kiedy zobaczyli te rysunki, bardzo się podniecili. Nie chcieli się przyznać, czy znają któregoś z tych mężczyzn, ale myślę, że coś wiedzą. W każdym razie wczoraj, w tym pustym domu naprzeciwno... wiecie, o którym mówię? -

Począł, aż przytakną i ciągnął: - No więc w tym domu pojawiła się nagle jakaś para. Zdjęli tablicę, że dom jest wystawiony na sprzedaż i wprowadzili się. Poprosiłem Williama i jego chłopaków, żeby obserwowali, co się dzieje. I co się okazuje? Światło i woda zostały włączone, ale jedyne meble, jakie przywieziono, to dwa krzesła.

Dina patrzyła na nich nie rozumiejącym wzrokiem. Może Clay i Bob umieją się porozumiewać za pomocą telepatii, ale jej najwyraźniej coś tu umykało. Spojrzała na przyjaciółkę, która jako starsza i mądrzejsza może lepiej ich zrozumiała, ale Mary wyglądała na równie skonfundowaną.

- Co to wszystko znaczy? - spytała w końcu.

Clay mimo woli objął dziewczynę ramieniem; ale pod wpływem karcącego wzroku Mary natychmiast opuścił rękę.

- Ta para to agenci federalni. Obserwują nasz dom i kiedy wyjdiesz, zapewne będą cię śledzić.

- No to wprost fantastyczne! - Musiała się roześmiać. - Chcesz mi powiedzieć, że gdziekolwiek się ruszę, będzie mi towarzyszyć dwóch nie znanych mi mężczyzn oraz ty, Bob albo William, może jeszcze synowie Williama plus dwóch agentów federalnych?

Bob też zaczął się śmiać z obrazu, jaki odmalowała Dina.

- Dodaj jeszcze do tego orszaku naszą kochaną policję. Raz i drugi widziałem już kręcącego się tu mojego dawnego kolegę.

- No to świetnie - oświadczyła Dina. - Wobec tego jestem całkiem bezpieczna, nie uważacie?

Odpowiedziało jej zbiorowe: „Nie!”, tak głośne, że aż podskoczyła.

Clay wziął teczkę i pocałował ją w czoło, odpierając dzielnie wzrok Mary.

- Pilnuj się i pamiętaj, czego cię Bob nauczył.

- Clay; poczekaj jeszcze chwilę - poprosiła Mary.

- Muszę wam coś powiedzieć. - Spojrzała na Dinę z widocznym strapieniem. - Wczoraj odeszłam z pracy w sanatorium.

- Och, Mary! Co teraz będziesz robić?

Clay był już zniecierpliwiony i patrzył na zegarek, ale coś we wzroku Boba kazało mu się zatrzymać.

- Dina - zaczęła Mary, ignorując skierowane na nią stroskane spojrzenia. - Wybacz mi, że nie powiedziałam ci tego wcześniej, ale do tej pory nie wiedziałam, komu mogę zaufać i mieć pewność, że ci pomoże.

- Chwyciła przyjaciółkę za rękę i przyciągnęła do siebie. - Tuż przed twoim wyjściem z sanatorium usłyszałam coś. Dostaliśmy nowy dyktafon dla doktora Greshama. Nie znałam się jeszcze dobrze na jego obsłudze i przez pomyłkę nie wyłączyłam go, kiedy doktor Gresham skończył dyktować swój codzienny raport. Dopiero kiedy to przepisywałam, zobaczyłam, co się stało. Urządzenie było cały czas włączone i nagrało jego rozmowę telefoniczną. Dina, ten człowiek meldował komuś, że cię zwolnili, wyrażając się o tobie w bardzo nieprzyjemny sposób. Widać było, że rozmawia z tym kimś nie po raz pierwszy. Ze sposobu, w jaki mówił i odpowiadał na pytania, było widać, że robił to już wcześniej i że jego rozmówca dużo o tobie wie.

Poczuła, że dłonie Diny wiotczeją w jej rękach i ścisnęła je mocniej.

- Wzięłam tę taśmę do domu i schowałam. Proszę cię, uwierz mi, że w każdej chwili byłam gotowa okazać ją, gdyby ktoś chciał wysłać cię z powrotem do sanatorium. - W oczach Mary zabłyśły łzy. - Ale i tak powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej.

Dina, zszokowana faktem, że doktor Gresham omawiał jej przypadek z kimś obcym, stała w milczeniu, zastanawiając się, kto to mógł być, kiedy nagle zorientowała się, że wszyscy patrzą na nią wyczekująco. Uścisnęła szybko przyjaciółkę.

- Wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdziła, Mary. Myślałam tylko nad tym, z kim doktor Gresham rozmawiał.

- Raczej składał sprawozdanie, sądząc z tonu jego głosu - wtrącił Bob. - Mary puściła mi wczoraj tę taśmę i poprosiłam ją, żeby odeszła

od Greshama, ponieważ mam zamiar dobrać mu się do skóry. Ten facet nie powinien być lekarzem.

- Dlaczego człowiek o reputacji i inteligencji Greshama miałby ryzykować swoją karierę, przekazując komuś wiadomości o Dinie? - zastanawiał się głośno Clay.

- Najpewniej dla pieniędzy - warknął Bob. Słuchajcie, dziś po południu będę miał wyciągi z jego konta. Jeden z moich znajomych pracuje w banku, gdzie Gresham ma konto. Dostanę także wykaz numerów, na jakie dzwoniło z sanatorium przez ostatnie dziesięć lat.

- Tylko mi nie mów, że masz znajomego w telekomunikacji - powiedziała Dina.

- Jasne, że mam. Pójdziemy teraz na całość, więc lepiej załatw dzisiaj swoje sprawy w mieście, bo od jutra będziesz pod kluczem w domu. - Przewidując sprzeciw, podniósł rękę. - Tak musi być i basta.

- Naprawdę muszę już iść; - Clay pocałował Dinę w policzek i szepnął: - Bądź ostrożna. - Mijając Boba, spytał cicho: - Masz wszystko pod kontrolą?

- Jasne, że nie - odmruknął Bob. - Ale przyjemnie jest przez chwilę pomyśleć, że tak.

- No cóż, pilnuj jej, Bób.

Dina odprowadziła wzrokiem jego odjeżdżający samochód, po czym zaraz chwyciła Mary za rękę, zaciągnęła ją na górę do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

- Muszę cię o coś spytać... Jak to jest, kiedy się człowiek zakocha?

Mary zaczerwieniła się i usiadła na brzegu łóżka.

- Widzę, że domyśliłaś się, co zaszło między mną a Bobem. Ale jestem starsza i...

-Nie chodzi o ciebie, Mary. Chodzi o mnie. Wydaje mi się, że jestem zakochana. Czy robi ci się w środku tak ciepło i miękko, kiedy Bob cię całuje?

- Mnie do tego nie mieszaj. A poza tym nie mówisz o miłości, tylko o seksie. Czy Clay cię napastuje? Wiedziałałam, że nie powinien zostawać tu z tobą na noc. Gdybym się nie rozchorowała...

- Napastuje? Skądże znowu! Jeszcze raz mnie pocałował. I mówię ci, Mary, cała stanęłam w ogniu!

- To nie jest miłość - powtórzyła Mary ze złością. Była pewna, że dogadała się z Clayem, ale jednak najwyraźniej będzie musiała porozmawiać z nim jeszcze raz.

- Płonęłam cała od stóp do głów.

Mary zagryzła wargi, powstrzymując uśmiech.

- To jeszcze nie miłość.

- To była magia. Inaczej tego nie potrafię opisać. Czysta magia.

Po prostu unosiłam się w powietrzu.

- Myślałam, że płonęłaś?

- To też.

- To się nazywa pożądanie, nie miłość;

- Mary! - Dina spojrzała na nią groźnym wzrokiem. - Jak możesz tak mówić? Za każdym razem, kiedy na niego patrzę, targa mną burza uczuć. - Chwyliła przyjaciółkę za ramię. - On śpi bez niczego.

- O Boże! - jęknęła Mary, zamykając oczy. - Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, skąd to wiesz.

- Nie mogę w nocy zasnąć i cały czas myślę o tym, że on jest w sąsiednim pokoju. Nachodzą mnie różne fantazje. Mówię ci, że to miłość.

- To pożądanie, Dino- powtórzyła Mary, ale tym razem z mniejszym naciskiem. Uśmiechnęła się dyskretnie do swoich sekretnych wspomnień i przymknęła oczy. - Czyż to nie cudowne uczucie?

Scandalous

Bob Spencer był silnym, potężnie zbudowanym mężczyzną, pełnym wigoru i energii. Zniósł trudy wojny i pracy w policji, ale z dotychczasowych doświadczeń żadne nie przygotowało go na udrękę robienia zakupów z dwoma kobietami, zdecydowanymi wydać trochę pieniędzy. Woził je przez pół miasta od jednego sklepu do drugiego w poszukiwaniu właściwych materiałów, a potem z powrotem, żeby mogły porównać tkaninę, wzór i kolor. Wlókł się za nimi przez całe kilometry magazynów z meblami, aż zaczęło mu się kręcić w głowie. Bolał go kręgosłup, dręczyło pragnienie i ledwo powłóczył nogami, a nie minęło jeszcze południe.

Spojrzał na Mary idącą przed nim na szpilkach i westchnął: ma świetne nogi. Nie rozumiał jednak, jak kobieta, która dopiero przeszła zapalenie płuc, która była zbyt słaba, żeby odkurzyć mieszkanie i prosiła, by to za nią zrobił, ma teraz siły na ten maraton, Dina przynajmniej miała na tyle rozumu, żeby włożyć wygodne buty. Myśl, że ci, którzy ją śledzą, są najpewniej zmęczeni tak samo jak on, przywróciła go do rzeczywistości.

Przypomniał sobie o grożącym niebezpieczeństwie i przyspieszył kroku, doganiając kobiety, które zdążyły zostawić go daleko w tyle. Przez cały czas rozprawiały z sobą, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, więc zmusił się teraz, żeby posłuchać, o czym mówią i w ten sposób dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

- Clay chciał nam podać takie same steki z grilla, jakie kiedyś zrobił Bob - mówiła Dina, trzymając przyjaciółkę pod rękę. - Ale nie pamiętaliśmy, jak długo Bob je piekł. Po jakimś czasie Clay przyniósł je do stołu i zaczęliśmy jeść, ale były zupełnie surowe w środku, więc znów położył je na grillu. Próbowaliśmy tak parę razy, zanim były gotowe. Smakowały nawet całkiem nieźle, tylko były trochę przypalone i twarde, a mięsa zostało nie więcej niż połowa. Ale Clay powiedział, że następnym razem zrobi je tak jak trzeba, wyliczając, jak długo były na grillu i odejmując ten czas, który nam zajęło próbowanie. Ja też miałam mały problem, bo jeden z kartofli, które włożyłam do piekarnika, wybuchł. Zdaje się, że jak w przepisie jest napisane: „Piec w temperaturze 180 stopni”, to przy 260 stopniach nie upieką się szybciej.

Bob z przerażeniem patrzył, jak Mary staje na środku promenady z ekskluzywnymi sklepami i zaczyna się tak śmiać, że łzy ciurkiem płyną jej po policzkach.

Robimy z siebie nieźle widowisko, pomyślał, odchodząc na bok i udając, że nie ma z kobietami nic wspólnego. Jednocześnie, wykorzystując ten chwilowy postój, zaczął się dyskretnie rozglądać za tymi, którzy ich śledzili.

Parę agentów federalnych zauważył na promenadzie już wcześniej, ale nie pamiętał, w którym sklepie. Gdzieś po drodze wypatrzył też łysego mężczyznę i dużo go kosztowało, żeby natychmiast go nie dopaść, ale nie mógł zostawić Diny i Mary bez ochrony. Zresztą stary i tak już ledwo zipał. Jednak ten, na którym

najbardziej mu zależało, pozostawał w cieniu - ale na pewno tu jest i nie spuszcza ich z oka. Przynajmniej nie widać tu dziś policji, pomyślał Bob i naraz zdał sobie sprawę, że kobiety znów odeszły, zostawiając go w tyle. Z ciężkim westchnieniem ruszył za nimi.

W tym momencie Mary zauważyła w Dinie nagłą zmianę. Poszła za jej wzrokiem i kiedy Dina chciała przyspieszyć kroku, przystanęła i zmusiła ją do zatrzymania się.

- Tak czy owak, nie unikniesz tego.

- Do tej pory mi się udawało. - Pociągnęła przyjaciółkę za ramię.

- Chodźmy.

- Nie. Myślę, że czas stawić czoło demonom przeszłości.

Dina, patrzyła na sklep przed sobą: „Fleur”. Dwa okna wystawowe, artystycznie udekorowane, ukazywały manekiny we wdzięcznych pozach, ubrane już w stroje z akcentami jesieni. Sklep stał w najbardziej eksponowanym i eleganckim miejscu promenady, o które jej babka starała się jeszcze, zanim cały obiekt handlowy został wybudowany. Chciała się przenieść z bocznej dzielnicy do samego centrum i zaprojektowała już nawet całe nowe wnętrze salonu. Marzyła, że będzie tu błyszczał pośród innych ekskluzywnych sklepów i zdobędzie najelegantszą klientelę.

Chociaż sama tego nie dożyła, jej asystentka Lamar Maxell i stary Lambert wcielili to marzenie w życie, stosując się ponadto dokładnie do jej projektu. Dina w gruncie rzeczy cieszyła się nową sławą sklepu, ale nie miała ochoty odwiedzać go osobiście.

- Agatha Deveraux była jędzą - powiedziała. - Nawet moja matka, jej własna córka, niezbyt ją lubiła. Jej jedyną pasją był ten sklep i nie obchodziło jej nic ani nikt więcej.

- Jednak nauczyła cię projektować i szyć:

- Tak, ale nie kierowały nią żadne szlachetne pobudki. Po prostu zaprzęgała mnie do pracy i zmusiła do harowania od świtu do nocy. Byłam jeszcze dzieckiem i jej wnuczką, a mimo to... Ech, nie chcę o niej mówić.

- Teraz jesteś dorosłą kobietą. Nie masz się czego bać. I pamiętaj, że posiadasz większość udziałów w tym sklepie. Ludzie w nim pracują dla ciebie.

- Nie nalegaj, Mary. - Dina cofnęła się, lecz westchnęła, widząc rozczarowanie na twarzy przyjaciółki. - No dobrze, masz rację. Nie chcę tam wejść, bo się boję. Nie pracowników, ale moich wspomnień. Przez te lata, kiedy mieszkałam z babką, jeśli tylko na mnie nie wrzeszczała, to cały czas mówiła o swoim nowym sklepie, o tym; jak będzie wyglądać, o planach, żeby stał się najmodniejszym, najgłośniejszym salonem mody w Teksasie. Boję się, że nawet po wszystkich tych latach będzie tu krążył jej duch i nie da mi potem spokoju.

- Ale jak się masz zamiar uwolnić od tego strachu, jeśli nie chcesz tam wejść?

Przez Mary, jak zawsze, przemawia głos rozsądku, pomyślała Dina z niechęcią. Ale oczywiście Mary ma rację.

- Najlepiej chodźmy tam wszyscy razem - zaproponowała Mary.

- O nie, co to, to nie - zaprotestował Bob. - Idźcie same.

- Podobno jesteś tu w charakterze ochroniarza Diny, prawda?

Jak chcesz ją chronić, nie będąc u jej boku?

- Mógłbym stać w drzwiach. - Ale już wchodził za nimi do środka z głęboko nieszczęśliwą miną. - Te wszystkie fatalaszki przyprawiają mnie o ból głowy -mruknął.

Dinę już od progu uderzyło, że nie ma tu rzeczy bezpośrednio związanych z poprzednim sklepem babki oprócz błyszczących czarnych pudełek z rysunkiem białej gardenii i biało-czarnych toreb, w które pakowano towar. Lamar Maxell z talentem i wyczuciem przekształciła marzenie babki w naznaczone własnym stylem wnętrze. Strategicznie rozmieszczone wieszaki, pełne pięknych sukien, jak magnes wciągnęły Dinę do środka. Czego tu nie było! Eleganckie kreacje Saint Laurenta, Kleina, Givenchy, Diora. Dina czuła się w siódmym niebie. Suknie wieczorowe zawsze były jej pasją. Uwielbiała dotyk jedwabiu, szyfonu, atłasu i brokatu. Lubiała migotanie cekinów i przyćmiony blask pereł. Potarła w palcach sutą, turkusową, jedwabną spódnicę projektu Valentino. Gdybym miała być projektantką, pomyślała, to właśnie takie luksusowe, wieczorowe stroje chciałabym projektować.

Zatopiona w myślach, dopiero po chwili usłyszała jakieś szepty. Odsunęła się od wieszaka i, stanęła oko w oko z dwoma kobietami.

Czas obszedł się łagodnie z Lamar Maxell. Przez te dziesięć lat niewiele się zmieniła. Wysoka i zgrabna, nadal przyciągała oczy elegancją i oryginalną urodą. Jednak uwagę Diny przykuła druga z

kobiet. Gdzieś już ją widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Była równie wysoka jak Lamar, ale miała bardziej klasyczną urodę - delikatną budowę kości, jasną skórę, duże, brązowe oczy i gęste, proste włosy, które można było ułożyć w dowolną fryzurę.

I naraz przypomniała sobie, kim jest ta kobieta: Lynn coś-tam, przyjaciółka Claya.

- Dina? Dina Deveraux?-spytała Lamar, podchodząc do niej.

Lynn obserwowała ją w milczeniu, przywoławszy na twarz uprzejmy uśmiech. Chociaż sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, Clay odsunął się od niej, odkąd zajął się sprawą Diny.

Doszły ją plotki, że widziano go w salonie samochodowym z drobną blondynką, a niektórzy nawet szeptali, że ma romans ze swoją najnowszą klientką. Lynn przeczuwała, że Clay spotyka się z Diną, ale nie mogła tego zrozumieć. Ta dziewczyna była morderczynią i powinna siedzieć za kratkami, a nie chodzić na wolności i uwodzić mężczyznę, którego ona kocha.

Może da się coś zrobić, żeby zaradzić tej sytuacji. Szepnąć komu jakieś słówko, dać tu i tam coś do zrozumienia. W końcu jeszcze nie straciła Claya na zawsze. Kiedy wczoraj zadzwonił do niej wreszcie, odpowiadając na jej liczne telefony, powiedział, że chce się z nią umówić o trzeciej na drinka.

- Dzień dobry, panno Deveraux - odezwała się teraz. - Pamięta mnie pani?

Mówiła głośno i wolno, podkreślając każde słowo, jakby zwracała się do osoby głuchej lub niedorozwiniętej.

Dina wzdrygnęła się.

- Tak, oczywiście. Ale niestety nie pamiętam pani nazwiska.

Zobaczyła, że jej rozmówczynię to wyraźnie zdumiało:

Widocznie była przyzwyczajona do tego, że każdy ją zna. Lamar dokonała prezentacji i zaoferowała się oprowadzić Dinę po sklepie.

- Nie! To znaczy, nie, dziękuję. Widzę, że wszystko jest tu urządzone z najwyższą klasą, ale muszę dokończyć sprawunki.

Odwróciła się do wyjścia, lecz Lamar dotknęła jej ramienia.

- Dina, musimy porozmawiać o „Fleur”. Wielokrotnie mówiłam panu Lambertowi, że chcę kupić twoją część, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Czy mogłybyśmy to omówić?

- Chętnie przekażę Clayowi, z którym idę dzisiaj na kolację, że ma pani do niego sprawę - powiedziała Lynn.

Dina poczuła się jak w pułapce, osaczona z obu stron.

- Doskonale. - Cofnęła się. - Muszę skonsultować to najpierw z Clayem... to znaczy, z moim adwokatem.

- Rozumiem - zgodziła się Lamar. - Gdzie mogę cię zastać?

Dina, która marzyła tylko o tym, żeby się stąd czym prędzej wyrwać, odpowiedziała bez namysłu:

- Wprowadziłam się do domu babki. Usłyszała za sobą pełen dezaprobaty pomruk Boba i zorientowała się, że popełniła błąd.

- Projekt Diora? - spytała Lamar, patrząc z podziwem na jasnoróżową, jedwabną bluzkę Mary, z szerokimi mankietami i baskinką.

- Nie. Projekt Deveraux - odparła Mary swoim najbardziej wyniosłym tonem.

Szybko pożegnały się i wyszły, zostawiając obie panie w osłupieniu.

- Poczułam się zmęczona - oznajmiła Dina, kiedy znaleźli się znów na promenadzie. - Dajmy już sobie spokój z zakupami i wracajmy do domu.

Bob odetchnął z ulgą, jednak nie omieszkał wtrącić karcąco:

- Nie powinnaś była mówić tym babom, gdzie mieszkasz.

Ale one już go nie słuchały, więc tylko wzruszył ramionami i potrząsnął głową, mając nadzieję, że nic złego nie wyniknie z nieostrożności Diny.

- Kim jest ta cała Lynn? - spytała Mary. - Nie Widziałaś, jak na ciebie patrzyła. Ona cię po prostu nienawidzi.

- To przyjaciółka Claya- odparła Dina łamiącym się głosem, -I idą razem dziś wieczorem na kolację.

- Nic podobnego - wtrącił Bob, a one obie jak na komendę odwróciły się i wlepiły w niego wzrok. - Ona kłamie. Clay nie wybiera się z nią na kolację. Będzie z tobą, Dino. Wiem to na sto procent.

- Jesteś pewien, Bob? - spytała Mary. Widziała ból i zawód w oczach Diny i bardzo jej współczuła. A przecież ostrzegła Claya Lamberta, że może złamać jej serce. Mogłaby go teraz zabić.

- Pewien? Oczywiście, że jestem pewien. Powiedziałem mu, że chcę wybrać się gdzieś z tobą dziś wieczorem, a on odparł, że to żaden problem, bo od wpół do piątej będzie w domu.

Doszli już do samochodu Boba, kiedy Dina spytała:

- Dlaczego miałyby mnie okłamywać?

Mary wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Bobem, który zaczął pakować torby do pełnego już bagażnika.

- Zapytaj o to Claya — poradziła jej z uśmiechem. Wiedziała, że Dina to zrobi - zada mu proste, bezpośrednie pytanie i będzie oczekiwać szczerzej odpowiedzi.

William wraz z synami powitali ich na podjeździe i pomogli zanieść do domu wszystkie paczki, torby i pudełka.

- Tutaj nic się nie działo oprócz tego, że Herbert z kancelarii przywiózł papiery, o które prosił pan Clay. Zanieśliśmy je do salonu.

Dina podziękowała im i zwolniła do domu, mówiąc, że Bob i Mary zostaną z nią do przyjazdu Claya. Mary szybko udało się wyciągnąć ją z ponurego nastroju, co widząc, Bob położył się na kanapie w gabinecie, obiecując w każdej chwili być do dyspozycji. Ale one natychmiast zabrały się do rozpakowywania sprawunków, nie zwracając na niego więcej uwagi.

Kiedy już ułożyły nowe ręczniki i ściereczki w bieliźniarce i pościeliły na kolorowo łóżka, zabrały się za ściąganie starych zasłon i wieszanie nowych. Mary starała się nie zauważać, że Dina nieustannie spogląda na zegarek. Jednak z wybiciem piątej poszła do Boba i

ściągnęła go z kanapy tylko dlatego, że był mężczyzną i nie miał prawa spać, kiedy ona miała takie zmartwienie.

Usłyszawszy samochód na podjeździe, Dina jednym skokiem znalazła się przy drzwiach.

- To Clay - oznajmiła, wracając biegiem do kuchni i wspinając się na drabinę stojącą przy zlewie. Ignorując rozbawienie Mary i Boba, poprosiła: - Mary, jeśli już założyłaś lambrekin, to podaj mi drążek.

Właśnie kończyła wieszać firankę, kiedy Clay Wkroczył do kuchni. Widząc jej nieklamane zdumienie, Mary z trudem powstrzymała się od śmiechu. Zaczęła się im uważnie przyglądać. Po raz pierwszy zauważyła wyraz twarzy Claya kiedy patrzył na Dinę, i zaczęła się zastanawiać, czy aby się nie myli. Kiedy dziewczyna uśmiechnęła się do niego, rozjaśnił się, jakby mu dano gwiazdkę z nieba.

- Przepraszam za spóźnienie. - Clay podniósł do góry dwie papierowe torby. - Zatrzymałem się po drodze i kupiłem trochę chińskich przysmaków na kolację. - Spojrzał na Boba. - Mam nadzieję, że nadal masz zamiar wziąć Mary do jakiejś miłej restauracyjki, bo obawiam się, że dla wszystkich nie starczy. - Postawił torby na stole. - Podobno byłaś dzisiaj w sklepie.

- Skąd wiesz?

- Spotkałem się o trzeciej z Lynn.

- Ach, tak.

Mary uszczypnęła Boba w ramię.

- Chodźmy.

- Co? Mamy opuścić taką scenę? - szepnął, patrząc zafascynowany na Dinę i Claya. - No już dobrze, dobrze. - Dał się wypchnąć przez nią z kuchni, zbierając po drodze liczne kuksańce. - O co ci chodzi? - syknął. - To przecież ty mówiłaś, że za grosz mu nie ufasz, a teraz chcesz zostawić ich samych?

- Zmieniłam zdanie. - Wzięła torebkę i zawołała: -Pa, Dina. Zadzwoń jutro. Clay, te papiery z kancelarii są w salonie.

Clay pomachał im z roztargnieniem ręką. Miał za sobą nieprzyjemną rozmowę, a przed sobą wieczór, który nie wiadomo jak się zakończy.

- Jak było w sklepie?

- Nie tak źle, jak się obawiałam... przynajmniej na początku.

Lamar chce mnie wykupić.

Obchodzili główny temat i oboje o tym wiedzieli.

- I co ty na to? - spytał. - W końcu to lukratywny interes i twoja babka go założyła.

- Powiedziałam, że się zastanowię. Prawdę mówiąc, przez całe lata marzyłam, żeby mieć „Fleur” na własność i pokazać, co potrafię. Ale teraz, kiedy zobaczyłam ten sklep, zrozumiałam, że była to tylko chęć odwetu na babce. Najchętniej zrównałabym go z ziemią.

Nienawidzę wszystkiego, w czym moja babka maczała palce. Pewno myślisz, że jestem potworem, mówiąc tak o zmarłej kobiecie.

- Myślę, że jesteś tylko człowiekiem, jak my wszyscy. Az tego, co słyszałem, twoja babka nie była zbyt miłą osobą.

Clay zaczął kręcić się po kuchni, znosząc do stołu talerze i sztućce. Zrzucił marynarkę, zdjął krawat i podwinął rękawy koszuli.

- Czy Lynn powiedziała ci dzisiaj coś nieprzyjemnego?

Przez chwilę wahała się, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

- Dlaczego tak myślisz? - Ale radość, jaką odczuła na jego widok i świadomość; że Lynn ją okłamała, kazały jej wyznaczyć prawdę.

- Powiedziała, że idzie z tobą na kolację. Byłam zbита z tropu, bo nic mi o tym nie wspomniałeś.

- Zbita z tropu?

- Powiedzmy, zła. Clay uśmiechnął się.

- Niech będzie zła. - Skończył nakrywać do stołu i podsunął Dinie krzesło. - Lynn skłamała. Umówiłem się z nią na drinka o trzeciej, co, jak sądzę, nie oznacza kolacji.

- Ale dlaczego to zrobiła? Przecież nawet jej nie znam.

- Za to ja ją znam. I bardzo boleję, jeśli przeze mnie sprawiła ci przykrość. - Otworzył torby i zaczął wyjmować pojemniki z jedzeniem. - Lynn miała pewne plany związane ze mną, ale dzisiaj jej to wyperswadowałem.

Dina miała ochotę zapytać, jakie plany i co jej wyperswadował, ale jego oświadczenie zabrzmiało jak kropka nad „i”, więc nie śmiała dłużej drażnić tematu.

- Może teraz porozmawiamy o czymś przyjemniejszym? — zaproponował. - Opowiedz mi, jak spędziłaś dzień.

Po długiej, smakowitej kolacji Clay otworzył drugie piwo i poszedł z nim do salonu, zabierając się do przeglądania

przywiezionych z kancelarii dokumentów. Kiedy Dina zajrzała do niego po sprzątnięciu kuchni, był tak zatopiony w pracy, że nawet jej nie usłyszał, Gdy po raz trzeci, już głośniejszym głosem, powtórzyła jego imię, aż podskoczył na krześle, chowając szybko jakąś kartkę pod stos papierów. Próbował coś przed nią ukryć. Podeszła do stołu, odsunęła jego rękę i nie dając się powstrzymać, wyciągnęła to, co schował,

- Chciałem zaoszczędzić ci przykrości - powiedział.

Dina przeczytała dokument i uśmiechnęła się smutno.

- Myślałeś, że o tym nie wiem? - Pomachała w powietrzu swoim świadectwem urodzenia. - Babka z wyraźną przyjemnością przypominała mi raz za razem, że jestem nieślubnym dzieckiem, bękartem, jak mnie nazywała w chwilach złości.

Ciekawe, co jeszcze musiała ta dziewczyna wycierpieć w rękach tej starej jędzy? - pomyślał Clay. Chciał ją objąć i pocieszyć, ale ona wzruszyła ramionami, jakby ta sprawa nic dla niej nie znaczyła.

Widział jednak, że ją to zabolowało.

- Czy twoja matka wiedziała, że wiesz?

- Tak. A to co?

- Testament twojej babki. Pytałaś matkę o swojego ojca? Co ci o nim mówiła?

- Powiedziała, że mi o nim opowie, jak będę starsza. - Przebiegła oczami trzymany dokument, a potem przeczytała jeszcze raz jedno ze zdań, pokazując je Clayowi. - Czy to taka uprzejma prawnicza formułka, czy słowa babki?

Clay przeczytał na głos:

- „Wszystkie moje ruchomości i nieruchomości zostawiam ukochanej wnuczce, Dinie.” To zapewne słowa twojej babki.

Dlaczego pytasz?

Dina cisnęła dokument na stół i ruszyła do drzwi. Słyszając, że Clay ją woła, przystanęła.

- Ukochanej wnuczce! - rzuciła sarkastycznie. - Ciekawe, po co pisać takie bzdury. Nienawidziła mnie.

Patrzył za nią bezradnie, jak oddala się do swojego sanktuarium, które urządziła sobie w jadalni naprzeciwko salonu. Stała tam jej maszyna do szycia, dwa na wpół ubrane manekiny, sztalugi i stół z przyborami do rysowania. W ciągu ostatniego tygodnia przekonał się, że w chwilach stresu i napięcia ucieka tam, żeby szyć albo szkicować.

Przesunął krzesło, chcąc niepostrzeżenie mieć ją na widoku. Czasem nawet w środku nocy albo nad ranem słyszał, jak schodzi do swojej prowizorycznej pracowni. Starał się jej nie narzucać i pozwolić samej dojść, do ładu z problemami, ale była to jedna z najcięższych prób jego życia.

Dina wzięła szkicownik. Wiedziała, że Clay ukradkiem ją obserwuje i gdyby to był ktoś inny, wpadłaby w złość, ale jeśli chodzi o niego, to wiedziała, że po prostu nad nią czuwa.

- Clay!- zawołała.

- Co?..

- Wiesz, czego mi tu brakuje?

- Nie wiem, ale na pewno zaraz mi powiesz, prawda?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się, słysząc nutę wesołości w jego głosie. - Muzyki i telewizji. Muszę kupić wieżę stereo i największy odbiornik telewizyjny, jaki jest. Będiesz tańczyć ze mną i oglądać stare filmy?

- Kiedy tylko zechcesz.

Zobaczył, że kiwnęła głową i wróciła do rysowania. Z zadowoleniem skonstatował, że jej chwilowy kryzys już minął.

W domu było cicho i spokojnie, czasem tylko dał się słyszeć szelest papieru albo ciche mamrotanie Diny, która mówiła do siebie podczas szkicowania. Nagle ten błogi spokój został przerwany głośnym traskiem. Dina krzyknęła.

Clay jednym skokiem znalazł się w jadalni, gasząc po drodze światło i pograżając pokój w ciemnościach. Bez chwili namysłu przewrócił Dinę na podłogę i położył się na niej, starając się jak najszczelniej osłonić ją własnym ciałem. W tym momencie przez zbite okno wpadł drugi pocisk, lądując z głuchym stukiem na podłodze. Granat, pomyślał Clay i zaczął w myślach odliczać sekundy. Po chwili podniósł głowę; w słabej poświacie zobaczył odłamki szkła i dwa okrągłe przedmioty. Jego sparaliżowana strachem wyobraźnia nasunęła mu przed oczy obraz dwóch odbezpieczonych granatów, lśniących złowieszczą, wojskową zielenią. Nie mógł się poruszyć, przekonany, że musiał źle odliczyć czas i za sekundę ostatnią rzeczą, jaką zobaczy, będzie jaskrawy błysk.

Po dłuższej chwili zaczął się powoli uspokajać. W końcu oprzytomniał i zobaczył, że na podłodze leżą dwa kamienie. Zaklął, zsunął się z Diny i przewrócił ją na bok.

- Nic ci nie jest?

Trzęsła się na całym ciele i płakała. Wziął ją w ramiona.

- Ciii... Już dobrze, dobrze. Jakiś dzieciak rzucił kamieniem w okno.

- Byłabym dzielniejsza, gdyby nie ta ciemność - szepnęła. - I nie kłam. - Chlipnęła. - To nie był żaden dzieciak.

- Nie skaleczyłaś się? Nie trafił cię żaden odłamek szkła?

- Nie jestem ranna, tylko śmiertelnie przestraszona. Ale nie mogę oddychać.

- Boże drogi, co się stało? Gdzie cię boli?

- Po prostu za chwilę mnie udusisz.

- Przepraszam. - Ale zwolnił uścisk tylko odrobinę. - Posłuchaj, przeczolgam się teraz do drzwi frontowych i zobaczę, co się dzieje. Ty się nie ruszaj.

Oczywiście natychmiast złamała ten zakaz. Nie miała zamiaru zostawać sama w ciemnym pokoju. Kilka razy odetchnęła głęboko i przeszła szybko na czworakach do holu, gdzie się zatrzymała. Padał tu tylko nikły odblask światła z lampy stojącej na stole w salonie. Claya nigdzie nie było widać. Drzwi frontowe były na wpół otwarte, ale nie dochodził zza nich żaden dźwięk. Minęła wieczność. Co mu się stało? Może ktoś ogłuszył go uderzeniem w głowę i leży teraz nieprzytomny

albo umierający? Może potrzebuje jej pomocy? Podniosła się na sztywnych

nogach, podpierając się o ścianę, mobilizując siły i odwagę.

Naraz dobiegł ją stek przekleństw, tak soczystych że części z nich nawet nie znała. Podbiegła do drzwi, otwierając je szeroko, co widząc, Clay przestał kłać i wrzasnął:

- Zamknij te cholerne drzwi!

Była tak zdumiona, że stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Światło na ganku było zgaszone, ale w blasku księżyca i w poświacie z salonu widać było wyraźnie świeży napis na drzwiach. Słowo „MORDERCZYNI” ociekało jeszcze czarną farbą po czerwonej powierzchni, niczym w filmowym horrorze.

Clay wszedł do domu, pociągając Dinę za sobą i zatrzasnął drugą ręką drzwi.

- Tylko, mi nie mów, że to jakiś dzieciak albo ktoś z sąsiadów - powiedziała. - Nawet nie wiedzą, kim jestem.

- To gra psychologiczna obliczona na to, żeby cię przestraszyć.

- Z dobrym skutkiem.

- A także ostrzeżenie.

- Ile jeszcze takich ostrzeżeń dostanę?

- Chyba już niewiele. Ten ktoś zapewne się domyślił, że odzyskałaś pamięć, nie wie tylko, w jakim stopniu. Wkrótce znudzi mu się zabawa w zgadywanie i rozważy inne możliwości. Nie sądzę, żeby zdecydował się skazać na marne wysiłek, czas i pieniądze, jakie

wydał w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Zechce bronić własnych interesów.

- W jaki sposób?

- Dina, nie będę owijał sprawy w bawełnę. Choćbym nie wiem jak chciał trzymać cię pod kluczem i strzec dzień i noc, to jest nierealne. Musisz wziąć część odpowiedzialności za bezpieczeństwo na siebie.

- Co on jeszcze może zrobić?

- Myślę, że będzie próbował cię uciszyć, zanim wskażesz na niego palcem. Zamilkła, ważąc w myślach znaczenie tych słów.

- To znaczy, że musimy się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za trzymanie cię w sanatorium, kto przepłacił sędziego i dostawał donosy od twojego lekarza. Musimy...

- Chce mnie dopaść, tak?

- Popatrz na mnie i posłuchaj. - Poczekał, aż spojrzy mu prosto w oczy. - Dina, to, co się dzieje, jest bardzo nieprzyjemne, ale boję się, że może być gorzej.

- Dlaczego tak sądzisz?

- On ma na swoim sumieniu już dwa morderstwa.

- Co mam zrobić, żeby to się skończyło?

- Powiedzieć nam, kto zabił twoją babkę i dlaczego,

- Ale ja tego nie wiem. Poklepał ją delikatnie po czole.

- Myślę, że gdzieś tam w głębi wiesz.

- Czy mnie też zabije?

- Jestem niemal pewien, że będzie próbował.

Sen tej nocy nie chciał przyjść.

Dina wierciła się i kręciła w łóżku, przeżywając na nowo okropności minionego dnia i wyobrażając sobie, co jeszcze może ją spotkać. Było jej to zimno, to gorąco; przykrywała się po uszy lub skopywała z siebie pościel i przewracała z boku na bok. Zrezygnowana, położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit, zastanawiając się, czy Clay też nie może spać. W końcu dała za wygraną i wstała, patrząc, która godzina. Czwarta rano wydała jej się stosowną porą, aby zejść na dół i zacząć szkicować. Odkąd odwiedziła „Fleur”, cały czas chodził jej po głowie pomysł, żeby zaprojektować jakąś suknię wieczorową.

Cicho wyszła na korytarz, lecz kiedy przemykała się koło pokoju Claya, on ją zawołał. Stała w drzwiach, starając się go dojrzeć, ale wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, a jego głos dochodził jakby z głębi studni. Zadrżała.

- Nie możesz spać? - spytał. Widział tylko zarys jej postaci na tle słabo oświetlonego holu, ale poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie. - Chcesz porozmawiać? - Serce podskoczyło mu do gardła, gdy przestąpiła próg i poczuł gorzki zawód, gdy przystanąła.

- Możesz zapalić światło?

Przypomniał sobie, jak Dina nie lubi ciemności i nacisnął pstryczek lampki nocnej. Dawała tylko niewielki krąg światła, ale to wystarczało. Poklepał zachęcająco brzeg łóżka i usiadł.

Dina starała się nie patrzeć na jego nagi tors i nie myśleć o tym, że śpi bez piżamy. Czowała ciepło jego ud i kręciło się jej w głowie.

- Nie mogłam zasnąć - potwierdziła zmieszana. Co za idiotka! - skarciła się w duchu. Przecież to oczywiste. Inaczej nie chodziłaby o tej porze po domu. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Ja też. - Clay wziął ją za rękę i niemal bezwiednie podniósł do ust, całując wewnątrz dłoni. Kiedy zamknęła oczy, przesunął usta wyżej, do nadgarstka, a potem przyciągnął ją do siebie, całując zagłębienie łokcia.

Objął ją ramionami i na wpół unosząc, przysunął bliżej. Kiedy nie stawiała oporu, wziął jej twarz w obie ręce i przesunął opuszkami palców po jej policzkach, po linii warg, po brzeżkach uszu, w kierunku skroni. Nie odrywając rąk, pocałował ją delikatnie w obie powieki, a potem przywarł ustami do jej warg. Całował ją żarliwie, wiedząc, że nigdy nie zdoła nasycić się tą kobietą.

Przylgnęła do niego; czuł ciepło jej ciała, jędrność jej piersi, uścisk jej ramion wokół szyi. Kiedy pocałunek stawał się coraz żarliwszy, przyciągnął ją jeszcze bliżej, jakby chciał stopić się z nią w jedno.

Nagle Dina zeszywniała i Clay natychmiast ją puścił. Choć jego ciało pulsowało namiętnością, wiedział, że jest niewinna i musi postępować z nią ostrożnie. A może w ogóle powinien zachować się w sposób odpowiedzialny i wycofać, zanim zupełnie straci nad sobą

kontrolę. Niech Dina sama zdecyduje, kiedy będzie chciała się kochać. Ale, dobry Boże, była tak ponętna i pociągająca!

Dina podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Jego mina była poważna, a wzrok pociemniały od emocji. Zadrżała lekko i szepnęła:

- Dlaczego przestałeś mnie całować?

- Wiesz, czym się to skończy?

- Mam jakie takie pojęcie.

- Czyżby?- Próbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu się to udało.-Na pewno?

Chwyliła go za rękę i położyła ją sobie na lewej piersi.

- Zobacz, jak bije mi serce. Jego ręka stanęła w ogniu.

- Clay, mam dwadzieścia trzy lata. Wiem, co to znaczy kochać się z kimś... w teorii. Brak mi tylko praktyki. Pewno myślisz, że jestem zbyt obcesowa, za mało subtelna?

Clay nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem, przytulając ją mocno. Położyła mu ręce na piersiach, wpatrując się w niego z przejęciem.

- Wszystkie te męsko-damskie sprawy są takie skomplikowane. Pragnę cię jak niczego na świecie, ale dzisiaj, kiedy byłeś z Lynn, nie chciałam cię znać. Czułam się okropnie i cały czas się zastanawiałam, czy się z nią kochasz...

Jej słowa ledwo do niego docierały. Był bez reszty pochłonięty bliskością jej ciała i gwałtowną reakcją swych zmysłów.

- Chodź do mnie - szepnął.

Zamknął oczy, opuścił się na łóżko i położył ją obok siebie. Począł chwilę, żeby uspokoić przyspieszone bicie serca.

Dina wstrzymała oddech, kiedy jego dłonie powędrowały wzdłuż jej boków do pasa, a potem niżej na biodra i uda. Kiedy poczuła, że Clay podciąga bawełnianą koszulkę do góry, podniosła się lekko i pomogła mu zdjąć ją przez głowę. Jej ręka, jakby wiedziona własną wolą, zaczęła wędrować po ciele Claya. Jego skóra była gorąca, a owłosienie na piersiach szorstkie i kłujące. Potarła o nie policzek, czując gwałtowne bicie jego serca.

- Myślałam, że nasze ciała są podobne, a wcale tak nie jest - powiedziała.

- Mam nadzieję, że nie.

Chciał się roześmiać, lecz z jego krtani wyszedł tylko zduszony dźwięk. Zamknął więc oczy, upajając się dotykiem jej niewprawnych palców. Z każdym jego westchnieniem Dina zdawała się nabierać odwagi i kiedy dotknęła przypadkiem jego przyrodzenia, zaczęła je nieśmiało pieścić. Pomyślał, że jeśli to dłużej potrwa, straci nad sobą kontrolę.

Otworzył oczy i wzrokiem ciężkim od pożądania obserwował, jak Dina bada jego ciało, dotykając go palcami i językiem, aż w końcu nie wytrzymał - chwycił ją za ramiona i przyciągnął jej twarz do siebie, całując ją długo i namiętnie.

- Wiesz co? szepnął jej do ucha.

- Co?

- Miałaś rację. Wcale nie jesteśmy tacy sami. Zaśmiał się i przewrócił ją na plecy, muskając jej

szyję i piersi lekkimi pocałunkami. Dina wstrzymała oddech i odrzuciła głowę do tyłu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak cudownie i chciała, żeby to trwało wiecznie. Kiedy Clay powędrował ręką niżej, przykrywając dłonią miękką kępkę włosów między jej udami, zeszywniała na chwilę, ale pod jego delikatną pieśczętą rozluźniła się, marząc, aby nigdy nie przestał jej dotykać. Czując wzrastające podniecenie, zaczęła się pod nim wić, przyciągając go do siebie.

Clay patrzył na nią przez parę sekund, walcząc z sobą. Potem wolno i ostrożnie wsunął się w nią, przyciskając ją mocno do siebie. Z każdym jego ruchem wydawała jęk rozkoszy i nie pozwalając mu ani na chwilę przestać, wtulała się w niego biodrami, poruszając rytmicznie wraz z nim. Czuła, że się rozpadnie na milion pulsujących żarem kawałków. Jej ekstaza sięgnęła szczytu i wydała krótki okrzyk na w pół bólu, na w pół upojenia. Instynktownie oplótła Claya rękami i nogami. I nagle poczuła, jak napięcie pęka i ogarnia ją fala cudownej błogości. Jednocześnie wyczuła, że mięśnie Claya tężeją, a on sam po chwili opadł na nią z głośnym jękiem rozkoszy.

Moment później Clay przewrócił się na bok, starając się uspokoić przyspieszony oddech. Pogładził pieśczętliwie Dinę po plecach i opierając się na łokciu, spojrział na nią badawczo. Co się spodziewał zobaczyć? Żal? Ból? Złość? Lecz ona uśmiechała się do niego, a w jej niebieskich oczach skrzyła się radość.

- Jeśli mi powiesz, że jest ci przykro - zagroziła - to przysięgam, że cię zamorduję. Nie żałujesz, prawda?

- W żadnym wypadku. A ty... jak się czujesz?

- Cudownie.

Clay roześmiał się i pocałował ją.

- Miałem na myśli... Położyła mu palec na ustach.

- Ciii... Nie każ mi analizować tego, co się stało. Nie chcę utopić tego w potoku słów. Chcę to pamiętać jako najpiękniejsze przeżycie na świecie. Możemy to zrobić jeszcze raz?

Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

- Jak tylko odzyskam siły.

Cudownie było mieć ją przy sobie i wiedzieć, że rano, gdy się obudzi, będzie mógł popatrzeć na jej śpiącą buzię. Nagła myśl, że ktoś mógłby ją skrzywdzić, przeszła go kłującym bólem. Musi za wszelką cenę znaleźć tego człowieka, który ją prześladowa.

- To wcale nie było takie stresujące, jak o tym czytałam - mruknęła śpiącym głosem.

— Mam nadzieję. - Odgarnął jej włosy z policzka i pocałował z delikatną czułością.

- Co jest między nami, Clay? - szepnęła mu w ucho.

- Sam chciałbym wiedzieć - mruknął niepewnie.

- Ale to ty jesteś doświadczony w tej dziedzinie, nie ja. Nie powinieneś znać się na tym?

- W normalnych okolicznościach przyznałbym ci rację, ale mnie też po raz pierwszy coś takiego się zdarza.

- Mary mówi, że to tylko pożądanie, ale nie zgadzam się z nią.
Myślisz, że to może być miłość?

Uśmiechnął się, próbując ukryć zmieszanie.

- Powiedzmy, że to najlepsza możliwa kombinacja jednego z drugim.

Dina ziewnęła i przysunęła się do niego bliżej.

- Chyba już teraz będę mogła zasnąć.

Dina zaniósła kawę i grzanki do salonu, gdzie siedzieli Clay, Bob i Mary. W drzwiach ziewnęła rozdzierająco. Obudziła się sama w łóżku Claya około siódmej i jeszcze na wpół śpiąc zeszła na dół, żeby go poszukać. Stał przy telefonie, popijając kawę. Podeszła do stołu, żeby sobie też nalać filiżankę i wzięła po drodze poranną gazetę. Szybko odłożył słuchawkę, wyrwał jej gazetę i poprosił, żeby wróciła na górę i zdrzemnęła się jeszcze, dodając, że właśnie rozmawiał z Bobem i opowiedział mu wczorajsze zajścia.

Dina wiedziała, że coś się dzieje poza jej plecami. Clay ciągle wynajdywał dla niej jakieś zajęcia. Gdy zjawili się Bob i Mary, a ona wyszła z pokoju, żeby spełnić jakąś jego kolejną prośbę, po powrocie atmosfera w salonie była napięta. Domyśliła się, że musieli rozmawiać o niej. Sprawdziła swoje podejrzenia, wychodząc parę razy i niespodziewanie wracając, i zawsze, gdy się pojawiła, wszyscy nagle milkli jak zaczarowani.

- No dobrze, wystarczy - powiedziała. - Coś się dzieje i chcę wiedzieć co. - Spojrzała na nich po kolei, zatrzymując dłużej wzrok na

Clayu. - Obiecałeś, że nie będziesz mieć już przede mną sekretów. Że nie będziesz nic przede mną ukrywać.

Clay kiwnął głową i sięgnął za siebie.

- Nie rób tego! - zaprotestowała Mary.

- Choćbyśmy nie wiem jak chcieli, nie uchronimy Diny przed takimi rzeczami. Nie możemy trzymać jej w nieświadomości. Przecież sama zdajesz sobie z tego sprawę.

Widząc zrezygnowane przyzwolenie Mary, podał Dinie gazetę. Wzięła ją ze zdumioną miną i natychmiast uderzył ją jak obuchem wielki artykuł na pierwszej stronie.

- O Boże - powiedziała cicho. - To o mnie. O moim wyjściu z sanatorium i o morderstwie babki.

- Dalej jest jeszcze gorzej - powiedział Clay ponuro.

- Piszą o mnie, jakbym była potworem, wielokrotnym mordercą, którego wypuszczono na wolność, nie licząc się z bezpieczeństwem publicznym. Jakby w każdej chwili można się było spodziewać, że znów kogoś zabiję. - Przewróciła stronę, kontynuując czytanie, i po chwili spojrzała na niego z osłupieniem. - Clay, oni mnie tu oskarżają o zabicie tego reportera, Danny'ego Hudsona. Jak mogą robić coś podobnego?

- Są bardzo ostrożni, Dina. Podają tylko do wiadomości fakty, nie posuwając się do bezpośrednich oskarżeń. Co do tego dziennikarza piszą tylko, że przygotowywał artykuł o twoim zwolnieniu i po spotkaniu z tobą znaleziono go martwego na tyłach biblioteki.

- Ale to brzmi tak, jakbym go zabiła. Dlaczego on robi coś takiego?

Clay zmarszczył brwi, widząc, że Bob i Mary są równie zaskoczeni jej pytaniem.

- O kim mówisz?

- O tym facecie, który mnie śledzi, oczywiście. To jego robota, prawda? Jak te kamienie wrzucone przez okno i napis na drzwiach. - Wstała, wymachując gazetą. - Czy to ma być jeszcze jedno ostrzeżenie? - Musiała powiedzieć coś dziwnego, bo wszyscy troje starannie omijali ją wzrokiem. - O co chodzi?

Clay chciał ją objąć, ale się odsunęła.

- To nie jego sprawka. On woli działać po cichu i wszelki rozgłos jest mu nie na rękę. Dina, właścicielem tej gazety jest stary przyjaciel mojego dziadka. Zadzwoiłem do niego dziś rano i kiedy wytłumaczyłem mu kilka faktów, powiedział, że jego redaktor naczelny dostał tę historię w głównych zarysach od Lynn, a resztę sam dopisał. Wiedziałem, że na dłuższą metę nie uda nam się umknąć przed prasą, ale żeby Lynn... - Przesunął palcami po włosach, kurcząc się pod piorunującym wzrokiem Mary i Boba. - Nie potrafię ci powiedzieć, jak mi przykro. Nigdy bym nie pomyślał, że Lynn może być taka mściwa.

Mary prychnęła ze złością.

- Mężczyźni... Nie słyszałeś powiedzenia, że piekło nie zna większej furii niż wzgardzona kobieta?

Clay zignorował tę uwagę, zwracając się do Diny:

- Powiedziałem wczoraj Lynn, że między mną a nią wszystko skończone, ale nie wspominałem nic o tobie. Miałem wrażenie, że odniosła się do tego ze zrozumieniem. Kiedy się żegnaliśmy, nie była zła ani zrozpaczona.

- Oczywiście, że nie - rzuciła Mary z sarkazmem. - Miała już głowę zajęta planowaniem zemsty.

Dina westchnęła z rezygnacją.

- Pewno prędzej czy później gazety i tak dobrałyby mi się do skóry. - Uśmiechnęła się do Claya i otoczyła go ramionami. - Nie mam do ciebie żadnych pretensji, naprawdę.

Usta Mary zacisnęły się w wąską kreskę. Bob pomyślał, że jak dwa razy dwa tych dwoje jest już nie tylko parą przyjaciół. I zaraz zdał sobie sprawę, że Mary też to spostrzegła. Miał wrażenie, że Clay będzie się musiał przed nią z tego i owego wytłumaczyć. Uznał, że najlepiej będzie zmienić temat.

- Posłuchaj, Clay, jesteśmy tu po to, żeby wam pomóc, ale nie wyłożyłeś nam jeszcze swojego planu.

Clay z ulgą przyjął zwrot w rozmowie.

- Mamy mnóstwo roboty - wskazał na stos segregatorów - ale najpierw muszę uprzedzić Dinę, że synowie Williama będą trzymać wartę przed frontowymi i tylnymi drzwiami.

Dzwonił do nich rano i chętnie się zgodzili. Wysocy i potężni, mieli już z daleka odstraszać każdego ewentualnego intruza. A ponadto mieli być uzbrojeni.

Spodziewał się, że Dina zacznie protestować, ale ku jego zdumieniu milczała, więc mówił dalej:

- Zabójca Agathy Deveraux krył się w cieniu przez dziesięć lat. Nie ucieszy go ten nagły rozgłos. Będzie się bał, że jeśli Dina zaprzeczy tezom artykułu, ktoś może jej uwierzyć i zacząć się rozglądać za prawdziwym mordercą. - Podniósł rękę, żeby uciszyć ewentualne pytania. - Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, dlaczego jej babka została zabita. Zaczniemy od przejrzenia tego archiwum. Przeczytamy każdy skrawek papieru, każdą notatkę, każdy rachunek, zeznanie podatkowe i korespondencję z bankiem. Potem ułożymy wszystkie papiery w porządku chronologicznym i zobaczymy, czy coś z tego wynika.

Patrzyli w milczeniu i ze strachem na segregatory, myśląc, jak wielka czeka ich praca. Clay i Bob uważali, że znajdą w nich jakiś klucz, jakiś ślad, który przeoczono. Mary była pewna, że gdyby w nich coś było, stary Lambert dawno by się tego dogrzebał. Dina bała się tego zajęcia z innych powodów. Te dokumenty dotyczyły życia Agathy Deveraux, a wszystko, co było związane z jej babką, zawsze sprowadzało na nią nieszczęście.

Dzień źle się zaczął, pomyślała, i zapowiadał się jeszcze gorzej. Nim minęło południe, wszyscy byli zmęczeni i bolały ich oczy. Prawniczy żargon był trudny do zrozumienia dla wszystkich oprócz Claya, a jeśli chodzi o liczne dokumenty finansowe, przydałaby im się pomoc kogoś znającego się na księgowości. Ale Clay twardo poganiał

ich do pracy, niczym nadzorcą niewolników. Jakby tego było mało, zamówił jeszcze na dziś szklarzy do wstawienia zbitej szyby.

W porze lunchu Dina wymknęła się do kuchni, żeby coś przygotować i właśnie stała przy otwartej lodówce, kiedy weszła Mary. Na pierwszy rzut oka widać było jej pełną determinacji minę, ale Dina po raz pierwszy od dziesięciu lat nie miała ochoty dzielić się z nią swoim przeżyciem. To, co zaszło między nią a Clayem, było ich prywatną, bardzo osobistą sprawą i czuła, że rozmowa o tym z kimś trzecim zakrawałaby na zdradę.

Mary rozpoznała jej nagłą dojrzałość i westchnęła.

- Nie mam zamiaru wścibiać nosa w nie swoje sprawy ani udzielać ci żadnych rad. Jesteś dorosłą kobietą i wiesz, co robisz. Pamiętaj tylko, że w razie potrzeby zawsze możesz na mnie liczyć.

Dina uścisnęła ją serdecznie.

- Dzięki, Mary. Jestem całkiem pewna, że go Kocham.

- Wiem, i to mnie właśnie martwi. Nie masz żadnych kryteriów, żeby umieć ocenić swoje uczucia. Żadnego doświadczenia. -
Uśmiechnęła się przeproszająco. - Wybacz. Mówiłam, że nie będę się wtrącać.

- A czy między tobą i Bobem to coś poważnego? - Dina za wszelką cenę chciała zmienić temat.

- Tak... nie. Och, sama nie wiem. - Usiadła na krześle przy stole.
- Jest dużo prawdy w powiedzeniu, że kto raz się sparzy, dmucha na zimne. Moje pierwsze małżeństwo było katastrofą. Mój mąż był przystojnym, czarującym, pociągającym mężczyzną, jak twój Clay, a

po ślubie okazał się brutalnym pijakiem, który traktował mnie jak swój prywatny worek treningowy. Kiedy się zabił, wpadając na drzewo nowym samochodem z nową dziewczyną, nie uroniłam ani jednej łzy. To było piętnaście lat temu i od tej pory nie zaufałam żadnemu mężczyźnie... oprócz Boba. Jest w nim jakaś delikatność i czułość, mimo że jest taki wielki. -Uśmiechnęła się z pewnym zażenowaniem. - Za drugim razem, kiedy odwiedził mnie w szpitalu, powiedział, że się ze mną ożeni. Śmiałam się wtedy, ale wiesz co? Chyba wyjdę za niego. Dlatego trudno mi radzić, żebyś nie szła za głosem serca. Ja właśnie mam zamiar to zrobić.

Oczy Mary zaszkliły się łzami i Dina szybko podbiegła, żeby ją uściskać.

- Och, Mary, to cudownie! Może niewiele wiem o mężczyznach, ale lubię Boba i sądzę, że jest dobrym człowiekiem. Pozwolisz mi uszyć sobie suknię ślubną? Postanowiliście już, gdzie weźmiecie ślub... i kiedy?

Mary roześmiała się, wytarła oczy i spojrzała na nią z miną winowajcy.

- Bob jeszcze nawet nie wie, że mam zamiar przyjąć jego oświadczenia.

- Teraz już wiem, moja śliczna - powiedział Bob, stając w drzwiach kuchennych.

Dina uznała, że najwyższy czas się wynieść i właśnie szła do Claya oznajmić mu dobrą nowinę, kiedy w drzwiach frontowych pojawił się William.

- Dzień dobry; panienko. Jest tu coś dla panienki. Panie Clay! - podniósł głos. - Już jest!

Clay wybiegł z salonu i wymienił z nim porozumiewawczy uśmiech.

Nagle tuż przy Dinie zawirowała w zapachu drogich perfum jakaś kolorowa, kobieca postać, zupełnie jej nie znana, która chwyciła ją w ramiona i pocałowała w policzek, po czym roześmiała się wesołym, dźwięcznym śmiechem, udzielającym się otoczeniu.

Dina zamrugła, patrząc na nią osłupiałym wzrokiem. Kobieta była młoda, wysoka; miała ciemno-blond włosy i zielone oczy. Była ubrana w fioletową suknię o wyzywającym, jaskrawym odcieniu.

- Przestraszyłam ją, Clay.

- Spójrz tylko na siebie, Liz. Przypominasz chodzący i mówiący bakłażan. - Chwycił młodą kobietę za ramię, żeby choć na chwilę stanęła spokojnie, i zwrócił się do Diny: - Ta wiercąca się jak fryga, rozgadana, rozhukana i brzemienna dziewczyna to moja siostra, Elizabeth Lambert.

Liz poklepała się po brzuchu.

- Elizabeth Lambert Chapman, Mój brat zapomina, że jego mała siostrzyczka jest mężatką.

Cofnęła się o krok i przyjrzała Dinie uważnie, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

- Nie wyglądasz na morderczynię.

- Liz, na miłość boską! - huknął Clay.

- Kiedy naprawdę nie wygląda. Wygląda na piękną kobietę, która, jeśli mam być szczerą, bez reszty zawróciła mojemu bratu w głowie. I teraz rozumiem dlaczego. - Zrzuciła z nóg wysokie szpilki, wzięła się pod boki i zwróciła do Williama: - Czemu to tak długo trwa? Dlaczego jeszcze tego nie wnieśli?

- Ponieważ, panienko Lizzy, nie było jak do tej pory panience przerwać i powiedzieć, że tarasuje panienka drogę.

Nagle u wejścia zaroilo się odludzi; wszyscy naraz śmiali się i rozmawiali. Dina, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi, chwyciła mocno Claya za ramię, trzymając się go jak tonący brzytwy. Clay delikatnie przesunął ją do przodu i postawił przed sobą, zasłaniając jej rękami oczy.

- Nie podglądaj - powiedział.

Ona miałaby podglądać? Nie mogła się ruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Wzięła głęboki oddech, mówiąc sobie, że nic złego nie może się stać, kiedy Clay jest tak blisko. Słyszała jakieś dziwne odgłosy: stukot, szuranie, coś jakby postękiwanie z wysiłku, a potem szepty i stłumione śmiechy. Kiedy Clay opuścił ręce, nadal stała jak sparaliżowana, bojąc się otworzyć oczy.

- Dina - powiedział.-Popatrz.

Uniosła odrobinę powieki i nagle jej oczy się rozszerzyły. Przed nią stał wielki, kolorowy telewizor i wieża stereo. Wiedziała, że wszyscy czekają, aż coś powie, ale nie mogła wykrztusić słowa. Od tak dawna nikt nie dał jej żadnego prezentu, oprócz Mary i pana Lamberta w czasie świąt lub na urodziny.

Przebiegła delikatnie palcami po gładkim ekranie, pogładziła jakby z niedowierzaniem zestaw stereo. Rozejrzała się wokół: obok stał William z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem, przy nim dwaj jego synowie, Homer i William junior, również uśmiechnięci, dalej Mary, Bob i Liz. Odwróciła się i spojrzała na Claya. Po jej policzku potoczyła się wielka, samotna łza.

- Nikt nigdy nie sprawił mi takiej niespodzianki - powiedziała cicho. - Kocham cię.

Ta łza ścisnęła go za serce. Nie dbając o to, co sobie inni pomyślą, chwycił ją w ramiona i gorąco pocałował w usta.

- Obiecałem przecież, że będę oglądać z tobą stare filmy, prawda? - szepnął.

- I tańczyć ze mną - przypomniała mu.

- Tak, i tańczyć.

- Kiedy tylko zechcę. - Uśmiechnęła się przez łzy.

- Ale nie teraz.

- Hej, wy dwoje! - zawołała Liz. - Moglibyście przestać się czulić? Wprawicie wszystkich w zakłopotanie. - Oderwała na siłę rękę Claya od Diny. - Widzisz te dwa pudła? - Dina skinęła głową. - Mój mąż i ja spędziliśmy cudowne przedpołudnie, kupując te płyty. Clay powiedział, że ponieważ jesteśmy w tym samym wieku, to pewno mamy podobne gusta. - Postępując, schyliła się i włożyła buty. - Muszę już lecieć. Aha, powinnaś wiedzieć, że Clay jest jedyną normalną osobą w naszej rodzinie. - Pomachała im ręką i wybiegła, zostawiając za sobą pustkę i ciszę.

Dina zaczęła przeglądać płyty.

- Jest ich tu chyba co najmniej setka. Och, Clay, popatrz, Johnny Mathis.

Clay zwrócił się do Homera i juniora z prośbą, żeby wnieśli telewizor.

- Postawcie go w gabinecie. Homer, jesteś pewien, że potrafisz zamontować antenę? - Kiedy ten przytaknął, Clay usunął się z drogi, pociągając za sobą Dinę. - No, dobrze, przerwa skończona. Nie chcę psuć wam zabawy, ale mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Odpowiedział mu zbiorowy jęk. Bob pociągnął Mary za rękę, chcąc oznajmić wszystkim radosną nowinę, kiedy zadzwonił telefon. Po kilkuminutowej rozmowie, którą wszyscy starali się dosłyszeć, Bob wrócił, uśmiechając się szeroko, jakby właśnie wygrał na loterii.

- Mary, weź torebkę - zarządził i uprzedzając pro-testy Claya, dodał szybko: - Mój znajomy pracujący w telekomunikacji ma już wszystkie rachunki z sanatorium. Powiedział, że zawierają bardzo ciekawą informację. Weźmiemy je i zjemy gdzieś po drodze lunch.

Clay patrzył za nimi, czując się jak kapitan, którego załoga opuszcza statek. Imitując najlepiej, jak umiał, Humphreya Bogarta, zwrócił się do Diny:

- Cóż, chyba zostaliśmy sami, skarbie. Dina roześmiała się i oznajmiła:

- Jestem głodna.

- Ja też.

- Moglibyśmy posłuchać paru płyt, przygotowując lunch.

- Nic, nic z tego.

- A może popatrzylibyśmy na telewizję, kiedy będziemy jeść? -
Znów potrząsnął przecząco głową; nie zważając na jej zawiedzioną
minę. - Clay, nie bądź taki.

- Przekąsimy coś na jednej nodze i z powrotem do roboty. -
Objął ją. - Dina, nie możemy ciągnąć tego W nieskończoność.
Musimy jak najszybciej odkryć prawdę.

W końcu jedli w salonie, otoczeni skrawkami życia jej babki.
Clay wrzucił parę kartek do pustego pudełka.

- Kolejne bezużyteczne informacje.

Dina odłożyła nadgryzioną kanapkę i spojrzała na niego. Miała
przed sobą cztery równe stosy papierów. Jeden dotyczył spraw
związanych z butikiem, dwa inne stanowiły dokumenty osobiste i
finansowe babki, a ostatni wyciągi z banku.

- Clay, mam w ręku parę ostatnich wyciągów i nic nie
rozumiem. Babka zawsze narzekała na brak pieniędzy. Żyłam w
przekonaniu, że...

- Przepraszam, panienko - przerwał jej William, wchodząc do
pokoju. - Przyjechali z meblami.

- Co takiego? - spytał Clay.

- O Boże, zupełnie zapomniałam! - Zerwała się z krzesła. -
Dzisiaj mieli dostarczyć meble, które kupiłam. William, twoi synowie
mówili, że znają jakąś biedną rodzinę, której przydałyby się stare
meble po babce. Mogliby je teraz wynieść?

- Oczywiście. Od którego pokoju zaczynamy?

- Dina...

- Nie teraz, Clay. Od obu sypialni. Potem gabinet.

- Dina...

- Clay, mógłbyś nam pomóc? Jak uprzątniecie górę, będzie można wnieść już tam meble, a wy tymczasem weźmiecie się do gabinetu.

Zmagając się z ciężkim wezgłowieм łóżka, Clay myślał, że coraz lepiej Dinę poznaje. Wiedział już, że kiedy się przy czymś uprze, musi postawić na swoim i potrafi wydawać polecenia równie stanowczo jak on. Z rozbawieniem patrzył, jak czaruje dostawców. Potrafiła wodzić mężczyzn na pasku jedynie za pomocą uśmiechu i słodkiego głosu.

Dina tymczasem starała się wejść na górę, żeby zapanować nad chaosem. Tylne schody były zatarasowane starym materacem i ramą do łóżka, skierowała się więc do frontowych schodów, które z kolei były zastawione nowym biurkiem i wezgłowieм. Żeby się na nie dostać, musiała albo przejść górą, albo przecisnąć się między biurkiem a drzwiami salonu.

Wybrała to drugie wyjście i utknęła zaklinowana między ciężkim meblem a zamkniętymi, podwójnymi drzwiami. Sięgnęła za siebie, z trudem je otwierając, i w chwili, gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że nie jest sama. Tyłem do niej stał w salonie jeden z dostawców.

- Co pan tu robi? - spytała.

W tym samym momencie dostrzegła płomienie dobywające się z pudełka z papierami babki i poznała twarz mężczyzny ubranego, w firmowy kombinezon. Cofnęła się ze strachem.

Rzucił się na nią z szybkością jastrzębia. Zanim zdążyła zawołać o pomoc, zacisnął ręce wokół jej szyi, dusząc w zarodku jej krzyk i mrużąc coś pod nosem.

Wiedziała, że umrze. Widziała to w jego oczach. Ale nie miała zamiaru tak łatwo się poddawać. Wbiła z całej siły paznokcie w jego twarz i przeorała mu policzki, zostawiając krwawe bruzdy. Kiedy nawet nie drgnął, wpadła w panikę, kopiąc go i drapiąc w bezsilnej obronie, aż osłabła i osunęła się na podłogę.

Kiedy odzyskała przytomność, ktoś trzymał ją w ramionach, wołając jej imię. Kaszłąc i z trudem łapiąc powietrze, otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą zmartwioną twarz Claya. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- To był ten mężczyzna z biblioteki - powiedziała ochryłym głosem. - Nie ten łysy, tylko ten drugi.

- Nic nie mów. Nie ruszaj się.

Trzęsła się na całym ciele. Clay wziął ją w ramiona i zaniósł do wyjścia, gdzie stała nowo kupiona kanapa.

Kiedy ostrożnie kładł na niej Dinę, folia ochronna wydała cichy szelest.

- Homer i Junior wnosili właśnie tę kanapę, kiedy zobaczyli go w otwartych drzwiach salonu. W samą porę. Puścił cię i zaczął uciekać. Rzucili się za nim, a William dzwoni po policję.

- A ogień?

- Ugaszony. I nie martw się, to było pudełko z niepotrzebnymi papierami.

Delikatnie odgarnął jej z twarzy zmierzwione włosy. Kiedy zauważył na szyi czerwone ślady palców, wszystko się w nim zagotowało. Ogarnęła go głucha, mordercza wściekłość, ale zaraz się opanował. Co, do diabła, ma dalej robić? Myślał, że potrafi zapewnić jej bezpieczeństwo, a tymczasem morderca pod nosem wszedł mu do domu. Jedno wszakże wiedział na pewno. Obojętne ile by go to miało kosztować, znajdzie człowieka, który to zrobił. I wtedy już się nim zajmie.

Na widok miny Claya Dinie przeszedł po plecach zimny dreszcz. Widziała już podobny wyraz - na twarzy mężczyzny, który usiłował ją zabić.

- Czy on będzie próbował do skutku? - spytała.

- Nie. Przysięgam ci, że było to po raz ostatni. - Poglaskał ją po głowie. - Obiecuję ci, że póki żyję, ten człowiek nigdy więcej cienie tknie.

Dina stała w oknie jadalni, tym samym, przez które wrzucono kamienie, i patrzyła na dwa policyjne samochody odjeżdżające spod domu.

Starła się ignorować harmider za swoimi plecami. Kiedy nadjechała policja, zjawiała się też dwójka agentów federalnych z naprzeciwka: Teraz wrócili Bob z Mary i cała czwórka przekrzykiwała się, zadając pytania i żądając informacji. Dina usunęła się na bok, szukając jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie można by pomyśleć.

Wciąż wracała myślami do tego, co ją spotkało, starając się przypomnieć słowa napastnika, które ten mrucał pod nosem, kiedy ją dusił. Coś jakby, że to się musi skończyć, że nie pozwoli jej wszystkiego zniszczyć. Najbardziej jednak utkwiała jej w pamięci jego twarz, całkowicie beznamiętna, jakby odebranie komuś życia nic dla niego nie znaczyło. Wyglądało na to, że ona sama była dla niego nieistotna, stanowiła tylko przeszkodę na drodze do celu.

Przeszły jej ciarki po plecach.

Przyjazd nowego samochodu i trzaskanie drzwiczek sprowadziły ją na ziemię. Jęknęła, widząc dwóch znanych jej już mężczyzn, zmierzających w stronę domu. Na myśl o tym, że miałyby znów odpowiadać na pytania, chciało jej się płakać. Miała właśnie wezwać na pomoc Claya, kiedy zobaczyła, że Bob wychodzi już na spotkanie

swojego dawnego kolegi, sierżanta Howarda Haskela i jego towarzysza. Odprężyła się, ale tylko na chwilę.

Bob najwyraźniej rozzłościł się na coś, co Haskel powiedział, bo zawrócił go w miejscu i zaczął wypychać z powrotem na ulicę. Kiedy sierżant stał już przy chodniku, Bob zostawił go tam i ruszył z powrotem do domu.

Dina poczuła przy sobie czyjąś obecność. Odwróciła się i ujrzała Mary.

- Wydaje mi się, że nasz sympatyczny, spokojny Bob nieco się zdenerwował.

- Tak, warto to było zobaczyć, Widziałaś, że sierżant Haskel ani mruknął?

- Bał się.

Mary kiwnęła głową i dodała:

- Jak cholera. Uśmiechnęły się do siebie.

- Gdzie jest Clay? -Dina nagle zdała sobie sprawę z ciszy panującej w domu i zaczęła się rozglądać.

- Wyprowadza agentów federalnych tylnymi drzwiami. Nie chce wzbudzać sensacji w sąsiedztwie.

Dina roześmiała się głośno i nieco histerycznie.

- Czyżbyście uważali, że sąsiedzi nie zauważyli dotąd paru mężczyzn nieustannie kręcących się wokół domu, zbitego okna, napisu „morderczyni” na drzwiach, czterech dostawców z meblami, dymu, krzyków, wozów policyjnych i całego zamieszania? Pomijając oczywiście gazetę, która im uświadomiła, że mieszka Wśród nich

notoryczna nożowniczką. Jest jasne jak słońce, że to wszystko musiało ujść ich uwagi.

- Teraz z pewnością wystąpię z petycją zmuszającą cię do sprzedania domu. I wyjazdu z miasta. Nie, z naszego stanu. A jeśli to nie pomoże, każą ci chodzić z tabliczką pokutną na szyi, żeby wszyscy wiedzieli, kim jesteś.

- Przestań, Mary - powiedziała Dina, ale zaczęła się uśmiechać. - Jeszcze może się okazać, że miałaś rację.

- W każdym razie mamy teraz ważniejsze problemy. Znajomy Boba, ten z telekomunikacji, naprawdę się postarał, ale niech Bob sam wam o tym opowie. Gdzie on się podziewa? Przecież słyszałam lekkie kroki mojego Duszka, dudniące na tyłach domu.

Dina spojrzała na przyjaciółkę, jakby ta nagle zwariowała, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Duszka? Nazywasz Boba Duszkiem?

- Między innymi - przyznała Mary i uśmiechnęła się szeroko. - Mówię ci, Dina, on jest jak słoń w składzie porcelany. W ciągu kilku dni straciłam parę filiżanek, kryształowy puchar i lampę. Ale jest moim Duszkiem, więc chyba muszę się z tym pogodzić.

W tym momencie mężczyźni weszli do pokoju i kiedy Dina zobaczyła srogiego marsa na czole Boba, serce w niej zamarło. Ale Bob na widok Mary natychmiast się rozjaśnił i gniewny nastrój go opuścił.

- Stary Howard usłyszał wezwanie przez radiotelefon i rozpoznał adres. Ubzdurał sobie, że to dobra okazja, żeby zadać Dinie jeszcze

parę pytań. - Zachichotał. - Wysłałem go do domu naprzeciwno. Powiedziałem, że nasza para agentów federalnych z chęcią udzieli mu wszelkich informacji.

- Mówiłeś mu to, wypychając go na siłę na ulicę? Bob uśmiechnął się szeroko.

- Howard to kawał drania. Zastosowałem tylko jego metody.

- Jeśli już skończyliście te pogaduszki, to może wrócimy do roboty? - warknął Clay, ruszając w stronę salonu. - Dina, może położyłabyś się na chwilę, żeby odpocząć?

Wysyłał ją do łóżka, jakby była dzieckiem, jakby nic dla niego nie znaczyła. Już miała mu wygarnąć, co o tym myśli, kiedy zdała sobie sprawę, że on się tylko o nią martwi i chce jak najszybciej ustalić tożsamość napastnika.

Weszła za nimi do salonu. - Przede wszystkim wcale nie jestem zmęczona i sto razy wolę robić tu z wami coś konstruktywnego, niż leżeć w łóżku, wpatrując się w sufit i zastanawiając, kiedy i jak ten człowiek znów mnie zaatakuje.

- Poza tym jesteś mi potrzebna - dorzucił Bob. Otworzył dużą kopertę, z której wyjął plik papierów i wyciągnął spośród nich fotokopie dwóch fotografii. - Poznajesz ich?

Dina przyjrzała się bliżej mężczyźnie na pierwszej fotografii. Był ubrany w drogi, dobrze skrojony garnitur, ale jej uwagę przyciągnęły przede wszystkim jego oczy. Chociaż czarnobiała fotokopia nie zdradzała ich koloru, widać było, że są jasne i przenikliwe. Mężczyzna miał szpakowate włosy, głębokie bruzdy

wokół ust i kurze łapki w kącikach oczu. Pomyślała, że ten mężczyzna ma charakter i z jakichś przyczyn nasunęło jej się słowo „bezwzględny”.

Druga czarnobiała fotografia przedstawiała mężczyznę w mundurze wojskowym, stojącego prosto jak struna. Miał gęste, siwe włosy i surową minę. Mrużył oczy w blasku słońca, a jego usta były zaciśnięte w wąską kreskę. Był przystojny i zapewne potrafił być czarujący, jeśli chciał. Jednak dało się wyczuć, że potrafił też być groźny. Stał na podium, w otoczeniu innych mężczyzn w mundurach, i najwyraźniej wygłaszał przemówienie.

Dina potrząsnęła głową.

- Nigdy ich nie... O mój Boże, popatrzcie na tego człowieka, który stoi za nim! To ten, który próbował mnie dzisiaj udusić.

Bob i Clay wymienili porozumiewawcze spojrzenia, ale zamiast podniecić się tą rewelacją, okazali jedynie umiarkowane zainteresowanie.

- Kim oni są? - chciała wiedzieć Dina, która nie takiej reakcji się spodziewała.

Bob zamiast odpowiedzi podał jej jeszcze jedno zdjęcie, tak jak poprzednie odbite z gazety. Tym razem rozpoznała mężczyznę natychmiast.

- To ten starszy, łysy facet. Ten z samochodu w alejce. A kim są tamci?

Clay położył przed Diną na stole wszystkie trzy fotokopie.

- Przypatrz się im dobrze. Jesteś pewna, że nigdy nie widziałaś tych dwóch?

- Absolutnie.

- Ten tu - wskazał na szpakowatego - to Gilbert Foley, właściciel Foley Incorporated International z siedzibą w Dallas. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Teksasie, a może i w całych Stanach Zjednoczonych. Ten z alejki to Harry Dobbs. Jest jego szefem ochrony, znają się jeszcze z czasów, nim Foley założył swoje imperium. Ten zaś - wskazał na mężczyznę w mundurze - to generał Franklin Concord Fitzpatrick, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabu, osobisty przyjaciel i powiernik prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mężczyzna stojący za nim na podium, który próbował cię zabić, to major Sidney Sawyer, były oficer wywiadu, obecny adiutant i prawa ręka generała Fitzpatricka.

Dina siedziała bez słowa. Czuła się zszokowana i wstrząśnięta. Clay zrozumiał, że jeszcze nie powiązała ze sobą tych informacji.

- Posłuchaj, ci dwaj, którzy cię śledzą, pracują dla dwóch bardzo bogatych i wpływowych mężczyzn. Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego chcą się ciebie pozbyć?

- Nie mam pojęcia.

- To jeszcze nie wszystko - wtrącił Bob. - Mam rachunki telefoniczne z sanatorium, obejmujące okres ostatnich dziesięciu lat. Doktor Gresham dzwonił raz w miesiącu pod dwa waszyngtońskie numery. Jeden należy do Pentagonu; możemy się jedynie domyślać, że to bezpośredni telefon do gabinetu generała, bo drugi to telefon

jego prywatnej rezydencji. Fitzpatrick dostawał co miesiąc raport o tobie od naszego uczynnego doktora, a nasz doktor dostawał co miesiąc czek od Jackson Corporation w Wirginii. Myślę, że bez trudu uda nam się ustalić, że za tą korporacją stoi generał Fitzpatrick.

Bob miał teraz swoje pięć minut i nie zamierzał ich nikomu oddawać, zwłaszcza Clayowi.

- A teraz jeszcze jedna interesująca informacja, którą może wy, panie, będziecie umiały rozwikłać. Na drugim piętrze sanatorium jest automat telefoniczny, z którego co miesiąc ktoś dzwonił do Foley Incorporated w Dallas. Ten ktoś był zapewne w kontakcie z Harrym Dobbsem, Domyślcie się, kto to mógł być? Jakaś pielęgniarka albo sanitariusz? Ktoś z personelu lub z pacjentów?

- Pat - powiedziała Mary bez namysłu. To imię jakby samo jej się nasunęło.

- Och nie, Mary, tylko nie ona - jęknęła Dina. Mary sama była wstrząśnięta swoim odkryciem, ale po chwili wzruszyła ramionami i potwierdziła swój domysł.

- Patrycja Nelson jest jedyną pielęgniarką, która specjalnie starała się z tobą zaprzyjaźnić. Przypomnij sobie te wszystkie drogie ciuchy, jakie kupowała i wakacje, na jakie jeździła. Choćby teraz, jest we Francji. Jej pensja nie starcza na taki styl życia. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale też nie miałam powodu się zastanawiać.

- Ale dlaczego? - spytała Dina bezradnie. - Nic z tego nie rozumiem.

- Podobnie jak sędzia Harrison - dodał Bob. -Przed przyjazdem tutaj zawieźliśmy mu kopie tych papierów. I jedno wam powiem: agenci federalni pracujący z nim aż poszarzeli na twarzach, kiedy zobaczyli nazwisko generała. Zachowywali się, jakby piorun w nich strzelił i mamrotali coś o tym, że ma być następnym prezydentem. Jeśli tak, to nie należy oczekiwać od nich zbyt daleko idącej pomocy. Będą zastraszeni i podkulą ogon pod siebie. - Bob prychnął pogardliwie. - Ale jedno jest pewne: sędzia Harrison był wściekły jak diabli i głowę dam, że nie pozwoli sobie zamknąć ust.

Clay jęknął głucho i Bob zamilkł.

- Na miłość boską, Bob, co myśmy zrobili?

- O czym ty mówisz? -zdumiał się Bob w imieniu całej trójki.

- Wszystko jedno czy to generał, czy Foley, przez dotarcie do nich naraziliśmy jej życie na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Ktoś na górze chce, żeby ta sprawa raz na zawsze została zamknięta, i to szybko.

- Jak mogę być w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż jestem? - spytała Dina retorycznie. -Mogą mnie zabić tylko raz. Ale nie mam zamiaru beczynnienie na to czekać. Mam dość bycia ofiarą. W jaki sposób możemy położyć temu kres?

- Znaleźć motyw - powiedział Clay. - A jedyna droga, jaką mamy, to te papiery. Gdzieś w nich musi tkwić odpowiedź na nasze pytanie.

Cztery godziny później spojrzeli po sobie, każde znad swojego stosiku dokumentów. Podzielili je na cztery kategorie i przeglądali jeden po drugim. Clay potarł zmęczone oczy.

- Akta sądowe, łącznie z protokołami, nie wnoszą nic nowego; nie ma w nich nic, czego byśmy do tej pory nie wiedzieli.

Clay spojrział pytająco na Boba, ten zaś pokręcił głową.

- Papiery wartościowe, zwroty nadpłaconych podatków, rozliczenia finansowe nie zawierają w sobie nic podejrzanego.

Zwrócili oczy na Mary.

- Przejrzałam wszystkie rachunki i płatności, łącznie z księgowością „Fleur”. Nie zauważyłam nic dziwnego.

W końcu przyszła kolej na Dinę, ale ona też pokręciła głową.

- Ja też nie znalazłam nic w osobistych papierach babki.

Clay wstał i przeciągnął się. Wiedział, że to, co powie, nie wzbudzi aplauzu.

- Musimy się teraz wymienić miejscami i zacząć od nowa. - Uśmiechnął się przeproszająco w odpowiedzi na ich protesty.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - mruknęła Dina, kiedy usiadła na miejscu Boba i zaczęła przeglądać papiery wartościowe. - Skąd babka miała na to pieniądze? - Wszyscy wbili w nią pytający wzrok. - Zawsze narzekała, że jest na skraju bankructwa.

- Dina, twoja babka była bogatą kobietą - powiedział Clay.

- Nic podobnego.

- Może po prostu nie chciała, żebyś o tym wiedziała - zasugerowała Mary.

- Nie. Nie byliśmy zamożne, a sądząc z ilości papierów wartościowych, jakie kupiła, musiała wyłożyć na nie spory kapitał.

Claya przeszedł zimny dreszcz. Zerwał się z krzesła, omal go nie przewracając, i podbiegł do niej.

- Pokaż mi to. - W jego głosie brzmiało nieklamane podniecenie.
- Jesteś pewna, że babka nie była bogata?

- Najzupełniej. Jej sklep cieszył się powodzeniem, ale mimo to pamiętam, jak siedziała przy kuchennym stole nad stosem rachunków, które przekładała z kupki na kupkę i zastanawiała się, co musi zapłacić od razu, a co może poczekać. Problem polegał na tym, że niektóre z klientek całymi tygodniami jej nie płaciły. Kiedyś spytałam, czemu nie upomni się o pieniądze; wymierzyła mi za to policzek i dodała, że ludzie bogaci nie przywiązują wagi do terminów płatności. W każdym razie wiem na pewno, że co miesiąc martwiła się, jak związać koniec z końcem.

Clay gorączkowo przerzucał papiery na stole.

- Przecież miałem to w ręku - powtarzał, i w końcu uniósł w górę jakąś kartkę. - Kiedy twoja babka przyszła po raz pierwszy do kancelarii mojego dziadka, miała dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które chciała zainwestować. Wtedy właśnie dziadek nakłonił ją do napisania testamentu. - Wyjął ze stosu papierów inną kartkę. - Jakies dwa miesiące przed śmiercią przyniosła następne dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów z dyspozycją, żeby dziadek je zainwestował i prowadził jej sprawy podatkowe.

- Chcesz powiedzieć, że moja babka miała pięćset tysięcy dolarów? To niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

- Ale zgodne z prawdą - wtrącił Bob. - Widziałem te papiery, ale nie zwróciłem na nie uwagi, bo sądziłem, że to zyski z „Fleur”.

- A skoro nie, to skąd miała te pieniądze? - spytała Mary.

- Może lepiej spytać nie skąd, a od kogo? - uściślił Clay. — Kiedy ktoś wchodzi nagle w posiadanie takiej fortuny, można przypuszczać, że dostał spadek. - Spojrzał pytająco na Dinę.

-Jedyną rodziną, jaką babka miała, była moja matka, która rzuciła pracę pielęgniarki, żeby pójść na akademię medyczną.

- Może twoja matka była wysoko ubezpieczona na życie? - podsunął Bob.

- W ogóle nie była ubezpieczona. Na ten temat też się nasłuchiwałam dość narzekania.

- Albo też - ciągnął Clay, nie zważając, że mu przerwano - ktoś jej za coś zapłacił. - Spojrzał na Boba.-Czyżby szantaż?

- W takim wypadku aż prosiła się o śmierć, jeśli stała się zbyt pazerna, a ktoś nie chciał dalej płacić. Pięćset tysięcy dolarów to kupa forsy nawet teraz, a co dopiero dziesięć lat temu. Majątek.

- A kto — podjął Clay - ma dostęp do takich pieniędzy?

Dina w lot zrozumiała, do czego zmierza.

- Gilbert Foley albo generał Fitzpatrick - powiedziała. - Ale czemu mieliby jej płacić

To pytanie z powrotem sprowadziło ich na ziemię. Bez końca rozważali rozmaite możliwości i ewentualne powody, nie dochodząc

do żadnych konkluzji. Jedno wszak było pewne: Agatha Fleur Deveraux szantażowała jednego albo obu mężczyzn.

Mary, która od dłuższego czasu siedziała pogrążona w myślach, podskoczyła nagle na krześle.

- Coś mi chodzi po głowie. Powiedziałaś, że twoja matka rzuciła pracę i poszła na studia. Była pielęgniarką, tak? Do jakiej szkoły chodziła? Gdzie się nauczyła zawodu?

- Była pielęgniarką w wojsku. Chyba tam ją wyszkolili. Po moim urodzeniu opuściła służbę i przeniosła się z powrotem do Houston. Zaczęła pracować w tutejszym szpitalu. Jakies pół roku przed śmiercią odeszła z pracy. Powiedziała, że chce być lekarzem i skończyć medycynę.

- Skąd samotna matka z małym dzieckiem wzięła pieniądze na studia? - spytał Clay, na nowo podekscytowany.

Dina wzruszyła ramionami.

- Nie miałyśmy prawie żadnych środków. Matka brała nocne dyżury, żeby spędzać więcej czasu ze mną. Były dni, że musiała pożyczać pieniądze od babki. Dobrze to pamiętam.

- Dina - nalegał Clay - studia medyczne są bardzo drogie. Przypomnij sobie, może twoja matka spotykała się z jakimś bogatym facetem?

- Nie, w ogóle rzadko kogoś widywała. Nie miała czasu, brała te dyżury; no i opiekowała się mną.

Bob chrząknął i wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco. Podrapał się po głowie.

- Czy twoja matka mogła znać Foleya albo Fitzpatricka?

Pomyślałem sobie, że byli wszyscy mniej więcej w tym samym wieku. Może to jakoś się wiąże.

- Ale co to ma wspólnego z nagłym wzbogaceniem się babki i jej śmiercią?

- Sam chciałbym wiedzieć - powiedział Clay i wszyscy poczuli, jak iskierka nadziei gaśnie.

Zapadał już zmierzch, byli głodni i zmęczeni. Dina wpatrywała się nie widzącym wzrokiem w leżący przed nią kwit, kiedy nagle coś w jej pamięci drgnęło. Wzięła papier do ręki - było to pokwitowanie z magazynu, w którym przechowywano rzeczy babki, z wyszczególnieniem wszystkich przyjętych przedmiotów.

- Clay, moja matka pisała pamiętnik. Robiła to zawsze. - Podniosła w górę pokwitowanie. - Są tu wymienione między innymi dwie cedrowe skrzynie, których nie ma w domu. Jedna z nich należała do mamy, Trzymała w niej między innymi swoje pamiętniki. Może w nich znajdziemy jakiś ślad? Może mama wiedziała, co babka knuła.

Clay uchwycił się tej możliwości, choć wydawała się dość mało prawdopodobna. Spojrzał na zegarek.

Teraz magazyn jest zamknięty, ale pójdziemy tam z samego rana. Na dzisiaj chyba koniec. Jesteśmy wszyscy zbyt zmęczeni, żeby wymyślić coś mądrego.

Lecz Bob chciał wiedzieć jeszcze jedno.

- Dina, ile miałaś lat, kiedy umarła twoja matka i jak to się stało?

Odkąd odzyskała pamięć, Dina starała się nie myśleć o śmierci matki, ale nie mogła uciec od mej w snach. Nie mogła uwolnić się od dręczących ją obrazów z przeszłości.

- Miałam jedenaście lat. - Wstała i zaczęła porządkować papiery na stole. - Matka zginęła w wypadku samochodowym. Zanim umarła i zanim nas znaleźli, minęły długie godziny.

- Nas? - spytał Clay, czując, że serce podchodzi mu do gardła.

- Tak.

Spojrzała nieobecny wzrokiem w przestrzeń, nie przestając automatycznie robić porządku na biurku, jakby chciała odseparować się od strasznych wspomnień, które ją opadły.

- Była noc, wracałyśmy z Galveston. Kiedy to się stało, spałam na tylnym siedzeniu. Powiedzieli mi, że straciła kontrolę nad kierownicą i przeokoziółkowałyśmy przez nasyp. Byłyśmy zatrzaśnięte jak w pułapce. - Zobaczyła to znów z całą wyrazistością i poczuła taki ból, że musiała usiąść. - Byłam unieruchomiona z tyłu i nie mogłam się ruszyć ani jej dosięgnąć. Ale słyszałam, jak jęczy w ciemnościach. Po długim czasie nastąpiła cisza, a potem przyjechała pomoc.

- Na miły Bóg - powiedział Clay, podnosząc ją z krzesła i biorąc w ramiona. - Nic dziwnego, że boisz się ciemności.

- Przez te dziesięć lat w sanatorium zawsze upierałam się, żeby zostawiono mi światło. Dopóki nie odzyskałam pamięci, nie wiedziałam dlaczego. Clay przytulił ją mocniej.

- Pamiętasz, jak chciałem schować przed tobą twoje świadectwo urodzenia?

-Tak.

- Mówiłaś, że matka nigdy ci nie powiedziała, kto był twoim ojcem.

- To prawda.

Clay spojrzał na przyjaciół.

- Jak myślisz, Bob, czy Foley albo Fitzpatrick może być ojcem Diny?

- Niewykluczone - przyznał Bob.

- Jeśli to któryś z nich - wtrąciła Mary - to możliwe, że jest mordercą Agathy Deveraux. Ale dlaczego?

Dina wysunęła się z ramion Claya.

- Czym babka mogłaby ich szantażować? Przyznaję, że ujawnienie faktu posiadania nieślubnego dziecka mogło być nie na rękę żonatemu mężczyźnie o ich statusie i pozycji, zwłaszcza jeśli się ma ambicje polityczne, jak w przypadku generała. Ale to chyba nie jest wystarczający powód, żeby płacić pół miliona dolarów za milczenie i posuwać się do morderstwa?

- Z pewnością - zgodził się Clay. - Nie sądzę, aby któryś z nich ryzykował głową tylko po to, żeby uniknąć skandalu. Poza tym w takich wypadkach i tak całe odium spada na kobietę. W przypadku mężczyzn opinia publiczna kwituje to stwierdzeniem, że taka już ich natura.

- Clay ma rację - powiedział Bob. - A ja jestem zbyt zmęczony, żeby jeszcze coś wymyślić.

Clay odprowadził ich do drzwi, zostawiając Dinę pogrążoną w myślach. Zaczynała się już obawiać, że nigdy nie dojdą prawdy i będzie musiała żyć w strachu przez resztę życia.

- Przestań się zamartwiać - wyrwał ją Clay z tych ponurych rozmyślań. - Dowiemy, się, kto to zrobił i dlaczego.

- A jeśli nie?

- Zostawmy to na jakiś czas. Zapomnijmy o wszystkim i chodźmy do miasta na kolację, jak zwyczajna para na randce. Wybierzemy jakąś miłą restaurację, gdzie dadzą nam pełny posiłek z jarzynami.

Kiedy wrócili, dom był oświetlony. Junior siedział na ganku z dubeltówką na kolanach, a Homer obstawiał tylne drzwi. Dinie zrobiło się ich żal. Pracowali cały dzień, a jeszcze czekała ich noc czuwania. Clay jednak mrugnął do Juniora i powiedział, że teraz on przejmie pieczę i mogą z bratem iść do domu.

Dina skierowała się wprost do gabinetu. Kiedy przechodziła przez hol, pochwyciła swoje odbicie w lustrze. Zatrzymała się i popatrzyła na siebie. Czy to naprawdę ona? Szaroniebieska, szyfonowa sukienka z białym kołnierzykiem i mankietami była kopią modelu Billa Blassa, który widziała w zeszłym roku w kobiecym magazynie. Zmarszczona ciasno w pasie, uszyta z pełnego koła, falowała jej u kolan niczym łagodne morze. Miała ją na sobie po raz pierwszy i zobaczyła, że wygląda w niej wytwornie i powabnie, a nie wyłącznie młodzieńczo i świeżo, jak jeszcze parę tygodni temu.

Spojrzała uważnie na swoje odbicie. Przecież to nie nowa sukienka dodała jej dojrzałości. Jest po prostu zakochaną kobietą i miłość emanuje z niej wszystkimi porami ciała, wpływając nawet na sposób, w jaki się porusza.

Clay znalazł ją w gabinecie, przykucniętą na podłodze w obłoku szyfonu. Szperała w pudle z płytami jak dziecko w bombonierce, szukające ulubionej czekoladki.

- Och, Clay - powiedziała z zachwytem. - Jest tu Johnny Mathis, Barbra Streisand, Neil Diamond, Righteous Brothers. Zaczęła nucić melodię Temptations, podając mu płytę; - Puść to, szybko! - Potem podała mu płytę Roberta Flack. - O, i to. - Czeka, czeka. Puść też to. Diana Ross, Marvin Gaye, Al Green -Znów zaczęła nucić. - Poczekaj! Jest też Rod Stewart, Simon i Garfunkel, David Bowie. Puść wszystkie te płyty, Clay, szybciej!

Zaczął się śmiać, układając płyty jedną na drugiej jak talerze.

- Dina, adapter może odtwarzać naraz tylko jedną melodię.

Ale ledwo go słuchała.

- Twoja siostra i jej mąż mają doskonały gust. -Nucąc, podała mu kolejną płytę.

- O, co to, to nie. Nie będę słuchać Johna Denvera. Podaj mi Jima Croce. Jest świetny.

Clay nastawił płytę i skłonił się nisko:

- Czy mogę panią prosić do tańca, panno Dino Deveraux?

Podał jej rękę i pomógł wstać z podłogi, lecz Dina przez chwilę się zawahała.

- Tańczyłam do tej pory tylko z dziewczętami.
- Więc czeka cię nowe, wspaniałe przeżycie.
- Przestań sobie ze mnie pokpiwać - powiedziała, nagle

onieśmielona. Instynktownie zaczęła prowadzić, ale przypomniała sobie, że to zadanie mężczyzny. -Przepraszam.

- Może kiedyś spróbujemy tego dla zabawy na twój sposób. Ale teraz...

Wziął ją w ramiona i przysunął do siebie. Początkowo była trochę sztywna, ale Clay prowadził ją pewną ręką i po chwili rozluźniła się. Jej usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu. Właśnie była na swojej pierwszej randce w eleganckiej restauracji. Nikt jej nie poznał ani nie zwracał na nią specjalnej uwagi. Wypiła pierwszy kieliszek wina, zjadła homara i pyszny mus czekoladowy na deser. To wszystko było bardzo przyjemne, ale największą przyjemność sprawiało jej samo przebywanie z Clayem. Tyle cudownych rzeczy wydarzyło się tego dnia, że niemal zapomniała o swoich dramatycznych przejściach.

Uśmiechnęła się do niego, gdy zaczęła się następna ballada.

- Czy tak właśnie wygląda uwodzenie?
- Kto wie, do czego nas to doprowadzi. Tańczył z nią, zdumiony, że idzie mu tak dobrze.

Nigdy właściwie nie lubił tańczyć, ale z Diną wszystko było inaczej. Oparł podbródek na czubku jej głowy, wdychając delikatny zapach perfum. Zastanawiał się, czy powinien dziś znowu spróbować się z nią kochać. Obiecał sobie, że nie będzie niczego przyspieszać,

ale jego dobre intencje spaliły na panewce, kiedy się do niego przytuliła.

- Clay, czy to się kiedyś skończy?

- Mam nadzieję, że nie. Parsknęła śmiechem.

- Nie to; mam na myśli moje problemy. Jestem wyczerpana i nie chcę więcej żyć w strachu. Chcę żyć normalnie.

Jej oczy, pociemniałe z emocji, przypominały dwa wciągające w głąb jeziora. Zatonął w nich bez pamięci, wstrzymując oddech, żeby uciszyć bicie serca. Jej włosy lśniły w półmroku starym złotem, a skóra była gładza od płatka róży.

- Przyrzekliśmy sobie, że dzisiejszy wieczór będzie należał tylko do nas. Że nie będziemy się martwić i rozmawiać o naszych kłopotach.

Nie pamiętał, aby kiedykolwiek tak pragnął jakiejś kobiety. Chciał jej nie tylko na jeden dzień czy jeden tydzień, ani nawet nie na parę miesięcy, ale na całe życie. Zaraz jednak przypomniał sobie o swoim postanowieniu, żeby zmierzać do celu wolno i bez pośpiechu, i odsunął się od niej, walcząc z wzbierającym w nim pożądaniem.

Dina przestraszyła się, czy go czymś nie uraziła. Wiedziała z filmów, że taniec często spełnia rolę gry wstępnej, prowadzącej do miłosnych uniesień. W ich wypadku tak się nie działo. Może go rozczarowała. Może żałował tego, co między nimi zaszło. Może...

- Clay, czy będziemy się jeszcze kiedyś kochać?

Zatrzymał się w pół kroku i zamarł, a potem odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem. Kiedy się uspokoił, zajrzał jej

głęboko w oczy i powtórzył to co wówczas, kiedy obiecywał z nią tańczyć:

- Kiedy tylko zechcesz.
- Teraz? - szepnęła.
- Chcesz uczyć nową kanapę?

Chwyił ją w pasie i podniósł do góry. Zarzuciła mu ręce na szyję i nogi wokół bioder, wichrząc mu włosy palcami i przyciągając jego głowę do siebie.

- Łóżko może być wygodniejsze.
- Ale nie takie nowatorskie.-Pocałował ją gorąco i dodał: -

Potem możemy wypróbować także nowe łóżko.

- Potem? Masz na myśli dwa razy? Nie za dużo?
- Nawet trzy, jeśli będziesz chciała poddać egzaminowi także swoje łożo. Mam nienasycony apetyt.
- Udowodnij - roześmiała się, zaciskając wokół niego nogi i ręce.

Obudziły ją lekkie pocałunki biegnące wzdłuż grzbietu. Uniosła z trudem ciężkie od snu powieki, spojrzała przez zmierzwione włosy za siebie i jęknęła:

- O nie! Poddaję się. Wystarczy.

Clay nie przestał jej całować. Doszedł aż do nasady włosów na karku, a potem pocałował ją za uchem i roześmiał się, kiedy podskoczyła.

- Wstawaj, leniuchu. Już późno.

- Jak późno? - mruknęła, chowając twarz w poduszkę i chichocząc pod wpływem jego łaskoczącego oddechu za uchem.

- Tak późno, że zdążyłem już wypić kawę.

- Beze mnie? - Przewróciła się na plecy i spojrzała na niego groźnie. Był już ubrany w garnitur. - Dokąd idziesz? Mówiłeś, że weźmiesz parę dni urlopu.

- W sprawie, którą przełożyłem, zaszły pewne komplikacje. Muszę pokazać się w sądzie i zaraz będę z powrotem. Junior i Homer są już na posterunku. Po-śpij jeszcze, niedługo wracam.

Usiadła, osłaniając się prześcieradłem.

- Pojedziemy wtedy do magazynu, gdzie są złożone rzeczy babki?

- Jak tylko wrócę. - Pocałował ją lekko w usta, odwrócił się do wyjścia i nagle przystanął. - Dina, czy wiesz coś o antykoncepcji?

Popatrzyła na niego z konsternacją. Nie pomyślała o tym dotąd i sądząc z jego postępowania, on też nie. W jej oczach pojawił się złośliwy chochlik, wywołany nie tyle samym pytaniem, ile niepewnym tonem jego głosu.

- No cóż... - zagryzła wargi, żeby ukryć rozbawienie - jedna z pielęgniarek powiedziała mi, że jak mężczyzna obdarzy kobietę francuskim pocałunkiem, to będzie miała dziecko. Mary mówiła, żebym trzymała kolana razem, to wszystko będzie w porządku, a doktor Gresham powiedział, że dzieci przynoszą bociany.

Trudno sobie było wymarzyć lepszą odpowiedź. Clay stał jak porażony, z osłupiałą miną. Nie mogąc się dłużej powstrzymać, Dina ukryła twarz w poduszce, dusząc się ze śmiechu. Poczula, że siada przy niej na łóżku; podniosła głowę i znów zaczęła się śmiać. Clay nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Oczywiście, że wiem to i owo o antykoncepcji, ale nie zażywam pigułki. A ty nie...

Clay wziął głęboki oddech.

- Zajmę się tym, a teraz muszę już iść. – Pochylił się i pocałował ją długo i czule. - Będę za tobą tęsknił. Nie zrób jakiegoś głupstwa, niedługo wracam.

Po jego wyjściu poczuła przeraźliwą pustkę, ale zaraz sobie przypomniała jego słowa: powiedział, że wraca „do domu”. Nazwał ich wspólne mieszkanie „domem”. Z błogim uśmiechem położyła się z powrotem na łóżku. Jej babka przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, co się tu dzieje. I nie chodzi bynajmniej o seks. Chodzi o

miłość i szczęście, które tu zawitały. Miłość jej i Claya. Szczęście Mary i Boba. Nawet siostra Claya wniosła tu ciepło i serdeczność, a William i jego synowie też pochodzili z bliskiej sobie, kochającej się rodziny. Z sercem przepełnionym radością Dina otuliła się kołdrą.

Musiała przyznać, że Clay wiedział, co mówi, radząc jej, żeby się jeszcze przespała. Obudziła się dopiero po dwóch godzinach i szybko wstała z łóżka, chcąc się wykapać i ubrać przed jego powrotem. Ledwo zeszła do gabinetu, pojawił się w drzwiach.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Spojrzała na niego wyniośle, mając na końcu języka odpowiedź, że czeka już od dawna. Jednak nie wytrzymała i zaczęła się śmiać, przyznając, że niemal zasnęła. Obserwowała, jak Clay zdejmuje krawat i marynarkę, rozpinając kamizelkę i rzuca ją na krzesło. Na ten widok przypomniawszy sobie zeszły wieczór i poczuła, że jej twarz robi się gorąca.

Clay patrzył na jej zaczerwienione policzki z rozbawieniem. Pochylił głowę, żeby ukryć uśmiech, wiedząc doskonale, o czym Dina myśli. On też przez cały ranek wracał wspomnieniami do ich wspólnej nocy. Miał wielką ochotę trochę się z nią podroczyć, ale postanowił poczekać, aż oswoi się z nową sytuacją.

- Bob zaraz tu będzie. Zadzwoń do niego z biura.

- A jeśli nie znajdziemy, nic w pamiętnikach mamy? - spytała. -
Co wtedy?

Usiadł koło niej na kanapie i wziął ją za rękę.

- Będziemy dalej szukać. Ale nie jest tak źle, jak myślisz.

Wiemy już, że dwaj śledzący cię faceci pracują dla dwóch potężnych bosów. Mamy dowód, że Foley i Fitzpatrick płacili Greshamowi, tej pielęgniarce i sędziemu Jonesowi. Zapewne też i innym lokalnym notablom, łącznie z policją. I nie zapominaj, że sędzia Harrison jest po naszej stronie. To stary wyga, a ponadto człowiek, który nie da się przekupić ani zastraszyć. Jest oburzony tym, co cię spotkało i gotów zrobić wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Bob dziś rano z nim rozmawiał. Agenci federalni, wbrew oczekiwaniom, nie wycofali się ze sprawy, kiedy się dowiedzieli, kto jest w nią zamieszany. Myślę, że powolna machina prawą zaczyna nabierać szybkości.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował wnętrze dłoni.

- Więc nie martw się, jeśli nic nie znajdziemy w magazynie. To tylko jeden z tropów, które musimy zbadać. Chodź, słyszę samochód Boba.

Wyprawa do magazynu sama w sobie okazała się przygodą, choć Clay i Bob swoimi kłótniami robili wszystko, żeby zepsuć zabawę. Zgubili się w nie znanej sobie dzielnicy, ale nie chcieli się do tego przyznać. Dina z zafascynowaniem obserwowała ich zachowanie. Raz i drugi zasugerowała, żeby stanąć i spytać o drogę, ale odpowiadali jej uprzejmie, że doskonale wiedzą, gdzie są. Odważyła się wyrazić wątpliwość, mówiąc, że skoro tak, to czemu nie mogą trafić na miejsce, ale ich piorunujące spojrzenia zamknęły jej usta.

Minęło już południe, kiedy Bob zaparkował przed kompleksem magazynów. Strażnik w budce przy bramie spał, sama zaś brama była szeroko otwarta. Mężczyźni wyszli z nim porozmawiać, a Dina rozejrzała się wokół. Musieli być w starej części miasta, położonej blisko morza, bo nad ich głowami latały mewy, a w powietrzu czuć było słoną wilgoć. Przed nimi stały trzy długie, dwupiętrowe budynki ze zmurszałej cegły.

Claya i Boba nie było całe wieki, a kiedy wrócili, ich miny nie wróżyły nic dobrego. Aż bała się odezwać, ale ciekawość zwyciężyła.

- Dlaczego nie było was tak długo?

- Facet jest kompletnie pijany - wyjaśnił Clay. - Nie miał pojęcia, gdzie mogą być złożone rzeczy twojej babki. W końcu przypomniał sobie o rejestrze, ale trudno było z niego coś odcyfrować. Ponieważ na kluczu jest numer schowka, w grę wchodzi dwa budynki. Chyba będziemy musieli przeprowadzić poszukiwania na własną rękę. - Potrzęsnał głową. - Nie mogę pojąć, czemu dziadek wybrał to miejsce.

- Zapewne właśnie dlatego - odezwał się Bob. - Chciał mieć pewność, że jeśli jest tu coś ważnego, nikt tego łatwo nie znajdzie.

Clay uśmiechnął się.

- To mi wygląda na dziadka. A sam na pewno trafiłby tam z zamkniętymi oczami.

Kiedy otworzyli drzwi pierwszego budynku, aż się cofnęli - zatechły zapach uderzył ich w nozdrza. W środku było ciemno i ponuro.

- Czy ktoś pomyślał o tym, żeby wziąć latarkę? W końcu Clay znalazł kontakt i długi korytarz z komórkami po obu stronach rozświetlił się rzędem słabych żarówek. Komórki były zamknięte żelazną sztabą zwieńczoną kłódką; przez sztachetowe drzwi widać było złożone tam ciasno meble i skrzynie. Bob zaklął.

- Nie dacie wiary, ale na drzwiach nie ma numerów!

- Muszą być - warknął Clay.

Dina, która uważnie oglądała najbliższe drzwi, westchnęła z ulgą.

- Numery są na kłódkach.

- Cudownie - mruknął Bob. - Czy to znaczy, że będziemy musieli oglądać każdą kłódkę?

- Na to wygląda.

Co gorsza, kłódkki nie były numerowane kolejno i po godzinie poszukiwań udało im się trafić jedynie na dużą windę towarową. Bob, zgrzany, zakurzony i wściekły, zarządził przerwę.

- Jest już trzecia. W tym tempie będziemy musieli zostać tu na noc, co mi niezbyt odpowiada. Może lepiej się rozdzielmy. Clay, ty i Dina jedźcie tą windą na drugie piętro, a ja pójdę schodami na pierwsze. Jeśli nie znajdziemy tego schowka tutaj, będziemy się musieli przenieść do drugiego budynku.

Winda trzęsła się i skrzypiała w drodze na górę. Dina uchwyciła się ramienia Claya.

- Okropne miejsce. Chętnie bym stąd uciekła: Stanęli z szarpnięciem i głuchym łoskotem. Kiedy Clay po chwili zmagania się

z dźwignią otworzył drzwi, zobaczyli przed sobą ten sam widok, co na pierwszym piętrze Dina czekała, aż Clay znajdzie kontakt Nie miała zamiaru sama zagłębiać się w ciemny korytarz. Ponadto dochodziły stamtąd podejrzane szelesty i szmery.

Światło okazało się równie słabe, jak na parterze, ale przynajmniej rozjaśniło trochę mrok i spłoszyło gryzonie. Dina wzdrygnęła się, wyobrażając sobie czerwone oczka obserwujące ich z zakamarków.

- Rozluźnij się. Mamy mnóstwo roboty. Dina spojrzała w głąb długiego korytarza.

- Czuję się jakoś dziwnie.

Clay chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

- To może znaczyć, że znajdują się tu rzeczy twojej babki.

- Nie jestem jasnowidzem.

- Ale jesteś czarownicą. Na mnie z pewnością rzuciłaś urok.

Postanowili, że będą posuwać się wzdłuż korytarza, sprawdzając każde jedną stronę. Mniej więcej po godzinie byli zmęczeni, spoceni i mieli wszystkiego dość. Dinę piekły nogi w nowych butach i paliło ją pragnienie. Marzyła o dzbanku zimnej wody i prysznicu, który zmyłby z niej kurz, brud i to coś, co miała we włosach.

- Zdaje się, że widziałem tam w połowie odnogę innego korytarza - powiedział Clay.

- Dobrze, chodźmy - zgodziła się z westchnieniem.

W krótkim, bocznym korytarzyku były tylko dwa schowki.

Słyszając triumfalny okrzyk Claya, Dina natychmiast znalazła się u jego

boku. Pokazał jej mosiężną kłódkę z wybitym na niej numerem szesnaście.

- To tu - oznajmił, wkładając klucz. - Mam nadzieję, że będzie pasować.

Dina wstrzymała oddech, wydając westchnienie ulgi, gdy zamek zaskoczył. Clay wszedł pierwszy i po chwili w schowku rozblęskło jasne światło. Zmrużyła oczy, osłaniając je dłonią.

- To na pewno sprawka dziadka. Też nie lubił ciemności.

- Wiem. Mówiliśmy o tym, zastanawiając się, dlaczego ludzie uważają to za takie irracjonalne.

Przyciągnął ją do siebie i objął. Obojgu stanął przed oczami dobry, mądry, stary człowiek, który ich kochał.

- Do głowy by mi nie przyszło, że twoja babka miała tyle mebli - powiedział Clay ze zgrozą.

Samo ich przesuwanie w poszukiwaniu tego, po co tu przyszli, mogło im zająć parę godzin.

- Większość to stare graty. Ale jest parę sztuk, przywiezionych przez nią kiedyś dawno z Francji, które chciałabym zatrzymać.

- No to bierzmy się do roboty. Powiedz mi jeszcze raz, czego szukamy? - spytał, usuwając z drogi ciężkie, rzeźbione wezglowie łóżka.

- Dwóch cedrowych skrzyń. - Zamilkła na chwilę, pogrążona w myślach. - Pamiętam, że kiedy mama umarła, babka usunęła wszystkie jej rzeczy. Te pamiątkowe włożyła do cedrowej skrzyni, te

inne zapakowała do pudeł i postawiła na strychu. Ciekawe, czy też tu są...

Clay szybciej niż myślał poradził sobie z odsunięciem najcięższych mebli, robiąc przejście do tylnej ściany i ustawionych tam na chybił trafił pudeł. Dina zaczęła się przeciskać do nich między stołami, lecz nagle stanęła.

- Słyszałeś?

- Co? - Clay, zmachany i spocony, słyszał tylko własne przekleństwa, mamrotane pod nosem.

- Posłuchaj. Znów.

- Nie nic słyszę. Co to było?

- Coś jakby odgłos pęknięcia albo głośny trzask. Clay spojrzał pod nogi.

- Mam nadzieję, że to nie zawałająca się podłoga.

- Wielkie dzięki, Clay. - Roześmiała się nerwowo. Podłoga rzeczywiście skrzypiała złowieszczo przy każdym kroku, a w szparach między deskami widać było nikiłe światło z dołu. - Twoje słowa brzmią bardzo uspokajająco.

- Przed chwilą omal nie wpadłem w dziurę wielkości stopy, wygryzioną przez szczura.

-Clay!

- Nic dziwnego, że słyszysz różne odgłosy. To miejsce trudno nazwać dźwiękoszczelnym. Na pewno z dołu doskonale słychać nasze głosy.

Zaczęli przesuwac stary kredens, gdy Dina nagle zeszywniała.

- A teraz słyszysz?

- Masz na myśli karaluchy biegające po ścianach? Tak, ale nie musisz mi o nich przypominać.

Zobaczył, jak wzdrygnęła się z obrzydzeniem i zagryzł usta, żeby się nie roześmiać. Miała dwie ciemne smugi na policzku i jedną na czole, co wyglądało jak barwy wojenne. Widząc jego rozbawienie, pomyślała, że pewno ma ją za tchórza.

- To chyba Bob nas wołał.

Clay zaczął przerzucać stertę pudeł, stojących im na drodze. Słyszając to, krzyknął do Boba, że są na drugim piętrze. Kiedy krzyknął po raz drugi, Dina zasłoniła uszy. Jego głos wibrował echem w budynku, odbijając się od ścian i sufitu. Poczekali chwilę, ale nie było odpowiedzi. Clay wzruszył ramionami i podniósł kolejne pudło.

- Na pewno zaraz tu do nas przyjdzie.

- Clay, popatrz!

Po odsunięciu pudeł ukazały się dwie cedrowe skrzynie ustawione jedna na drugiej. Poczuli się jak poszukiwacze skarbów u szczęśliwego kresu. Zmęczenie minęło jak ręką odjął i zaczęli zdejmować teraz pudełka z wierzchu. Kiedy w końcu oczyścili pole, postawili skrzynie obok siebie i stanęli, patrząc na nie z dumą i niejaką obawą. Dopiero po minucie zdali sobie sprawę, że każda z nich ma zamek.

- Zupełnie o tym zapomniałam - jęknęła Dina.

- Nie martw się. - Clay zagłębił rękę w kieszeń i wyciągnął szwajcarski scyzoryk. - Jestem przygotowany na wszystko.

Pogmerał w zamku i po chwili, która dłużyła im się jak wieczność, otworzył obie skrzynie.

- Od której chcesz zacząć?

- Ja wezmę jedną, a ty drugą - powiedziała.

- Wołałbym nie, Dina. To są rzeczy należące do twojej przeszłości, do twojej rodziny. Sądzę, że powinnaś otworzyć je sama.

Pomyślała, że jest niemądry, i z impetem uniosła wieka obu skrzyń. Uderzył ich w nozdrza zapach naftaliny i cedru. Clay kichnął, a Dina wytarła oczy.

- No, już je otworzyłam. Teraz ty przejrzyj jedną, a ja drugą.

Przyklęknęła przy tej bliższej i zawahała się, poznając w niej skrzynię należącą do babki. Drżącą ręką odsunęła kryształki naftaliny, zdjęła papier i wzięła do ręki stary szal koronkowy.

Clay tymczasem wyjął ze swojej skrzyni dużą, grubą kopertę i przejrzał szybko znajdujące się w niej papiery.

- To wszystko z ministerstwa obrony. Wiedziałaś, że matka była instrumentariuszką w szpitalu polowym podczas wojny w Korei?

Patrząc na datę jej zwolnienia, obliczył w myślach, że Dina urodziła się osiem miesięcy po odejściu Nancy Deveraux z wojska.

- Nie wiedziałam.

Dina szperała w delikatnych tkaninach, myśląc, że jeśli babka uczyniła dla niej coś dobrego, to wpojenie jej wiedzy na temat jakości materiałów. Pogładziła elegancką, staromodną suknię wieczorową, którą Agatha Deveraux przywiozła kiedyś z Francji, i wsuwając rękę głębiej, wyczuła pod palcami dwa oprawione w skórę notesy.

Natychmiast je poznała, lecz nie miała czasu pomyśleć, skąd się wzięły w rzeczach babki, bo właśnie w tej chwili usłyszała okrzyk Claya:

- Dina! Znalazłem pamiętniki!

Przysunęła się do niego i zajrzała do skrzyni matki. Ze ściśniętym sercem wzięła do ręki i przytuliła do piersi zniszczonego, małego, pluszowego misia bez jednego oka. Zacisnęła mocno powieki, czekając na łzy, ale czuła tylko przeraźliwą suchość w gardle i odrętwienie.

Dostała go od mamy we wczesnym dzieciństwie i od tej pory nigdzie się bez niego nie ruszała. Był maskotką, dającą jej poczucie bezpieczeństwa. Po śmierci matki babka zabrała jej misia, mówiąc, że jest za duża na takie zabawki. Teraz ze zdumieniem zobaczyła, że zachowała go jednak na pamiątkę i spakowała razem z resztą rzeczy matki.

- Wygląda na to, że brakuje dwóch notesów - powiedział Clay, przeglądając pamiętniki. - Tych sprzed twojego urodzenia.

Chciała mu właśnie powiedzieć, gdzie je znalazła, kiedy znów coś obudziło jej czujność.

- A teraz słyszysz?

- Masz nadwrażliwe uszy - zbył ją, przeglądając kolejne papiery.

- Dina, wiedziałaś, że matka złożyła w banku dwa depozyty w odstępie paru dni na łączną sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów?

- Skąd mogła mieć tyle pieniędzy?

- Popatrz, co tu znalazłem...

Ale go nie słuchała, skupiona na dźwięku, który dochodził z tyłu. Poczuła mrowienie na karku i wolno odwróciła głowę.

- Clay... - szepnęła, chwytając go za ramię.

Zerknął za siebie i zamarł. Zobaczył łysego mężczyznę z rysunków Diny. Zobaczył też, że mężczyzna trzyma w ręku pistolet, wycelowany w głowę dziewczyny.

- Czego pan chce?

Harry Dobbs miał za sobą ciężki dzień i nie zamierzał odpowiadać na żadne pytania. Odsunął się od drzwi i ruchem ręki nakazał im wyjść na korytarz.

Poznajesz go, prawda? - szepnęła Dina, podnosząc się znad kufra.

- Tak, to Harry Dobbs. Widzieliśmy go na zdjęciu.

- Co teraz będzie, Clay?

- Cicho tam! - Mężczyzna miał niski, dudniący głos, ochryply od papierosów, - Postawmy sprawę jasno, panie Lambert. Jeden zbędny ruch, jeden krok w moją stronę, a zastrzelę dziewczynę. Myślisz pewnie, że jestem stary i niedołężny, to łatwo mi dasz radę. Tylko spróbuj, to zabiję ją jak psa, a potem ciebie. Zrozumiano?

Poczekał, aż Clay kiwnie głową i popędził ich przed sobą długim korytarzem. Odezwał się dopiero przy windzie:

- Właźcie i pamiętajcie, co mówiłem.

Dina zamknęła oczy, kiedy ze zgrzytem i chybotaniem zjeżdżali na dół. Clay trzymał ją mocno za rękę. Wychodząc z windy potknęła się o coś.

- O Boże!

Zobaczyła pod nogami but, a obok nogę w samej skarpetce. Zachwiała się, obejmując wzrokiem leżące przed nią na wznak ciało. Clay zacisnął zęby i szybko odwrócił ją w drugą stronę.

- To ten człowiek, który próbował cię udusić.

- Czy on... nie żyje?

Widział w życiu dość trupów, żeby bezbłędnie rozpoznać ten szklany wzrok.

- Tak.

- No dalej, co się guzdrzecie - warknął Dobbs. I widząc wyraz twarzy Diny, dodał: - Nie zostawił mi wyboru. Poza tym to on zabił tego dziennikarza i możecie mi wierzyć, że chciał zrobić to samo z wami.

- To dla nas wielka pociecha - powiedział Clay sarkastycznie i pożałował tych słów, kiedy Dobbs pogroził mu pistoletem.

- No, jazda!

Przyszedł już czas na ich cudowne wyzwolenie, uznał Clay. Najwyższy czas. Miał nadzieję, że Bob będzie ostrożny. Stary może nie był najszybszy w nogach, ale wyglądało na to, że strzela jak błyskawica i sądząc z wyrazu twarzy, nie zawaha się nacisnąć na spust.

Dina też się zastanawiała, gdzie jest Bob. Czy wie, co się dzieje i czeka na dogodną chwilę? Odpowiedź wkrótce nadeszła sama. Bob leżał pod drzwiami jednego ze schowków w koszuli zbroczonej krwią.

- Och, Clay! - jęknęła głucho i przylgnęła do niego, czując wilgoć pod powiekami.

Objął ją mocno i przytulił. Kiedy spojrzała na niego oczami pełnymi łez, zobaczyła, że ma dziwny wyraz twarzy i daje jej jakiś znak lekkim, przeczącym ruchem głowy.

Na dworze już zmierzchało, lecz nadal było gorąco jak w piekarniku. Dina starała się coś wymyślić, ale była nieprzytomna ze strachu. Kiedy stanęli przy dużym, ciemnym samochodzie, zeszywniała. A kiedy Dobbs, nie spuszczając ich z oka, wyjął kluczyki i zaczął otwierać bagażnik, poczuła dreszcz grozy.

- Właźcie! - nakazał.

- Nie. - Cofnęła się.

Dobbs wycelował w nią pistolet.

- Powiedziałem: właźcie.

- Clay... - Ciemna czeluść bagażnika wyglądała odrażająco i groźnie. - Nie mogę.

- Co to ma znaczyć? — Dobbs zrobił krok w ich kierunku.

Clay powstrzymał go, podnosząc rękę.

- Udusimy się tam.

Dobbs spojrzał na bagażnik, a potem na nich i z wprawą rewolwerowca strzelił dwa razy w otwartą pokrywę bagażnika.

- A teraz do środka!

- Człowieku, nie widzisz, że ona śmiertelnie się boi zamkniętej przestrzeni?

- Panienko - zagrzmiął Dobbs - albo zaraz tam wejdiesz, albo przestrzelę twojemu ukochanemu kolano, A potem ramię. Zdziwisz się, widząc; ile kul można wpakować w ciało człowieka, zanim się wykrwawi na śmierć.

Dina nie mogła się ruszyć. Patrzyła jak zahipnotyzowana w czarną otchłań bagażnika. Nawet ta groźba nie była w stanie wyrwać jej z odrętwienia. Usta miała spieczone, a serce biło tak mocno, że puls rozsadzał jej czaszkę.

Clay, nie czekając, aż zemdleje, chwycił ją w ramiona i włożył do bagażnika, kładąc się obok, Bagażnik był dość obszerny, ale kiedy Dobbs zatrzasnął wieko, ogarnęła ich ciemność. Przez pierwszą chwilę nic nie widział, lecz wkrótce wzrok przyzwyczaił się do mroku i w nikłym świetle wpadającym przez przestrzelone dziury zajrzał Dinie W twarz, przytulając ją mocno do siebie. Była absolutnie sparaliżowana ze strachu.

- Nie mogę oddychać - wykrztusiła.

- Posłuchaj, kochanie.-Ujął jej twarz w obie dłonie. - Jestem tu z tobą. Nie jesteś sama. Postaraj się wziąć teraz głęboki oddech.

Posłuchała go, próbując zwalczyć duszącą ją zmore, ale trzęsła się na całym ciele. Starła się skupić całą uwagę na Clayu i na tym, co do niej mówi. W końcu zaczęła się trochę uspokajać i odważyła się odezwać.

- Co powiedziałeś?

- Bob żyje, i chyba nie jest nawet ciężko ranny. Na szczęście, ma dobrze w głowie. Nie wiedział, ilu ich tam jest, więc zrobił jedyną mądrą rzecz w tej sytuacji: udał martwego.

Samochód ruszył i przez chwilę słyszeli ogłuszający dźwięk żwiru pod kołami, dopóki nie wyjechali na asfalt.

- Ale skąd wiesz? Och, Clay, co powiemy Mary, jeśli się mylisz?

Jej oddech zaczynał powoli wracać do normy, ale nadal drżała na całym ciele.

- Nie myślę się. Otworzył oczy i mrugnął do mnie. Clay zdał sobie sprawę, że najlepsze, co może dla niej zrobić, to podtrzymywać rozmowę.

- Jesteś pewien, że tak było?

- Najzupełniej.

- Nie mówisz tego tylko po to, żeby mnie pocieszyć?

- Nie. Bob żyje i z pewnością już organizuje pomoc. Pamiętasz budkę strażnika? Był tam telefon.

Nie dodał, że strażnik może równie dobrze być martwy, a linia telefoniczna przecięta.

- Clay - załkała - nie mogę znieść tej ciemności. - Zaczęła się krztusić i zakryła ręką usta. Po chwili powiedziała: - Od zapachu benzyny robi mi się niedobrze. Niesie z sobą zbyt wiele złych wspomnień. Słyszę jęki mojej matki...

- Wiesz, że powiedziałem rodzinie, że spotkałem kobietę, którą zamierzam poślubić?

Zabrakło jej powietrza i zaczęła z trudem łapać oddech. Kiedy w końcu dotarło do niej, co Clay powiedział, zmobilizowała resztkę sił.

- Co zrobiłeś?!

- Powiedziałem im o tobie. Chcą cię szybko poznać, ale poprosiłem, żeby poczekali, aż się oswoisz z myślą o wyjściu za mąż.

Jej usta zadrżały w uśmiechu.

- Jak mogę się oswoić z tą myślą, kiedy nawet nie poprosiłeś mnie jeszcze o rękę. A właściwie czemu tego nie zrobiłeś?

- Mary mówiła, że zbytnio się spieszę. Może ma rację, ale trudno. Wyobrażasz sobie, co by pomyślała, gdybym jej powiedział, że od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że się z tobą ożenię? Kazałaby mnie zamknąć w szpitalu wariatów.

Czuł, że samochód zwalnia na zakręcie, a potem znów przyspiesza. Musieli być teraz na autostradzie.

- Gdzie on nas wiezie, Clay? Co ma zamiar zrobić? Zignorował jej pytanie.

- Jestem pewien, że Liz, nasza papla, opowiedziała już wszystkim, jaką jesteś cudowną, słodką i piękną kobietą.

- Tak - powiedziała Dina.

- Co „tak”?

- Wyjdę za ciebie.

Pocałował ją delikatnie w usta. Boże drogi, gdyby tylko przestała się tak trząść. Mimo wszystko podziwiał ją. Tak bardzo starała się zachować hart ducha.

- Opowiedz mi o twojej rodzinie - poprosiła. Clay miał Wrażenie, że dobiegł go skądś warkot samolotu.

- Jest nas troje rodzeństwa. Mój brat, Dan, dwa lata starszy ode mnie, jest pediatrą, ma żonę i dwójkę dzieci. Potem ja, najinteligentniejszy i najprzystojniejszy w rodzinie, no i Liz, którą już znasz. Ojciec pracował w naszej firmie, ale teraz, od paru lat, jest wykładowcą prawa na uniwersytecie w Houston. Myślę, że stanowi typowy przykład roztrzepanego profesora. Matka zajmuje się domem i życiem towarzyskim. Ma osobliwe poczucie humoru, ale jest bardzo ciepła i serdeczna. Na pewno cię polubi.

Samochód skręcił gwałtownie, odrzucając Dinę do tyłu. Uderzyła głową o zapasowe koło, tracąc dech. Walcząc z dusznościami, uchwyciła się Claya jak tonący brzytwy i przyłgnęła do niego całym ciałem, kiedy zaczęli podskakiwać na wyboistej drodze. Widząc, że znów ogarniają paraliżujący strach, spytał:

- A więc twoi dziadkowie pochodzą z Francji? Z jakiego miasta?

- Z Paryża - wykrztusiła, starając się wziąć w garść. - Nie wiem dokładnie, kiedy wyjechali. Babka nie lubiła o tym mówić, ale moja mama urodziła się już tutaj.

Samochód zwolnił i stanął. Dina naoglądała się dość filmów kryminalnych w telewizji i naczytała dość powieści detektywistycznych, żeby wiedzieć, że zostali wywiezieni w jakieś puste i odludne miejsce, gdzie Dobbs ich teraz zastrzeli. Zacisnęła palce na koszuli Claya.

- Dziękuję ci, Clay, za twoją pomoc i miłość. Kocham cię ponad życie.

Wychwycił nutę pożegnania w głosie Diny i poczuł ukłucie w sercu. Położył jej palec na ustach, starając się ją uciszyć, żeby usłyszeć, co się dzieje na zewnątrz. Ale odsunęła mu rękę.

- Szkoda tylko, że...

Zrobił więc jedyne, co mu pozostawało: pocałował ją gorąco, koncentrując się jednak na odgłosach z zewnątrz. Był pewien, że się nie myli co do ich natury.

Kiedy wieko bagażnika odskoczyło do góry, oboje zasłonili oczy, oślepieni światłem.

- Wychodźcie - zarządził Dobbs, kierując latarkę na ziemię, żeby oświetlić im drogę.

Clay wygramolił się pierwszy i bacznie rozejrzał wokół, zanim nachylił się nad bagażnikiem, żeby wynieść Dinę.

- Gdzie jesteśmy? - szepnęła, kiedy brał ją w ramiona.

- Na lotnisku. W rejonie prywatnych samolotów.

- Ruszajcie się! - warknął Dobbs, wskazując na luksusowy, prywatny samolot. Silniki już pracowały, drzwi były otwarte i spuszczone metalowe schodki. -Szybciej!

Dina chwyciła mocno Claya za rękę.

- Nigdy jeszcze nie latałam. Czy on nas wypchnie nad oceanem?

Kiedy siedzieli już w środku, przypięci pasami, Dobbs wyjął kajdanki i skuł im razem ręce.

- Na wypadek, gdyby wam przyszło do głowy jakieś głupstwo.

Dał pilotowi sygnał do startu i usadowił się naprzeciwko nich.

Wzbili się w powietrze. Po pewnym czasie, kiedy Clay poczuł, że może jednak nie zginąć od razu, spróbował wyciągnąć coś ze starego, ten jednak okazał się twardy jak skała. Dina, wyczerpana przeżyciami, zdrzemnęła się, opierając mu głowę na ramieniu.

Obudził ją nagły wstrząs. Zdezorientowana, wyprostowała się w fotelu i rozejrzała, co się dzieje. Zobaczyła za oknem pas umykających światełek.

- Clay, gdzie jesteśmy?

- Wygląda na to, że właśnie wylądowaliśmy w Dallas.

Clay miał rację. Byli w Dallas, na prywatnym lotnisku. Przy lądowaniu Clay zauważył neon z nazwą miasta na dużym, metalowym hangarze. Próbował uzyskać potwierdzenie od Harry'ego Dobbsa, ale stary tylko machnął pistoletem, nakazując im wyjść z samolotu i wskazując na czekającą na płycie limuzynę. Wsiadł za nimi, zajmując miejsce na składanym siedzeniu naprzeciwko, żeby mieć ich cały czas na oku.

Jechali w milczeniu. Szofer ani razu nie zerknął w lusterko, żeby na nich popatrzeć. Szyby limuzyny były przyciemnione, więc z zewnątrz pozostawali niewidoczni. Kiedy dojechali do śródmieścia, samochód skręcił i zaraz za rogiem zjechał do podziemnego garażu pod wieżowcem. Stanęli przed drzwiami wewnętrznej windy.

Znów pędzą nas do środka, jak by było prowadzone na rzeź, pomyślał Clay. Nie mieli jednak innego wyjścia, niż słuchać. Dina przywarła do niego, szukając w jego bliskości pociechy. Bała się, ale gdzieś w głębi czuła zadziwiającą iskierkę podniecenia. Miała nadzieję, że dowie się, kto zabił jej babkę i dlaczego oraz czemu ona musi za to zapłacić. Może po dziesięciu latach prawda nareszcie wyjdzie na jaw. Szkoda, że zapewne tylko ona i Clay ją poznają. Kiedy winda stanęła, spojrzała na Claya z poczuciem winy.

- Przepraszam cię-powiedziała.
- Za co?
- Za to, że cię wciągnęłam w tę sprawę; za to, co z niej wynikło.

- Zamknijcie się i wychodźcie! - warknął ze złością Dobbs. - Szef na was czeka. - Wskazał na podwójne, rzeźbione drzwi.

Dina na sekundę się zawahała, lecz zaraz dumnie wyprostowana wyszła z windy i wyprzedzając obu mężczyzn, podeszła do drzwi. Nie pukając, chwyciła za gałki na obu odrzwiach i szeroko je otworzyła. Mężczyzna siedzący za biurkiem spojrzał na nich zaskoczony i wstał.

Gilbert Foley patrzył na Dinę Deveraux szeroko otwartymi oczami, w których malował się szok. Minione lata gdzieś zniknęły. Był znów młodym mężczyzną, szaleńczo i beznadziejnie zakochanym. Widział zdjęcia Diny i wiedział o jej podobieństwie do matki, ale nie spodziewał się zobaczyć dokładnie tego samego koloru oczu i tej samej znajomej iskierki gniewu. Miała takie same słoneczne pasma we włosach, takie same ruchy i taką samą wyniosłą postawę. Stanowiła wykapaną kopię Nancy i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że patrzy nie na nią, lecz na jej córkę. Przygnieciony wieloletnim brzemieniem winy, opadł ciężko na fotel.

Dina i Clay zauważyli łzy w oczach Gilberta Foleya i wstrząs, jaki przeżył na widok dziewczyny. Nie uszła ich uwagi jego nagła bladość i sposób, w jaki bezsilnie osunął się na fotel.

Dina usiadła naprzeciwko niego, bacznie studiując twarz mężczyzny. Wyglądał tak samo jak na fotografii, tylko wyraz jego oczu się zmienił - nie był ostry i przenikliwy, lecz dojmująco smutny. Nagle poczuła, że opuszcza ją strach i uśmiechnęła się do niego.

- Kochał pan moją matkę, prawda?

Foley spojrzał w bok, a potem na Dobbsa, mówiąc:

- Zamknij drzwi, Harry, i siądź na kanapie, na wypadek gdyby w pana Lamberta wstąpił duch walki.

- Przeniósł wzrok niechętnie na Dinę. Gdyby wiedziała, jak go rani swoim widokiem! - Tak, kochałem ją. Bardziej, niż potrafię wyrazić.

Clay wstał, gotując się z wściekłości.

- Jeśli tak bardzo pan ją kochał, to jak pan mógł pozwolić, żeby jej córkę zamknięto za coś, czego nie zrobiła? Bo pan wiedział; że to nie ona zabiła Agathę Deveraux, prawda? Wiedział pan od samego początku.

- Nie czekając na odpowiedź, Clay mówił dalej: - Czy Nancy, a później jej matka, szantażowały pana? Czy dlatego zabił pan tę starą kobietę i zwał winę na trzynastoletnie dziecko? A później pilnował pan, opłacając sędziego Jonesa, żeby nie wyszła na wolność, bo mogłaby odzyskać pamięć i zdradzić pana. Wszystko to zrobił pan córce kobiety, którą rzekomo pan kochał? - dokończył Clay z szyderczą; wzgardą.

Foley słyszał każde słowo jego oskarżycielskiej mowy, ale nie odrywał oczu od Diny, która także nie przestawała na niego patrzeć. Była silna jak Nancy. Nagle poczuł, że gnębiące go tyle lat wspomnienia muszą wreszcie znaleźć ujście, Miał zamiar wyjawić im wszystko wyrzucić to z siebie raz na zawsze. Już samo to postanowienie mu ulżyło i zdjęło po części kamień z serca. Oczy zaszyły mu na chwilę mgłą; potrząsnął głową i wziął głęboki oddech.

- Nancy... -Głos mu się łamał. -Nancy mnie nie szantażowała.

Dinie cisnęło się na usta tysiące pytań, a zwłaszcza jedno, ale wiedziała, że nie czas je jeszcze zadawać. Chrząknęła i zaczęła od innej strony.

- Jakim cudem matka mogła sobie pozwolić na to, żeby rzucić pracę i zacząć studiować medycynę? Skąd zdobyła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

- Ja jej dałem te pieniądze. W dwóch równych ratach.

- Dlaczego?

- Bo mnie o to poprosiła. - Podniósł rękę, powstrzymując dalsze pytania. - To nie był prezent. Gdyby to ode mnie zależało, ofiarowałbym jej te pieniądze z największą radością i bez żadnych zobowiązań. Ale Nancy była na to za dumna i chciała tylko pożyczkę.

Clay sarknął z niedowierzaniem, ale w głosie i oczach Foleya było coś takiego, że się nie odezwał. Poza tym tamtych dwoje i tak nie zwracało na niego uwagi.

- Twoja matka była bardzo inteligentna, Dino. O wiele bystrzejsza niż ja. Po latach pracy w zawodzie pielęgniarki zamarzyła, żeby zostać lekarzem. Stara Agatha Deveraux nie była skłonna do pomocy. Nie chciała jej nawet podżyrować pożyczki bankowej. Kochałem Nancy i kiedy powiedziała mi, czego pragnie, nie wahałem się ani chwili. A ona z naciskiem zaznaczyła, że to ma być tylko pożyczka, którą zwróci, kiedy skończy studia.

Dina mu wierzyła. W głębi serca wiedziała, że nie kłamie. Zerknęła na Claya i zobaczyła, że on też, wbrew sobie, w tej kwestii mu uwierzył. Ale teraz przyszła kolej na inne, ważniejsze pytanie.

- Skoro był pan taki hojny, to czy dał pan Agacie Deveraux pięćset tysięcy dolarów?

Nadszedł czas prawdy, pomyślał Foley.

- Dałem tej jędzy pieniądze, ale tylko dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Od kogo dostała resztę?

- Od Fitzpatricka.

Clay nie wiedział, czy ma rację, ale musiał zaryzykować.

- A więc zabił ją pan, żeby przestała pana szantażować i pozwolił pan obciążyć tym Dinę?

Foley wstrząsnął się, słysząc to oskarżenie. -Nie zabiłem Agathy Deveraux! Clay spojrział na niego wzgardliwie.

- Chce pan, żebym panu uwierzył, skoro pana sługus dopiero co zabił dla pana dwóch ludzi? A może i trzech, jeśli liczyć tego dziennikarza.

- O czym on mówi, Harry?

- Nie jestem żadnym sługusem - zamruczał Harry, patrząc na Claya z wściekłością, po czym przeniósł wzrok na szefa. - Major próbował podciąć gardło ich przyjacielowi, temu byłemu glinie. Kiedy go powstrzymałem, rzucił się na mnie. Chyba nie zdążył go dorżnąć. A co do tego dziennikarza, to właśnie major go zabił. Groził mi, że skończę tak samo. Ten facet był świrem, Gil, skończonym świrem.

Clay nie miał zamiaru tak łatwo się poddawać.

- Opłacał pan sędziego Jonesa i pielęgniarkę, żeby mieć Dinę na oku i trzymać pod kluczem.

- Nie, nie - zaprotestował Foley. - Ja ją tylko chronilem.

- Przed czym? Przed kim?

- Gdyby Dina odzyskała pamięć, musiałem być o tym natychmiast powiadomiony, żeby jej pomóc. Dopóki nic nie pamiętała i przebywała w sanatorium, była bezpieczna.

- A więc był pan gotów zrujnować jej życie, żeby ją rzekomo chronić przed niebezpieczeństwem?

Gilbert Foley spojrzał na Dinę z błagalnym wyrazem twarzy.

- Żeby uratować jej życie. To był jedyny sposób.

- Jedynym sposobem było powiedzenie prawdy! -zagrzemiał Clay. - Dziadek cały czas starał się jej dojść, a pan i Fitzpatrick robiliście wszystko, żeby mu przeszkodzić.

- Mówię panu - szepnął Foley - że ją chronilem.

- Jeśli byliście szantażowani przez Agathę Deveraux i pan twierdzi, że jej nie zabił, to znaczy, że zabił ją Fitzpatrick. Ale dlaczego? Jaki mogła mieć na was haczyk, że byliście aż tak zdesperowani?

Foley wbił wzrok w biurko i dłuższy czas siedział bez ruchu. W końcu podniósł na nich oczy i powiedział:

- Zabójstwo. Agatha Deveraux odkryła, że ja i Fitzpatrick zabiliśmy podczas wojny człowieka i Nancy też była w to wplątana. Kiedy jej córka zginęła, uznała, że sama nie ma nic do stracenia, a my wszystko, jeśli prawda wyjdzie na jaw.

Dina patrzyła na niego oniemiała. Jej matka była pełną poświęcenia pielęgniarką - ratowała ludziom życie, a nie odbierała.

Sama myśl, że mogłaby być zamieszana w morderstwo, była po prostu śmieszna.

- Podczas jakiej wojny? - dopytywał nieustępliwie Clay. - Kogo zabiliście i co miała z tym wspólnego matka Diny?

Za zamkniętymi drzwiami dał się słyszeć jakiś dźwięk. W zamglonych wspomnieniami oczach Foleya pojawił się ostry błysk, a usta zacisnęły się w cienką kreskę. Dał sygnał Dobbsowi, który podniósł się z wysiłkiem z krzesła i podszedł do drzwi.

- Zadzwoiłem do tego starego drania i uprzedziłem go, że cię tu sprowadzam, Dina. Powiedziałem mu, że czas wypić piwo, któregośmy nawarzyli. Niezbyt mu się podobał ten pomysł i jak zwykle zaczął...

Nie skończył zdania. Generał Franklin Concord Fitzpatrick wkroczył do pokoju z małokalibrowym pistoletem w ręce.

Gilbert Foley wybuchnął śmiechem.

- Na miłość boską, Frank, odłóż tę pukawkę. Myślisz, że uda ci się tą zabawką zabić nas wszystkich i pójść sobie do domu?

Generał wolno opuścił rękę, ale nie na skutek słów dawnego przyjaciela. W odróżnieniu od Foleya nigdy nie widział zdjęć Diny, bo sobie tego nie życzył, i teraz patrząc na nią, został raptem przeniesiony do czasów, w których jedyny raz w życiu był naprawdę szczęśliwy. Jego Nancy żyła i siedziała przed nim. Szybko jednak otrząsnął się i zrozumiał, że nie patrzy na kobietę, którą kochał, tylko na jej córkę.

Kiedy generał opuścił ramię, Dina wstała i zmierzyła go wzrokiem. Zbyt wiele przeszła w ciągu jednego dnia, żeby dać się zastraszyć dwóm, nie, trzem starszym panom. Znali odpowiedź na wszystkie jej pytania, mieli klucz do jej przeszłości. Przywieziono ją tu na siłę, wbrew jej woli, i nie miała zamiaru się stąd ruszyć, dopóki nie pozna prawdy.

Gdy Fitzpatrick poczuł na sobie przeszywające spojrzenie dziewczyny, coś w nim pękło. Ciężkim krokiem podszedł do trzeciego krzesła naprzeciwko biurka i usiadł.

- To już koniec, Frank - powiedział Foley. Generał potrząsnął głową, wciąż nie mogąc pogodzić się z tym faktem.

- Parę godzin temu zadzwonił do mnie prezydent. Służby wywiadowcze węszą na prawo i lewo. FBI chce zwołać posiedzenie na temat pieniędzy przekazywanych z moich kont pewnemu sędziemu w Teksasie.

Spojrzał z błagalną miną na starego przyjaciela, ale na twarzy Gilberta malowała się ponura determinacja.

- Dałem posłuch twoim kłamstwom dziesięć lat temu, Frank. Wiedziałem, że kłamiesz, ale wtedy miałem dużo do stracenia.

Odetchnął głęboko. Przez chwilę patrzył na Dinę i oczy mu się zaszklily.

- Nie rób tego - próbował powstrzymać go Fitzpatrick. - Będziemy skończeni.

Foley uśmiechnął się smutno.

- Już jesteśmy skończeni, Frank.

Atmosfera w pokoju zrobiła się napięta i pełna oczekiwania. Wszyscy zatrzymali wzrok na ustach Foleya, czekając, co powie. Clay usłyszał za plecami cichy dźwięk i odwrócił głowę. Jedna połowa drzwi było lekko uchylona i dojrzał w szparze Dobbsa, z rękami skutymi na plecach. Zdumiony zaczął się podnosić, kiedy jego wzrok padł na sędziego Harrisona, który położył palec na ustach i potrząsnął głową.

- To było w roku pięćdziesiątym pierwszym - zaczął Foley. - Byłem majorem w piechocie morskiej, stacjonowaliśmy w Seulu. Franklin pracował w wywiadzie wojskowym. Spotkaliśmy się w barze. Kto by pomyślał, że zostaniemy przyjaciółmi i kompanami od kieliszka! Ale na wojnie dzieją się nie takie rzeczy... Zostaliśmy ranni w tym samym czasie, choć w różnych miejscach, ale wylądowaliśmy razem w szpitalu polowym, gdzie Nancy Deveraux była pielęgniarką. Najmilsza, najpiękniejsza i najtroskliwsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkaliśmy. Obaj zakochaliśmy się w niej po uszy. Rywalizowaliśmy o jej względy. Stawaliśmy na głowie, żeby ją zdobyć. Kłamaliśmy, kręciliśmy, oszukiwaliśmy i nie wykonywaliśmy rozkazów, żeby tylko być blisko niej. Używałem wszystkich swoich koneksji, żeby się dowiedzieć, kiedy będzie miała wolny dzień, i przyjeżdżałem do hotelu w Seulu tylko po to, żeby natknąć się tam na Franklina. On też miał swoje znajomości.

Foley i generał wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Tak bardzo staraliśmy się być czarujący i nadzwyczajni, że kiedy przyszło co do czego, obróciło się to przeciwko nam. Nancy, i

owszem, zakochała się, ale w obydwu. Uczciwie powiedziała, że kocha nas jednakowo i nie może wybrać.

- Nie myślcie o niej źle - wtrącił generał. - Nie potrafiła sobie z tym poradzić i nawet chciała z nami zerwać.

- Ale nie mogliśmy znieść myśli, że mielibyśmy jej więcej nie widzieć ciągnął Foley - więc zdecydowaliśmy się dzielić naszą miłość. Początkowo Nancy się opierała, ale ona też nas kochała i też nie chciała się z nami rozstać. Nic nie miało znaczenia, ani to, że jesteśmy obaj żonaci, ani to, że wszyscy możemy nazajutrz zginąć. Staliśmy się nierozłączni. Chodziliśmy w trójkę na kolacje, na dancing i do baru, a później jedna noc należała do mnie, a druga do Franka.

Zamilkł na chwilę.

- Wiem, że teraz może się to wydawać trudne do przyjęcia, ale wtedy wokół szalała wojna, trup ścielił się gęsto i wobec tych wszystkich okropieństw nasza miłość nie wydawała się niemoralna. Pod koniec pięćdziesiątego trzeciego roku wiedzieliśmy, że wojna ma się ku końcowi. Nancy dostała przepustkę do Seulu, gdzie już na nią czekaliśmy. Ależ świętowaliśmy tę noc! Niestety, Frankowi udało się komuś zarekwirować jeepa.

Foley potarł twarz i wbił wzrok w blat biurka.

- Jeździliśmy od baru do baru, pijani jak bele, aż za którymś zakrętem...

- To nie była moja wina - szepnął Fitzpatrick. - Ten chłopak wyszedł mi prosto pod maskę. W ogóle go nie widziałem...

- Był żołnierzem ósmego pułku kawalerii - ciągnął Foley. - Kiedy Nancy nam powiedziała, że nie żyje, natychmiast otrzeźwieliśmy. Franklin wpadł na pomysł, żeby wywieźć jego ciało za miasto i zakopać. Nancy się sprzeciwiała, ale przekonaliśmy ją, tłumacząc, co nas czeka w przeciwnym razie. Kiedy już było po wszystkim, przysięgliśmy sobie, że nigdy nie wspomnimy o tym ani słowem. Nigdy! Ale nasza przyjaźń zaczęła się psuć. Nadal spotykaliśmy się od czasu do czasu, lecz nagle nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Wyglądało na to, że nasz spisek zniszczył naszą miłość.

- Jak wyjaśniono jego zniknięcie?- spytał Clay.

- Został wpisany na listę zaginionych - powiedział generał. - A później uznany za zmarłego.

- Miał jakąś rodzinę?

- Nowo poślubioną żonę. - Fitzpatrick przełknął ślinę. - Sprawdziłem później, czy dostaje należne świadczenia.

- To bardzo szlachetnie z pana strony, generale. - Clay skinął drwiąco głową. - A Agatha Deveraux w jakiś sposób dowiedziała się o tym zdarzeniu i szantażowała was... A który z was ją zabił? Foley spojrział na dawnego przyjaciela.

- Agatha Deveraux skontaktowała się ze mną jakiś rok po śmierci córki i powtórzyła całą historię. Nie mogła jej słyszeć od Nancy.

- Mama prowadziła dziennik - wtrąciła Dina.

- Przypuszczałem, że to musiało być coś takiego. W każdym razie Agatha chciała pieniędzy, które jej dałem. Ale zaznaczyłem wyraźnie, że to pierwszy i ostatni raz.

- I na ile był pan konsekwentny? - spytał Clay.

- Nie zabiłem jej, jeśli to pan usiłuje zasugerować. Nigdy więcej się do mnie nie zgłosiła.

- A do mnie tak - powiedział Fitzpatrick. - Ja też jej zapłaciłem. Ale nie minął nawet rok, kiedy znów do mnie zadzwoniła, domagając się kolejnej sumy. Śledziła bacznie moją karierę i wiedziała, ile mam do stracenia. Powiedziałem, że nie dam jej już ani centa, na co przysłała mi kserokopię strony z pamiętnika Nancy. Wsiadłem w samolot i poleciałem do Houston. - Spojrzał na Dinę i poczuł ucisk w sercu. Tak bardzo przypominała mu Nancy... - Nie wiedziałem, że byłaś w domu. Kiedy umawiałem się przez telefon z twoją babką, powiedziała, o której mam przyjść, żebyś była wtedy w szkole.

Dina ze zdumieniem patrzyła, jak bardzo generał postarzał się w tym krótkim czasie, odkąd wszedł do pokoju: Twarz miał szarą i ściągniętą, oczy przygaszone. Wyglądał nawet, jakby się skurczył, kiedy tak siedział przygarbiony, ze skulonymi ramionami.

Pomyślała o szoku, jaki przeżyła przy śmierci babki, i dziesięciu latach w zamknięciu, podczas których nie pamiętała nic ze swojej przeszłości. Choćby nie wiem, jak chciała mu współczuć, czuła dla niego tylko pogardę. Zapragnęła zmusić go, żeby się przyznał do swego czynu. Żeby powiedział to głośno i wyraźnie.

- To pan zabił moją babkę?

- Tak. Ale to był wypadek. Dina potrząsnęła głową.

- Zapomniał pan, że byłam na schodach, generale. Niech myśli, że wszystko widziała. To jedyny sposób, aby zmusić go do mówienia prawdy.

Fitzpatrick żył w strachu przed tą chwilą przez ostatnie dziesięć lat.

- Ta stara jędza zasłużyła na to. Mówiła mi, jak potraktuje mnie prasa, co zrobi moja żona i jej rodzina. Powiedziałem jej żeby się zamknęła, ale tylko się śmiała. Widziałem, jak wszystko, co tak długo budowałem, rozsypuje się w gruzy. I to przez nią. - W jego oku zabłysła desperacka iskierka nadziei. Spojrzał na Gilberta Foleya. - Moglibyśmy to wciąż jakoś odwrócić - zaczął przekonywać go ochryplym głosem. - Moglibyśmy...

- Jeszcze to do ciebie nie dotarło, Frank? - powiedział Foley. - To już koniec, zrozum wreszcie. Przyznaję, że ja też się w tej sprawie nie popisałem. Przekonywałem sam siebie, że chronię córkę Nancy, podczas gdy w rzeczywistości chroniłem tylko własny tyłek. Z biegiem lat stawało się to coraz łatwiejsze. Ale ty, Frank, posunąłeś się za daleko. Twoja ambicja cię zgubiła. Tak bardzo chciałeś zostać prezydentem, że nie cofnąłeś się przed morderstwem i nadal jesteś gotów zabijać. Ale tym razem na to nie pozwolę. Na miłość boską, człowieku! - krzyknął. - Przecież to twoja własna córka!

Fitzpatrick zaniemówił i przez chwilę patrzył na Foleya, jakby ten postradał zmysły.

- Zwariowałaś, Gil. A jeśli Nancy ci tak powiedziała, to się myliła.

Dina wstrzymała oddech. Może nareszcie pozna odpowiedź na to najważniejsze dla niej pytanie.

- Nancy nic mi nie mówiła. Kiedy ją sam spytałem, powiedziała szczerze, że nie wie, który z nas jest ojcem, ale to nie ma znaczenia. Kochała Dinę tak czy owak, ale ja zawsze wiedziałem, że dziecko musi być twoje, Frank. W ostatnich tygodniach ty i Nancy częściej byliście razem.

- Twoje rozumowanie zawiera jeden istotny mankament. Dina nie jest moją córką. Nie mogę mieć dzieci. Przebyłem w dzieciństwie świnkę i jestem bezpłodny. Sam o tym nie wiedziałem, dopóki nie przeszedłem dokładnych badań po powrocie z Korei.

- Cóż to znowu za bzdury? - Foley wstał i oparł się o biurko, czerwony na twarzy i wściekły. - A twój syn, Henry? Może przyniósł go bocian?

- Do diabła ciężkiego, Gil, Henry nie jest moim synem. To syn mojego brata. Alice i Darren romansowali z sobą, jeszcze zanim wyjechałem do Korei. I nadal romansują. Trzymałem język za zębami, bo nie chciałem, żeby prawda przedostała się do opinii publicznej. Naraziłbym się na pośmiewisko. Ale przysięgam - spojrzał na Dinę - że ona nie jest moją córką. A to znaczy, że jest twoją.

Foley opadł ciężko na fotel.

- Moją? Moją córką?

Patrzył na Dinę nieruchomym, zamglonym wzrokiem. Wspomnienia z przeszłości opadły go gwałtowną falą, wywołując ucisk w sercu. Wszystko powinno być inaczej. Powinien był dokładniej wypytać Nancy, ale wtedy jego życie właśnie zaczęło się dobrze układać i nie chciał ryzykować, że coś może to zepsuć. Potrząsnął głową, opędzając się przed natłokiem bolesnych myśli.

- Dobry wieczór - odezwał się w ciszy głos spod drzwi i ku zaskoczeniu zebranych do pokoju wkroczył sędzia Harrison w towarzystwie sześciu mężczyzn, którzy szybko podeszli do Foleya i Fitzparicka. - Ci ludzie to agenci federalni, którzy przedstawią panom zarzuty i uprzedzą o przysługujących wam prawach.

Zapanował nieopisany chaos. Wszyscy wstali i zaczęli mówić jeden przez drugiego, aż w końcu sędzia z właściwym sobie autorytetem, nabytym na sali sądowej, nakazał ciszę. Generał zaczął głośno protestować.

- Zanim powie pan następne słowo - warknął Harrison - uprzedzam, że ma pan prawo do adwokata.

Podszedł do generała, stając z nim twarzą w twarz, a ponieważ Fitzpatrick był wyższy, musiał zadrzeć głowę. W niczym jednak nie umniejszyło to jego przewagi.

- Zanim będziemy tu wszyscy zmuszeni wysłuchiwać gróźb i zapewnień o niewinności, pozwólcie, że coś wam powiem, wy dranie. - Sędzia wbił ostre spojrzenie w Foleya i wrócił wzrokiem do generała. - Nagraliśmy cały przebieg rozmowy w tym pokoju. Razem z materiałami znalezionymi u sędziego Jonesa i zeznaniami Ernesta

Greshama, Patrycji Nelson, emerytowanego prokuratora Warrena oraz paru oficerów policji mamy dość dowodów, jak sądzę, żeby posłać was obu na długo za kratki. - Cofnął się i dał znak agentom. - Weźcie mi ich sprzed oczu.

Dinie szumiało w głowie. Do momentu wkroczenia sędziego Harrisona wszystko wydawało się jej nierealne, jakby opowiadano jej historię dotyczącą jakiejś obcej osoby. Teraz patrzyła w milczeniu, jak generał Fitzpatrick i Gilbert Foley - jej ojciec - zostają zakuci w kajdanki i wyprowadzeni z pokoju.

Przechodząc obok niej, Foley przystanął i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Moja córka... Dziecko Nancy - szepnął. - Wybacz mi.

Clay szybko podszedł i wziął ją w ramiona.

- Jak się czujesz?

- Sama nie wiem. - Przycisnęła czoło do jego torsu. - Już po wszystkim, prawda?

- Tak. Najgorsze już minęło.

- Sama nie wiem, co powinnam czuć - powtórzyła, podnosząc na niego oczy. - A więc to on jest moim ojcem?

- Na to wygląda.

- Moja matka...

Clay instynktownie wyczuł, o czym myśli.

- Nie myśl o niej źle, kochanie. - Wziął jej twarz w dłonie.

Policzek miała wciąż umazany smugami brudu, a włosy otaczały jej smutną buzię złotą aureolą.

- Nie pozwól, żeby to, co zostało tu powiedziane, umniejszyło twoją miłość i szacunek dla niej. Wojna to straszna rzecz, Dino. Na każdym kroku spotyka się przemoc i okrucieństwo, a życie ludzkie nie ma znaczenia. Na wojnie dzieją się z ludźmi dziwne rzeczy i zaczynają zupełnie inaczej patrzeć na wszystko. Twoja matka była pielęgniarką. Wyobrażasz sobie, co musiała przechodzić dzień w dzień? Nie możesz mieć jej za złe tego, że się zakochała, nawet jeśli nie w jednym, a w dwóch mężczyznach. - Pocałował ją lekko w usta.

- Pamiętaj tylko o tym, że cię kochała.

Dina objęła go w pasie i przytuliła się. Miał rację. Matka zawsze pozostanie dla niej świętością. Kochała dwóch mężczyzn, a ci dwaj mężczyźni kochali ją i mówili o niej z miłością jeszcze tyle lat po jej śmierci. Nancy Deveraux musiała być niezwykłą kobietą.

Słyszając za plecami lekkie pokaszanie, odsunęli się od siebie, stając oko w oko z sędzią Harrisonem.

- Jak pan nas tu znalazł? - spytał Clay.

Sędzia zaśmiał się i przesunął ręką po łysinie, jakby gest zaczesywania nie istniejących włosów wszedł mu w krew.

- Śledziliśmy Dinę od momentu, kiedy opuściła sanatorium.

- Bob! - wykrzyknęła nagle Dina. - Zapomnieliśmy o Bobie.

Co...

- Wszystko w porządku - uspokoił ją sędzia. - Jest w szpitalu z raną ciętą ramienia i przystojną, małą kobietką, która pełni przy nim straż niczym brytan.

-Mary!- zawołali jednocześnie.

- No więc, panie sędzio - ponowił pytanie Clay - skąd pan wiedział, że tu jesteśmy?

- Kiedy agenci federalni dowiedzieli się, kto jest zamieszany w tę sprawę i powiadomili o sytuacji służby specjalne, wszystko już było proste. Założyliśmy podsłuch na telefony, łącznie z twoim, Dino. Przejęliśmy telefon majora Sawyera. Wiedzieliśmy, że Foley zadzwonił do generała z prośbą, żeby przyleciał do Dallas. Cały czas byliśmy tylko jakieś dwadzieścia minut za wami, ale nie chcieliśmy wkraczać do akcji, dopóki nie usłyszymy jasnego i wyraźnego przyznania się do winy.

Clay wbił w sędziego twardy wzrok.

- Wystawił nas pan na wabia?

- W pewnym sensie. Ale czuwaliśmy, żeby wam nic poważnego nie groziło.

- Jasne - warknął Clay. Niezbyt go zachwycił fakt, że został użyty w roli przynęty.

Dina była wyczerpana. Położyła głowę na ramieniu Claya i spytała sędziego:

- Co teraz będzie?

- Proces. Zamierzam osobiście tego dopilnować. Wzdrygnęła się i zamknęła oczy. Na samą myśl o tym, że znów będzie w czołówkach gazet, robiło jej się niedobrze.

- Bardzo mi przykro, Dino - rzekł sędzia - ale to jedyny sposób, aby przywrócić ci dobre imię i dowieść wszem i wobec, że byłaś absolutnie niewinna.

- A co się stanie z generałem i panem Foleyem? - spytała.

- Posłuchaj, Dino - powiedział Clay. - Zabili twoją babkę. To znaczy, generał zabił, ale Foley o tym wiedział, inaczej nie pilnowałby cię przez te lata. Jest też winny zatajenia śmierci jednego z naszych żołnierzy. Pomyślałaś o rodzinie tego chłopca? Mają prawo wiedzieć, co się z nim stało.

- Tak, oczywiście, masz rację.

Sędzia skierował się do drzwi, ale stanął w pół kroku.

- Nie trzeba was przypadkiem odwiedzić do domu? Dina spojrzała na swoje brudne, wymięte ubranie, a potem na Claya. Wyglądał podobnie.

- Masz przy sobie jakieś pieniądze?

Potrząsnął głową i uśmiechnął się kącikiem ust.

- Nie tyle, żeby starczyło na samolot.

- Więc powinniśmy chyba skorzystać z propozycji sędziego.

Formalności związane z wywozem więźniów zajęły trochę czasu. Policja w Dallas nie miała ochoty wydać agentom federalnym i służbom specjalnym jednego ze swoich czołowych notabli. Ale przepychanka skończyła się zwycięstwem administracji rządowej i wszyscy razem znaleźli się na pokładzie rządowego samolotu.

Dina po raz drugi w życiu miała lecieć i teraz była zdecydowana nie zmrużyć oka. Patrzyła z ciekawością, jak wznoszą się w powietrze, zostawiając za sobą światła wielkiego miasta i pogrążając się w ciemnościach nocy. Serce zaczęło trzepotać jej w piersi i wbiła paznokcie w dłoń Claya, ale zaraz spostrzegła, że ta ciemność jest

złudna. Na horyzoncie pojawił się już świt, zabarwiając chmury kolorem purpury.

Patrząc na pierwsze promienie słońca przenikające mrok, po raz pierwszy w życiu poczuła się naprawdę wolna. Koszmar się skończył, zło zostało ujawnione. Pewno zawsze będzie się czuła nieswojo w ciemności, ale nie będzie się już bać. Clay zostanie przy niej, wspomagając ją i dodając siły. W głębi serca czuła, że będzie z nią na zawsze. A któregoś dnia może doczekają się szczęśliwej rodziny.

Ta myśl pogrążyła ją w błogich marzeniach.

Epilog

Gruba warstwa śniegu przykrywała ziemię puszystą kołderką. Gałęzie drzew uginały się pod miękkimi, białymi kopczykami, a krzewy wyglądały jak wielkie, puchate poduchy. Śnieg w Houston na Boże Narodzenie - to było jak z bajki. Dina wciągnęła w nozdrza zapach choinki i poczuła ogarniający ją błogi spokój.

Skończyła opowiadać swoją historię i rozejrzała się wokół po otaczających ją twarzach. Przez całe godziny żyła w przeszłości, a teraz wróciła do chwili obecnej. Była w swoim domu z mężem, dziećmi i najbliższymi przyjaciółmi, a nawet ze swoim ojcem. Wzięła za rękę Claya, który cały czas obejmował ją czule ramieniem. Milczenie dzieci przez moment ją zaniepokoiło. Dostrzegła Boba i Mary, i uśmiechnęła się do nich.

Weszli w trakcie jej opowieści i usiedli cicho, żeby nie przeszkadzać. Mieli już głowy przyprószone siwizną i od zawsze stanowili część ich rodziny. Dina cieszyła się, że jej dzieci nazywają ich ciocią i wujkiem, i kochają tak samo jak ona.

Spojrzała niepewnie na swojego syna, Taylora, i na bliźniaczki, nie wiedząc, jakiej reakcji oczekiwać. Cała trójka jednak patrzyła na nią z czułością, a po zaczerwienionych oczach Vicky, pociąganiu nosem Samantha i skaczącym jabłku Adama u syna zorientowała się, że przeżyli jej historię bardziej, niż się można było spodziewać. Pomyślała, że dopiero teraz zdadzą sobie w pełni sprawę, jak bardzo ich rodzice się kochają i kochali od samego początku.

- No i widzisz, Vicky! - Samantha wstała i spojrzała z góry na siostrę. - Twoja wielka przyjaciółka jest kłamczucha. Mama wcale nie była wariatką.

- Moja przyjaciółka, rzeczywiście! - wykrzyknęła Victoria. To przecież twoja największa przyjaciółka, nie moja. Zawsze się tym chwaliłaś.

- Nigdy nic podobnego nie mówiłam. Nie zmyślaj!

- Spokój, dziewczęta, spokój - wtrącił Clay, kładąc kres sprzeczce.

Ale Samantha nie dała się tak łatwo poskromić i skierowała swą złość w inną stronę.

- A więc to znaczy, że biedny dziadziuś poszedł do więzienia, a jego synowie zagarnęli cały majątek? - spytała z oburzeniem.

Dina pomyślała, że to znamienne, iż po wysłuchaniu całej historii jej córka poczuła żal głównie z powodu tego, co spotkało dziadka. Jej dzieci kochały go i musiała przyznać, że był dla nich dobry - zawsze gotów ich wysłuchać i stanąć po ich stronie, kiedy czuły się pokrzywdzone przez rodziców. Miały z nim dobry kontakt i od czasu do czasu wspierał je finansowo, choć nauczony doświadczeniem, starał się ich zbytnio nie rozpuszczać,

- Zostałem uznany winnym współuczestnictwa i skazany na sześć lat. A jeśli chodzi o pieniądze...

- Gilbert Foley zachichotał i dodał, mówiąc wolno i z trudnością z powodu przebytego wylewu: - Moi synowie położyli łapy na całym imperium i w ciągu lat, które spędziłem w więzieniu, zdążyli

zbankrutować. Ale taki stary lis jak ja niełatwo się poddaje, moja księżniczko. Miałem pewną sumę w banku szwajcarskim i kiedy mnie wypuścili, zainwestowałem ją w nieznane wtedy firmy komputerowe. Znów zbiłem na tym fortunę, która po mojej śmierci przejdzie na waszą matkę.

- A co się stało z Harrym Dobbsem, dziadku? - spytała Victoria.

- Stary Harry był moim wiernym towarzyszem - powiedział cicho Gilbert Foley, raz jeszcze wracając myślami do przeszłości. - Umarł, kiedy byłem w więzieniu.

- A generał? Co z generałem? - chciał wiedzieć Taylor.

- Został skazany na długoletnie więzienie. Były głosy, że powinien dostać karę śmierci, ale wzięto pod uwagę okoliczności łagodzące. Jego żona rozwiodła się z nim zaraz po tym, jak wybuchł skandal. Po pięciu latach odsiadki zmarł na atak serca.

Victoria, która miała miękkie serduszko, pamiętała o jeszcze jednej osobie.

- A biedny Henry? Co zrobił, kiedy matka rozwiodła się z generałem?

- To śmieszna historia - wtrącił Clay - ale on i generał dopiero wtedy się zaprzyjaźnili. Kiedy Henry wreszcie zrozumiał, dlaczego jego ojciec - uważał generała za ojca - tak bardzo go nie lubi, ich stosunki się zmieniły. Odwiedzał generała w więzieniu i przynosił mu recenzje ze swoich wystaw. Zdaje się, że został całkiem wziętym malarzem. Jeśli zaś chodzi o jego matkę, Alice, to sama wywołała skandal. Jeszcze nie wysechł atrament na papierach rozwodowych,

kiedy wyszła za mąż za brata generała, Darrena Fitzpatricka. O ile wiem, to bardzo udane małżeństwo.

- Ale czemu Jane Harmon była taka złośliwa? -zastanawiała się głośno Victoria, - Dlaczego chciała sprawić nam przykrość, mamo?

- Ponieważ - pospieszył z odpowiedzią Clay - jej matką jest Lynnet Overton Hamilton. Poślubiła Boba Harmona wkrótce potem, jak ożeniłem się z waszą matką.

- To ta, która się w tobie kochała prawdą, tato? -spytała Samantha z szelmowskim błyskiem w oku. - Była wzgardzoną kobietą i teraz posłużyła się Jane, żeby się na was odegrać. Ciekawe, co jeszcze wymyśli? Może coś takiego jak w tym filmie "Fatalne zauroczenie"? Myślicie, że po tylu latach będzie nadal chciała was zabić?

Taylor posłał jej miażdżące spojrzenie i pokręcił głową.

- W życiu nie słyszałem większej głupoty. Ta twoja bujna wyobraźnia któregoś dnia napyta ci biedy.

- Tato - naburmuszyła się Sam - powiedz mu coś. -I z właściwą sobie płochością natychmiast przerzuciła się na inny temat: - Chodź, Vicky. Chyba dość już nazawracałaś mamie głowę. - Pociągnęła oniemiałą Victorię za ramię, podnosząc ją z kanapy i dodając: - Zobacz, jak pomiełaś swoją nową suknię, a mama tyle się napracowała, żeby nam je uszyć. - Uśmiechnęła się słodko i mrugnęła do ojca, po czym zaczęła wypychać siostrę z pokoju. - Wszystko mi jedno, co ty o tym sądzisz, ale ja się cieszę, że mama będzie miała

nowe dziecko. Idziemy się przebrać. Musimy jeszcze dokończyć ubierać choinkę i chcę się napić gorącej czekolady.

Taylor pocałował Dinę w czoło i szepnął:

- Jesteś najlepszą z mam, ale postaraj się, żeby to był chłopiec.

Nie wiem, czy wytrzymam z jeszcze jedną, dziewczyną.

I wyszedł za siostrami z pokoju. Clay patrzył za swoimi dziećmi z mieszaniną konsternacji i rozbawienia. Spojrzał z uśmiechem na Dinę.

- Nigdy nie przestanę mnie zdumiewać.

- Pomóż mi się podnieść, Clay. Pupa znowu mi zdrętwiała.

Bob i Mary roześmieli się i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Masz te same symptomy, co przy pierwszej ciąży z Taylorem - powiedziała Mary - a więc pewno będzie chłopak. - Poklepała Boba po ramieniu. - Rusz się, mój drogi, i przynieś prezenty z samochodu.

Dina wstała z pomocą Claya i przytrzymała go za rękę, zaglądając mu w oczy?

- Poszcęściło nam się, prawda?

- Prawda, skarbie.

Przytulił Dinę do siebie, czując jej ciepło i twardość zaokrąglonego brzucha. Ich oczy skrzyły się miłością. Nieujarzmione włosy Diny wymknęły się jej jak zwykle z koczka i świeciły złotą mgiełką wokół głowy. Wyglądała tak samo młodo i niewinnie jak tego pierwszego dnia, kiedy wkroczyła do biura Claya. Poczuł, że jeszcze nigdy nie kochał jej tak bardzo jak w tej chwili.

Dina oparła mu głowę na ramieniu, myśląc o prezentach, które musi jeszcze zapakować. Choinka nie była do końca ubrana i w całym domu panował bałagan, ale nie miała siły oderwać się od męża. Przez wszystkie te lata był dla niej opoką, przyjacielem, kochankiem i nauczycielem.

Westchnęła i otworzyła oczy. Jej wzrok padł na ojca i widząc jego spokojny, pełen miłości wyraz twarzy, pomyślała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie.

KONIEC